

KAROL OLGIERD BORCHARDT

POD CZERWONĄ RÓŻĄ

Matecznik

Całe moje dzieciństwo i młodość upłynęły pod wielkim wpływem mojej matki i jej rodziny. Urodziłem się w Moskwie, w klinice mego ojca, który był lekarzem. Zanim to jednak się stało, matka moja została zmuszona do tego małżeństwa. Obydwoje pochodzili z powiatu oszmiańskiego i nawet byli spokrewnieni przez dziada Baniewicza, powstańca z 1863 roku. Początkowo matka, niezbyt zachwycona uczuciem ojca, ukryła się w miejscowości Lejpuny na Suwalszczyźnie, gdzie została nauczycielką. Kiedy jednak ojciec ją odnalazł, wyjął pistolet i (co było wówczas w modzie) powiedział: - Albo pani wyjdzie za mnie za mąż, albo w tej chwili się strzelam... - Takie to gwałtowne wydarzenia poprzedziły moje przyjście na świat.

Matka moja była osobą energiczną i niezależną. Mogę ją nawet nazwać pierwszą polską sufrażystką. Więc gdy ojciec został powołany do wojska i wyjechał do Azji, zastawiła swoje srebro i uciekła ze mną do Paryża. Ryzykowała przy tym wiele. W owe czasy mąż mógł żonę sprowadzić, uciekając się do pomocy policji, mógł zabrać jej dziecko - pomimo że zamieszkaliśmy u rodziny ojca.

Miałem wówczas trzynaście miesięcy. Więcej ojca swego nie widziałem. Później kilka razy miało dojść do mego spotkania z ojcem, ale zawsze coś stało na przeszkodzie. Ostatnio w sierpniu 1939 roku, wracając z urlopu w Żurawach, byłem już z ojcem umówiony (mieszkał wówczas w Warszawie przy Marszałkowskiej), ale spotkałem wuja Raczkiewicza, który poradził mi, bym jak najszybciej wracał na „Dar”, jeśli nie chcę być odcięty od Gdyni. Gdy jesienią 1949 roku wróciłem do kraju, ojciec mój już od kilku lat nie żył.

Po latach odnalazły mnie... moje siostry przyrodnie - Karusia i Bożenka, córki mego ojca z drugiego małżeństwa. Pomogły mi ustalić lub potwierdzić uzyskane wcześniej wiadomości o rodzie Borchardtów.

Przodkowie moi byli dworzanami księcia Karola kurlandzkiego i wraz z nim przenieśli się z Brunszwiku do Kurlandii. Wszystko wskazuje, że po mieczu wywodzę się z baronów kurlandzkich i mam prawo pieczętować się herbem brunszwickim. Zapytana przeze mnie Karusia (aktorka Teatru Dramatycznego w Warszawie), czy coś wie na ten temat, odpowiedziała: - Oczywiście, zawsze nazywano mnie baronówną. Co prawda później królowną, ale to już zupełnie inna historia.

Imiona Karol i Karolina, bardzo często powtarzające się w rodzinie Borchardtów, nie

są przypadkowe i mają związek właśnie z księciem Karolem. Matka ojca, a moja babka, była z pochodzenia Włoszką o nazwisku Nicolai.

Wydaje mi się, że mój ojciec miał jakieś szczególne zdolności uzdrowicielskie. Z przedwojennych warszawskich gazet mam wycinki, które donoszą o jego wielkich sukcesach w leczeniu raka. Przywracał zdrowie ludziom, którym inni lekarze nie dawali już żadnych szans. Dużą wagę przykładał do czystości powietrza, właściwego oddychania, diety. Własnym nakładem wydał książeczkę „Dlaczego głód leczy”. Z zemsty za ewentualną stratę klientów rzeźnicy warszawscy wybili szyby w oknach jego gabinetu.

Po kądzieli swój rodowód mogę rozpocząć od trzech sióstr Kleczkowskich: Amelii, Zofii i Michaliny. Wyszły one kolejno za mąż: Amelia za Adama Wańkowicza, Zofia za Ottona Boera, a Michalina za Ignacego Litawor-Aramowicza.

Moja gałąź wyrasta z pnia rodziny Litawor-Aramowiczów, posiadających majątek Różysław. (Pradziad Ignacy Litawor-Aramowicz 16 lat spędził na Syberii). Mieli cztery córki i trzech synów. Córki dały początek nowym rodzinom, wychodząc za mąż: Aniela za Joachima Niekraszewicza, Jadwiga za Wyszyńskiego, Amelia (moja babka) za Leokadiusza Narwid-Raczkiewicza, Michalina za Antoniego Łukaszewicza.

Wszystkie te rodziny żyły ze sobą bardzo blisko i wszędzie czułem się jak u siebie w domu. Moja rodzona babka Amelia z Litawor-Aramowiczów Raczkiewiczowa zmarła bardzo młodo, na płuca. Zostawiła troje dzieci: Olgierda (zmarł także na płuca w 1912 roku, kurując się na Krymie), kilkunastoletnią wówczas Marynię (moją matkę) i najmłodszego Mieczysława. Była jeszcze druga córka - Zofia, ale zmarła we wczesnym dzieciństwie.

Choroba babki pochłaniała wiele pieniędzy, wymagając częstych wyjazdów „do wód”. Podczas nieobecności rodziców folwarkiem rodzinnym Żurawy (przed 1863 rokiem - Żurawie) zarządzała czternastoletnia Marynia, radząc sobie znakomicie i wzbudzając podziw okolicznych sąsiadów. Folwark jednak nie dawał dostatecznie dużej intraty i dziad podjął się funkcji zarządcy wielkiego majątku Gowarczów.

Wróć jeszcze do Paryża, w którym spędziłem pięć lat. Matka moja pracowała w magazynie mód, rysując modele modnych kreacji i zarabiając w ten sposób na życie. Wkrótce z przerażeniem stwierdziła, że mogę zostać Francuzem. Mówiłem doskonale po francusku, po polsku znałem jedynie „Katechizm małego Polaka”, powtarzany bez specjalnego zrozumienia za matką. Do roku 1911 udało się mej matce tyle zaoszczędzić, że wróciliśmy do Wilna, a stamtąd zostałem odwieziony do słynnej na cały powiat oszmiański mojej ciotecznej babuni Michasi Łukaszewiczowej, seniorki rodu. Będąc wdową, z trudem wychowywała i kształciła troje dzieci. Majątek Bykówka stracił wiele ze swej świetności od czasu, gdy brat męża, Józef

Łukaszewicz, został skazany na śmierć za udział w zamachu (sporządził materiał wybuchowy) na życie cara Aleksandra III. Był wówczas studentem wydziału matematyczno-przyrodniczego w Petersburgu. Jego ojciec wybłagał na osobistej audiencji u cara zmianę wyroku na dożywocie. Kosztowało to jednak sporo i obciążało majątek. Józef Łukaszewicz przebywał w Twierdzy Szlisselburskiej blisko dziewiętnaście lat (aresztowany 2 marca 1887, uwolniony 20 listopada 1905). Do uwolnienia wprawdzie przyczyniła się rewolucja, jednakże koszty były także znaczne.

Babunia i obydwie ciotki naturalnie mówiły po francusku, ale z pozostałymi osobami we dworze musiałem początkowo porozumiewać się na migi. Wkrótce jednak, ku zdumieniu, a nawet przerażeniu ciotek, z francuskiego o paryskim akcencie przeszedłem wprost na białoruski, doskonalony w zabawach z wiejskimi rówieśnikami.

Babunia Michasia była wyrocznią. Przede wszystkim zostałem pozbawiony swoich paryskich bucików, bo najlepsze są z własnej skóry. Po śniadaniu musieliśmy iść o wschodzie słońca do otaczających dwór lasów. O jednym z nich mówiono MATECZNIK. Storczyki tam rosnące miały stanowić unikatowe okazy, nigdzie już nie występujące. Ten matecznik babunia najwięcej kochała. Nie pozwoliła ścinać ani jednego drzewa, nawet na pokrycie kosztów kursów literackich jednej z ciotek, uczącej się na nich w Warszawie. Każde drzewo przecież mogło służyć za tarczę dla powstańca. W czasach mego dzieciństwa atmosfera popowstaniowa była wciąż żywa, może bardziej niż dzisiaj pamięć drugiej wojny światowej.

Przyjeżdżali bardzo uczeni krewni oglądać i podziwiać matecznik. Niedźwiedzi już w nim nie było. Ostatni niedźwiedź, o jakim słyszałem, żył w rodzinnym dworze babuni Michasi (a tym samym i mojej rodzonej babki Amelii), w Różysławiu nad Berezyną oszmiańską. Był pomocnikiem kucharza i do jego obowiązków należało zaopatrywanie kuchni w wodę i drewno. Misia tego bardzo lubiły psy i chętnie z nim baraszkowały, ale gdy niósł drewno, czekały na niego zawzięcie. Miś nie pozostawał dłużny i ciskał w nie polanami, co się najbardziej psom podobało i chyba o to im tylko chodziło.

Wprawdzie niedźwiedzi w mateczniku nie było, za to wilków nie brakowało. Idąc do lasu, przechodziliśmy koło ogrodzenia, za którym pasły się byki i woły. W owych czasach orano nimi po zaprzężeniu do sochy. Przyszłe własnego wyrobu ubrania rosły w postaci lnu. Utkane z lnu płótno bielilo się na łąkach koło krynic pomiędzy lasami.

Ciotki uznawałem za wszechwiedzące i orientujące się najlepiej, co i gdzie w lesie rośnie. Rozpoczynaliśmy od zbierania poziomek. Ciotki wiedziały, gdzie rosną największe, najbardziej soczyste. W cieniu. Te słodkie - w miejscach nasłonecznionych. Jednocześnie dojrzewały czernice, a potem maliny, borówki.

Przechodziliśmy przez zagajniki z olbrzymich brzoź, za którymi latem wschodziło słońce. Następnie skręcaliśmy w prawo, w olbrzymi las jodłowy - właśnie nazywany matecznikiem. Była to kraina niebotycznych jodeł. Tam gdzie jodły rosły rzadziej i było wilgotno, królowały te podziwiane przez wszystkich storczyki. Za DĘBUSZKAMI, jak zwano las olbrzymich dębów, zachodziło słońce. Tuż za nimi leżała kraina moich nocnych marzeń przy ognisku - rojsty. Zabierano mnie czasem na rojsty na nocleg, podczas którego pasły się konie. Największą jednak atrakcją był dojazd na rojsty i jazda powrotna na wypoczętych i rwących z kopyta koniach. Ożywały wówczas zasłyszane w nocy przy ognisku opowieści chłopców pilnujących koni. Tematu do nich dostarczały te ziemie „prześlągnięte” historią. Rojsty dochodziły do oszmiańskiego traktu, wysadzonego brzoźami, który niejedno widział, między innymi przechodziły nim wojska napoleońskie. We wsi Kurhany, leżącej za traktem, mieszkała jeszcze staruszka licząca sobie sto kilkanaście lat. Gdy przychodziła do babuni, była pierwszą osobą w domu, bo jako dwunastoletnia dziewczynka na własne oczy widziała Napoleona. Na prośbę babuni jej odwiedziny kończyły się zawsze udzielanym przez nią nam wszystkim błogosławieństwem.

Z dębuszek wracaliśmy do domu z naczyniami pełnymi jagód. Na śniadanie główną potrawą były poziomki, czernice lub maliny ze śmietanką „prosto od krowy”, z wieczornego udoju. O cukrze nie było mowy. Zjawiał się na stole wyjątkowo, gdy podejmowano gości. Był przechowywany w kredensie, w olbrzymiej czeczotkowej szkatule. Cukier zastępował miód z licznych pasiek w sadzie.

W porze grzybów wyruszaliśmy do lasu po śniadaniu - znów z wszechwiedzającymi ciotkami. Zbieraliśmy głównie borowiki, jesienią rydze. Początkowo musiałem każdy grzyb pokazać, zanim włożyłem do koszyka, borowiki bowiem różniły się między sobą barwą czapek i kształtem. Inne były z zagajników, inne z matecznika, jeszcze inne z dębuszek. Tam rosły krępe, o kolorze orzechowopopielatym. Małe borowiki odkładano do posolenia na zimę, trochę większe suszono na słońcu, największe, uduszone w maśle ze śmietaną, podawano do stołu na obiad z gotowanymi kartoflami. Na deser - znów jagody zbierane z rana. Po kolację trzeba było iść także do lasu.

Gdy po raz pierwszy, pozbawiony swych paryskich buciczków, bosy wróciłem z lasu do domu, wydawało mi się, że stopy mam w ogniu. Byłem bliski płaczu. Babunia, widząc moje cierpienie, przypomniała mi wierszyk „Kto ty jesteś?” Gdy doszliśmy do słów: „oddać życie”, spytała: - Jeśli zostaniesz powstańcem i nie będziesz miał butów w lesie, to co zrobisz?

Babunia zawsze miała rację. A gdy jesienią wracałem z matecznika z koszem pełnym

laskowych orzechów na podwieczorek, przypomniałem sobie swoje pierwsze kroki bez trzewiczków i pomyślałem, że teraz byłoby rzeczą okropną je włożyć.

Au merite

Leżymy z mamą na podłodze na rozłożonym pledzie. Palce stóp wsunięte pod wąską przerwę pomiędzy lustrzaną szafą a podłogą. Podnosimy się do pozycji siedzącej. Znów wolno opadamy plecami na pled. Znów podnosimy się, wydychając przez nos powietrze. Opadamy na pled z wdechem przez nos. Mama ma długie aż do ziemi czarne włosy.

To najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Mama chce, bym jej odpowiadał w innym języku, niż mówią w domu dorośli i dwie moje kuzynki, prawie tego wzrostu co ja. Hedi jest wyższa, ale Żanette mierzy tyle co ja. Następne dwie, Żyletka i Maryszette, są jeszcze małe. Co dzień mama mnie pyta po polsku, a ja odpowiadam też po polsku: „- Kto ty jesteś? - Polak mały! - Jaki znak twój? - Orzeł biały! - Gdzie ty mieszkasz? - Między swemi! - W jakim kraju? - W polskiej ziemi! - Czym ta ziemia? - Mą ojczyzną! - Czym zdobyta? - Krwią i blizną! - Czy ją kochasz? - Kocham szczerze! - A w co wierzysz? - W Polskę wierzę! - Czym ty dla niej? - Wierne dziecię! - Coś jej winien? - Oddać życie!”

Pozostały mi w pamięci spacerunki. Bardzo długie spacerunki pod pałac Trocadero. Ale od tego pałacu interesował mnie więcej jeden pan w ogrodach Tuileries. Czarodziej. Otoczony był zawsze wróblami i dziećmi. Znał imiona wróbli. Mówił: „Żanette”. Patrzyliśmy na naszą Żanette i bardzo śmieliśmy się, gdy zamiast niej, do pana przylatywał wróbel i siadał na wyciągniętym palcu jego wzniesionej ręki. Inne dzieci też się śmiały słysząc swoje imiona i widząc nadlatujące, nazwane ich imionami, wróble. Moglibyśmy tak stać bardzo długo i śmiać się. Nie lubiłem tej chwili, gdy Hedi dostawała od służącej pieniądze i dawała je temu panu, bo to oznaczało, że musimy iść dalej.

Miałem już przeszło trzy lata, teraz nie chodziliśmy na spacerunki. Hedi, Żanette i mnie odprowadzano do frebla (przedszkola). Było tam wielu chłopców i dziewczynek takich jak my. Bardzo dużo śpiewaliśmy. Lubiałem piosenkę „*ram-plam-plam j'ai perdu mes gants*” (Zgubiłem swoje rękawiczki). I piosenkę o samym sobie: „*Je suis un petit garçon de bonne figure, j'aime beaucoup les gâteaux et les confitures*” (Jestem sobie zgrabny chłopczyk, bardzo lubię ciastka i konfitury).

We freblu dostawaliśmy jedzenie. Na długich, niskich stołach co dzień stawiano miseczki z zupą i kładziono porcję chleba. Wiele dzieci nie zjadało swej porcji chleba. Ten pozostały chleb zbierano i w piątek (*vendredi*) dawano nam z niego zupę. Zanurzałem łyżkę w miseczce, podnosiłem ją z zupą do ust i nie mogłem tej zupy przełknąć. Kawalki chleba

zatrzymywały się na zębach. W piątek chowałem się w domu pod fotelami, pod kanapą, za kotarami. Myślałem, że jak schowam się dobrze, to nie pójdę do frebla. Znajdywano mnie zawsze i wlokłem się tam, z trudem powstrzymując łzy. Bałem się myśleć o zupie, bo natychmiast łzy mi leciały z oczu. Będę musiał jeść zupę. Dzisiaj *vendredi*. Łzy same spadały mi z oczu do miseczki. Jeżeli łoż będzie bardzo dużo, to przeleją się przez brzegi - myślałem. Wiele dzieci, widząc mnie płaczącego, odkładało łyżkę i też nie jadło zupy. W domu wszystko, co podano, trzeba było zjeść. Nie wolno było zostawiać jedzenia na talerzu. We freblu we wszystkie inne dni zjadałem wszystko, tak jak w domu. W piątek we freblu zupy zjeść nie mogłem. Zęby same się zaciskały. Oczy same płakały. Coraz więcej dzieci nie jadło zupy w piątek. Któregoś piątku *madame* powiedziała do naszej służącej, żeby moja mama przyszła do niej w przyszły piątek. Tego dnia służąca bardzo mnie pocieszała i litowała się nade mną. Nie wiedziałem dlaczego.

W następny piątek szliśmy do frebla. Oprócz służącej szła i moja mama. Hedi i Žanette ze służącą na przedzie, mama i ja kilka kroków za nimi.

Mama zaczęła mnie pytać, czy rozumiem, że nie jestem Francuzem, lecz Polakiem. Rozumiałem to dobrze, bo przecież co dzień mamie powtarzałem, że jestem Polak mały.

Mama powiedziała, że muszę wiedzieć, że Polacy byli zawsze bohaterami i że największym bohaterstwem jest zwyciężać samego siebie.

Tego nie rozumiałem.

- Na przykład - tłumaczyła mama - nie chcesz jeść zupy. Jeśli ją zjesz, zwyciężysz siebie. Będziesz bohaterem.

Odpowiedziałem: - To jest bardzo trudne. Łzy same lecą mi z oczu. Ja tego nie robię umyślnie. Zupa sama zatrzymuje się na zębach. Zęby same się zaciskają. Ja zębów nie ściskam. Same...

- Tak, rozumiem - powiedziała mama. - Ale inne dzieci jedzą zupę, choć na pewno jej nie lubią, więc są bohaterami.

Mama trafiła swymi słowami w odpowiednie miejsce. Odpowiedziałem natychmiast: - Ja też zjem zupę.

Mama była pewna, że ją zjem. Zawsze, gdy powiedziałem, że coś zrobię albo że nie będę się bał, jeżeli zostanę sam - zrobiłem to, co przyrzekłem. Doszliśmy do frebla. Mama zapytała mnie po polsku: - Kto ty jesteś? - Odpowiedziałem, jak zawsze, po polsku: - Polak mały. - Mama pocałowała mnie i poczekała, aż dogonię dziewczynki.

Służąca powiedziała *madame*, że mama przyjdzie po nas do frebla. Zabawa i śpiewanie mi nie szły. Wiedziałem, że muszę zjeść zupę, ale nie byłem pewny, czy zęby za

mocno nie zacisną się same. Bawiliśmy się klockami, a ja myślałem o zupie. Śpiewaliśmy piosenki - myślałem o zupie. Żeby się zęby nie zacisnęły, tego się wciąż bałem. *Mademoiselle* zaprowadziła nas do umywalni. Myliśmy ręce - myślałem o zupie. Tylko o zupie. Zjem zupę, zjem zupę - powtarzałem sobie w myśli. Siedzieliśmy przy stole. Wiedziałem, że *madame* patrzy na mnie. Podano zupę. Zrobiłem taki wdech jak przy szafie na pledzie. Zamknąłem oczy, żeby nie widzieć chleba w zupie. Jadłem szybko, oddychając przez nos, bez łez. Miseczka była pusta. Zjadłem. Naprawdę zjadłem zupę. Zęby się same nie zacisnęły. Mama będzie zadowolona.

Przed zakończeniem zabaw tego dnia *madame* ustawiła nas w jednym szeregu. Potem kazała mi stanąć przed szeregiem. Samemu! Za *madame* ustawiły się *mademoiselle* i kucharka. *Madame* podeszła do mnie i zawiesiła na mojej piersi srebrny krzyż na wstążce w żółte i ciemnogrnatowe paski. Przypinając mi krzyż powiedziała głośno: - *Au meritel* (Zasłużonemu!) - i pocałowała mnie w policzek.

Mi-carême

Mama jest bardzo smutna, bo nie rozumiem, gdy mówi do mnie po polsku. Mama mówi, że musimy wracać do Polski. Chce, żebym mówił po polsku. Umiem na polskie pytania powiedzieć po polsku: Polak mały. Orzeł biały. Miedzy swemi. W polskiej ziemi. Mą ojczyzną. Krwią i blizną. Nie bardzo rozumiejąc, co to znaczy, odpowiadałem wyraźnie, słabo wymawiając literę „r”: Kocham szczerze. W polske wierzę. Wierne dziecię. Oddać życie. Rozumiałem słowo „zabić”, łącząc je z oddaniem życia. W kuchni widząc mięso lub ptaki pytałem: - Kogo oni zabili? - Nikt nie odpowiadał. Umiałem też powiedzieć po polsku: - To moja mama, to moja Marynia. - Żanette udawała, że mówi po polsku. Mówiła: - Alumetki na szeminetce. - Wiedziałem, że to nie po polsku. Wszyscy tak mówili. Znaczyło to, że zapalki leżą na kominku. Wiedziałem, że Maryszette jest córką chrzestną mojej mamy. Nie rozumiałem, co to znaczy.

Czasami po obiedzie dawano zapiekankę. W zapiekance była malutka porcelanowa laleczka. Nigdy jej nie znalazłem w swoim kawałku. Zawsze była w zapiekance Hedi lub Żanette.

Gdy nie było starszych w pokoju i mamy w domu, lubiły obcinać mi paznokcie. Krwawiły mi potem palce. Zacząłem bardzo się bać obcinania paznokci. Tylko mama mogła mi je obcinać. Na widok dziewczynek lub kogoś innego, kto zbliżał się do mnie z nożyczkami, podnosiłem taki krzyk, że mogli usłyszeć sąsiedzi. Dawano mi wówczas spokój.

Cieszę się wyjazdem do Polski. Nie będą mi obcinać paznokci. Nie zostanę Francuzem. Mama tego się bała. Nie rozumiem, dlaczego mama się boi. Francuzów lubiłem. Lubiałem bardzo tego pana z wróblami. Mama nie miała czasu być ciągle ze mną. Pracowała. Chodziła wieczorami do opery albo teatru. Robiła rysunki sukien, jakie tam zobaczyła. Potem szyto takie suknie dla pań. Francuzi ciągle się bawią. Miało być *mi-carême*. Ciągle w domu wszyscy mówili, że będzie *mi-carême*. Mama powiedziała po polsku: półpoście¹. Nie rozumiałem, co to znaczy. Wszyscy cieszyli się w domu, że będą na siebie sypali konfetti. Nie rozumiałem, co w tym przyjemnego. Obsypani bardzo się z tego cieszą. Na pewno jest bardzo przyjemnie być obsypanym konfetti. Po *mi-carême* z rana zobaczyłem, że we włosach mamy jest dużo konfetti. Spałem na jednym bardzo dużym łóżku z mamą. Przysunąłem się do włosów. Ostrożnie, żeby nie obudzić mamy, wybrałem różnokolorowe krążki papieru. Uzbierałem całą garść. Postanowiłem sobie sam zrobić wielką przyjemność, *mi-carême*!

¹ Półpoście - środek Wielkiego Postu, środa w czwartym tygodniu postu (przyp. red.).

Wstałem ostrożnie z łóżka, podszedłem do szafy. Widziałem bardzo dobrze siebie całego w lustrze. Miałem długie włosy, opadały na ramiona. Podniosłem rękę wysoko nad głowę. Otworzyłem dłoń. Widziałem dokładnie, jak kolorowe konfetti posypało się na mnie i osiadło na włosach. Patrzyłem w lustro i czekałem, kiedy będzie mi przyjemnie. Długo czekałem. Na próżno. Zmartwiony wróciłem do łóżka.

Ce n'est pas Varsovie

Zimno. Ulice Paryża są długie. Bez końca. Mam zziębnięte ręce. Mama pyta, czy jest mi bardzo zimno. Tak, w rękę. Mama przesuwa mnie na drugą stronę. Bierze moją zmarzniętą dłoń. Tamta, ogrzana ręką mamy jest ciepła. Zatrzymujemy się przy ulicznym sprzedawcy pieczonych kasztanów. Mama kupuje torebkę i daje mi. Idę ostrożnie, grzejąc obie ręce na torebce pełnej gorących kasztanów. Zrobiło się ciemno. Jestem zmęczony. Idę coraz wolniej. Stałem.

- Jesteś bardzo zmęczony?

- Tak.

Mama nachyla się nade mną.

- Idziemy do Warszawy! - mówi do mnie po francusku. Mama powtarza to stale, od czasu gdy zaczęła oszczędzać na powrót do kraju. Nie mogę iść dalej. Nie mam sił. Słyszę: Warszawa. To Polska. Miasto ładniejsze od Paryża. *Nous allons à Varsovie!* Idziemy do Warszawy.

Ożywiony słowem *Varsovie* idę szybciej. Ze zmierzchu wyrastają olbrzymie kolumny świątyni Madelain. Mieszkamy na sąsiedniej ulicy. Zmęczone nogi same się uginają. Siadam na trotuarze. Zbiera mi się na płacz.

- *Ce n'est pas Varsovie* - to nie Warszawa - wydobywa się ze mnie rozpaczliwa prawda.

- Tak, to nie Warszawa - mówi mama. - To po drodze do Warszawy.

Varsovie. Varsovie. Muszę do niej dojść. Podnoszę się. Prostuję nogi. Zaczynam iść. Skręcamy na naszą ulicę. Wiedziałem, że się nazywa Rue Vignon.

Ça pique

Warszawa! Przed nią zapamiętałem ogromny, ciemny dworzec w Paryżu. Nad peronami wysoko w górze było wiele, wiele nie mytych, prawie czarnych szyb. Szło od nich brudne, szare światło. Tłumy ludzi. Z pakunkami. Wszyscy się śpieszą. Mama trzyma mnie mocno za rękę. Wagon żelazny. Ogromny. Mama położyła mnie spać. Cały dzień siedziałem przy oknie. Pola, drzewa, lasy, domy - wszystko nas mija.

Nowe mieszkanie. Nowa osoba. Pani. Polka. Bez przerwy rozmawia z mamą. Po polsku. Nic nie rozumiem. Pani i mama rozmawiają, rozmawiają. Po śniadaniu poszliśmy do parku. Słońce. Ciepło. Mama z panią siadły na ławce. Znów mówią. Mówią.

Chodziłem koło ławki po ścieżce. Za ławką, dalej, były krzaki i drzewa. Tuż obok rosły wysokie zielone rośliny. Było ich dużo, bardzo dużo. Postanowiłem zebrać dla mamy bukiet. Wsunąłem się za ławkę i zerwałem jedną łądygę. Wydała mi się ciepła, nawet gorąca. Poczulem ukłucie i ciepło. Sam do siebie powiedziałem: - *Ça pique!* - Urwałem drugą. - *Ça pique!* - powtórzyłem. Nigdy czegoś podobnego nie czulem w Paryżu. Chciałem, żeby był duży bukiet dla mamy. - *Ça pique!* - Układałem łądygi na zgięte ramię. - *Ça pique! Ça pique!* - powtarzałem po urwaniu każdej łądygi.

Bukiet jest ogromny. Słyszę głos tej pani. Mówi do mamy po francusku: - Twój syn jest fantastyczny! - Podniosła się z ławki i podbiegła do mnie mówiąc po francusku. Wymawiała bardzo dokładnie „r”, to mnie bawiło. Mówiła, że nie widziała takiego chłopczyka. Przez pół godziny zrywa pokrzywę. Do każdej łądyżki mówi: - *Ça pique*. To kole.

Obejrzała moją rękę. Była czerwona. - Boli cię? - spytała. - Tak. - Po co rwałeś, jeśli to cię bolało? — Po co? — To bukiet dla mojej mamy.

Diabeł pod poduszką

W wieku lat siedmiu wakacje letnie spędzałem u jednej z kilku sióstr mojej rodzonej babuni na wsi w oszmiańskim powiecie. A było to przed pierwszą wojną światową. Orano u babuni w tamtych czasach wołami i sochą.

Rówieśników do zabaw nie miałem. Babunia była wdową, z trudem kształciła troje dzieci. Najmłodsza córka, starsza ode mnie o lat dziewięć, była już na pensji w Wilnie, w szóstej klasie gimnazjalnej. Głównymi towarzyszami mych zabaw i zainteresowań były przede wszystkim konie, potem woły, krowy i gęsi. Ta najmłodsza moja ciotka, nie mając teraz latem innego towarzystwa, kochała się w krowie. Krowa w cioci. Ciocia wiedziała, które zielska jej krówka najlepiej lubi i bez względu na pogodę, nawet w ulewny deszcz, potrafiła godzinami wyszukiwać ulubione przez krowę trawy. Niekiedy, zwabiony przez ciocię opowiadaniem o przygodach hrabiego Monte Christo, pomagałem w zbieraniu tych lebiód i mokrzyć. Podejrzywałem ciocię, że karmi swą krowę nie tylko specjalnymi trawami, ale również przeczytanymi opowiadaniem, w które obficie była zaopatrzona biblioteka domowa.

Ciocia, jeśli nie czytała, to powiększała swój dobytek - lepiąc z gliny krowy i konie. Ulepione przez nią stada były przez znawców porównywane do dzieł Wita Stwosza. Mówiono, że zdolności odziedziczyła po swym ojcu. Jego figurki do jasełek dla dzieci również były oceniane na miarę Wita Stwosza.

Starsza ciocia już ukończyła kursy literackie w Warszawie i pisała poezje. Natomiast wujaszek, średni z rodzeństwa, zajęty był głównie łapaniem ryb, a to mnie nie interesowało zupełnie.

Bieda u babuni aż piszczała. Po śniadanie, można powiedzieć, chodziliśmy prawie wszyscy do lasu, przynosząc olbrzymie ilości poziomek, czarnych jagód, a potem malin; dodawaliśmy do nich mleko i miód, bo cukier w owe czasy był zbyt drogi. Na wieś przywoziło się go z pobliskiego miasteczka, w kształcie „głowy” - stożka z zaokrąglonym wierzchołkiem o wysokości około trzydziestu centymetrów, a średnicy podstawy chyba dwunastu. Rąbało się głowę cukru specjalną siekierką. Kawałek takiego cukru uchodził wówczas za najlepszy cukierek.

Po obiad i kolację znów szliśmy do lasu, przynosząc najwspanialsze gatunki grzybów. Duszone w śmietanie z dodaniem ziemniaków były daniem wspaniałym tak na obiad, jak i na kolację.

Czas głównie spędzałem przy koniach, jeśli były wolne. Rozumieliśmy się „na migi”. Niektóre były tak uprzejme, że same podchodziły do płotu, by ułatwić mi dostanie się na ich grzbiet. Potem pędziłem „co koń wyskoczy” na noclegi do tak zwanych rojst.

Któregoś dnia młody gąsior, poczęstowany przeze mnie kilkoma kawałkami słodkiego, świeżo upieczonego ciasta, stał się moim nieodstępnym towarzyszem. W dzień stałe tkwił koło ganku, dopraszając się od wszystkich smakołyków, przez co nazwano go Żebrakiem.

Chodziliśmy we dwójkę dopóty, dopóki nie zobaczyłem na wygonie wśród dużego stada świń małego czarnego prosiaczka. Postanowiłem go zdobyć, pomimo że wiedziałem, iż wszystkie świny staną w jego obronie, gdy zacznie wołać o pomoc. W chwili gdy zbliżył się do płotu, szybko porwałem malca, przeskoczyłem przez płot w momencie, gdy znakomita część świń ruszyła na pomoc porwanemu i kwiczącemu prosiaczkowi. Zniosłem go do ogrodu. Miałem tam przygotowane dla niego mleko w miseczce. Gdy zanurzyłem jego pyszczek w mleku, przestał kwiczeć. I jakoś to było.

Przywiązaliśmy się do siebie mniej więcej tak, jak ciocia do krowy, a krowa do cioci. Według mnie było to NADPROSIĘ. Ogromnie spodobało się prosięciu namydlenie i splukiwanie go wodą. Do lasu chodziliśmy we trójkę: gąsiorek, prosiaczek i ja. Z prosiaczkiem urządzaliśmy wyścigi. Gąsiorek nie brał w nich udziału. Prosiaczek zawsze mnie wyprzedzał i był z tego powodu bardzo zadowolony. Nie mówił ludzkim głosem - to prawda - ale miał tyle sposobów chrząkania, że nieomylnie wiedziałem, co mu się podoba, a co nie. W dogadzaniu mu prześcignąłem nawet chyba ciotkę z jej faworyzowaniem „krówki” (przy ciotce nie można było mówić „krowa”). Cieszyło mnie, że prosiaczek, przechodząc koło swych pobratymców, nie uciekał i nie interesował się nimi.

Gdy była piękna pogoda, nikt w domu nie siedział, tylko na posiłki zbieraliśmy się wszyscy w stołowym pokoju, przyległym do kuchni. Natomiast do „gościnnego” nikt nigdy nie zaglądał, jeśli nie było gości. Był tam olbrzymi stół i jeszcze większa kanapa, gdyby ktoś chciał zanocować. Na kanapie ułożone były piękne wzorzyste poduszki.

Przyszło mi kiedyś do głowy, by uhonorować prosiaczka w gościnnym pokoju. Był tak czystutki, jak żaden chyba inny prosiaczek na świecie. Prosiaczkowi kanapa i poduszki bardzo się spodobały, dał mi znać o tym swym chrząkaniem. Kilka razy, gdy tak używaliśmy sobie na tej kanapie, musiałem prosiaczka schować pod poduszkę przed nadchodzącą babunią lub którąś z ciotek. Byłem z nimi po imieniu, były to jednak ciocie z pretensją do władzy nade mną oraz instruowania mnie. Prosiaczek szybko zrozumiał, że go chowam, gdy ktoś się zbliża, i sam się zaszywał pod poduszkę, by go nikt nie zobaczył. A nikomu do głowy nawet

nie przyszło, że mógłbym prosiaczka położyć na kanapie w gościnnym pokoju.

Któregoś dnia przyjechał niespodzianie z sąsiednich Hupi pan Borysiewicz, „budowniczy”. Miał omówić z babunią dobudowanie do starego domu jeszcze kilku pokoi. Był bardzo ciepły dzień, więc odpoczywałem z prosiaczkiem na kanapie w chłodnym gościnnym pokoju, gdy nagle usłyszałem rozmowę i otwieranie drzwi. Prosiaczek szybciej ode mnie zorientował się i znikł pod poduszką.

Babunia wprowadziła pana budowniczego do „gościnnego”, by sobie odpoczął, a mnie zabrała ze sobą do kuchni, żebym pomógł w przygotowaniu „traktamentu” (tak się nazywało podejmowanie gości ciastkami własnego wypieku, konfiturami i czymś chętnie bogatym). Drzwi do przedpokoju i na ganek zostawiłem otwarte, przewidując, że prosiaczek może mnie szukać.

Gdy wróciłem z babunią, niosąc talerze i sztuce, zastaliśmy pana budowniczego ledwie żywego na kanapie. Nie mogłem wręcz złapać tchu, by powiedzieć, co mu jest. Widząc przerażenie w oczach babuni, uspokoiłem się na tyle, żeby rozdygotanym głosem oznajmić:

- Pani szanowna! Wybaczyć proszę, co powiem, sam nie uwierzyłby, żeby kto to mówił. Nu, taka konfuźja, pani! Nu, prosto nie do wiary. Pani szanowna, nu siad ja, pani, na tej kanapie, żeby odpocząć, nu goronc, prawda, niemożliwa, ale nie przewidziało się mnie. Opar się ja o poduszkę, a tu, pani szanowna, jak coś nie PUKNIE! Kanapa zatrzasnęła się w tą porę. A ja w powietrzu widzę: nad wałkiem leci czarny, kosmaty diabeł. Oczy ja, prawda, ze strachu zamknął i mówię głośno: WSZELKI DUCH PANA BOGA CHWALI! i w tej chwili posłyszał, jak diabeł kopytami o podłogę trzasnął. Oczy ja otworzył, ducha złapać nie mogą, ale diabła już nie było, znaczy się, pod poduszkę był schowany. Nu, wiem, pani, że nie powierzysz. Nu, przebac, prosza. Ale taka przeżycia wielka mnie spotkawszy. Mowa mnie prawie odjęło.

Babunia taktownie milczała, a po wyjeździe pana budowniczego powiedziała:

- Nie takie rzeczy od upału się widzi.

A ja po dziś dzień milczałem.

Wuj Ignacy

Wujaszka Ignacego poznałem w roku 1912, gdy miałem lat siedem. Wiele razy słyszałem, jak mówiono o nim: „Tak toż już nie DUREŃ, ale GŁUPI”. Dla mnie był to geniusz. Ze swoim jednak uznaniem dla niego nie zdradzałem się przed nikim.

Początkowo, zaraz po moim przyjeździe z Wilna do babuni na wieś, nękał mnie przez pewien okres wuj Ignacy, gdy spałem z nim w jednym pokoju. Kiedy tylko zauważył, że otworzyłem z rana oczy, wytrzeszczał swoje, a wargi układał w ten sposób, że mogłem podziwiać całe jego przednie uzębienie. Do tego poruszał głową na... NIE!

Pomimo że mówiłem mu po imieniu - był tylko o siedem lat starszy - przez jakiś czas zawsze rano miałem zepsuty przez to oglądanie jego uzębienia przy pierwszym blasku porannego słońca.

Miał wuj Ignacy i zdolności artystyczne. Pręt leszczynowy potrafił tak ładnie naciąć, że wychodziła z jego rąk laska o wzorach białych i zielonych.

Zjeżdżali się latem do babuni krewni z całej Polski. Wśród nich wielu było adwokatów, lekarzy, inżynierów. Przyciągały ich ruiny zamku miednickiego, zbudowanego przez Olgerda; swego czasu bawił w nim również Kazimierz Jagiellończyk i jego synowie pod opieką Jana Długosza.

Któregoś dnia całe towarzystwo szykowało się do zwiedzenia zamku. Nadeszła godzina wymarszu (niecałe dwa kilometry). Ośmioletni wówczas wuj Ignacy, zapytany, czy pójdzie razem, zdecydowanie odpowiedział: NIE! Na pytanie, dlaczego, geniusz odpowiedział: NOGI ZABOLO, JEŚĆ ZACHCE SIĘ. NIE PÓJDA! - I nie poszedł.

Rósł zdrowo i pomimo że uczony i przygotowywany do gimnazjum przez dobrych nauczycieli, nie zdał żadnego egzaminu - nawet do klasy wstępnej. Babunia i cała rodzina doszła do wniosku, że potrafi go dobrze przygotować do egzaminu do rosyjskiej szkoły rolniczej tylko moja matka i że go także nauczy posługiwania się w piśmie ojczystą mową.

Asystowałem przy tej nauce. Któregoś dnia bawiłem się, siedząc na podłodze i układając szyny dziecinnej kolejki, gdy matka podyktowała wujowi Ignacemu zdanie: JA BĘDĘ ŻOŁNIERZEM. Wtedy zacząłem mówić szeptem, tak by matka nie słyszała: - JA BĘDĘ DZIKIM ŻOŁNIERZEM, JA BĘDĘ DZIKIM ŻOŁNIERZEM.

Gdy matka zaczęła czytać to, co Ignacy napisał, zdumiała się:

- Ignasiu - spytała - dlaczego napisałeś: JA BĘDĘ DZIKIM ŻOŁNIERZEM?

- Marynia tak mi podyktowała - odpowiedział wuj Ignacy. I na tym się sprawa urwała.

Latem, po kilkumiesięcznych lekcjach, matka moja pojechała z wujem Ignacym do szkoły rolniczej. Przygotowany na piątkę do klasy pierwszej, wuj Ignacy oblał egzamin do... klasy wstępnej. Tak zakończyły się wszelkie próby przygotowania wuja Ignacego do pracy i nauki w szkole.

Podczas okupacji niemieckiej w latach 1915-1918 znalazłem się latem znów u babuni. Wuj Ignacy sam musiał orać pradziadowskie grunty. Zabrał mnie zaraz ze sobą w pole, bym mu prowadził konia, gdy on pójdzie za pługiem. Po zaoraniu kilku zagonów koń sam już dobrze wiedział, co ma robić, i ja okazałem się niepotrzebny. Siedząc na miedzy przyglądałem się orce wuja Ignacego.

Wuj Ignacy - o lotnym i nie obciążonym wiedzą, nauką i przykazaniami umyśle, wyznający w życiu zasadę: NIE RÓB NIGDY TEGO SAM, CO MOŻE ZROBIĆ KTO INNY - natychmiast powierzył mi prowadzenie pługa, a sam wygodnie się ułożył na miękkiej trawie. Koń wuja Ignacego bardzo mnie lubił. Zdziwiałą wyznał życzliwość dla mej osoby i zwał się zaczął poruszać, pomimo że nie przejąłem od wuja Ignacego bicia do poganiania.

Do południa przyglądaliśmy się, wspólnie z koniem, rozłożonemu na miedzy ciału wuja, śpiącego snem zdrowego i spokojnego dziecka. Zdumieliśmy się, gdy obudził się punktualnie, by zarządzić przerwę na obiad. Pług zostawiliśmy na polu, konia spętaliśmy, pozostawiając go na brzegu lasu na soczystej trawie. Po obiedzie znów oglądaliśmy z koniem śpiącego na miedzy wuja Ignacego i dziwiliśmy się, że pomimo głębokiego snu wie, kiedy się należy obudzić na kolację.

Po upływie kilku tygodni posiadałem jeden z najstarszych zawodów polskich - ORACZA. Nauczyłem się prowadzić głęboką, równą bruzdę, a potem lubowałem się, razem z koniem, widokiem zaoranego przez nas poletka. Podczas pracy koń, oglądając się na mnie, dawał mi do zrozumienia, kiedy chce odpocząć. Kładłem się wówczas na miedzy, a koń skubał sobie trawę.

Rósł wuj Ignacy zdrowo. Przystojny, o atletycznej budowie, był mówcą niepośledniej miary. Podczas pobytów u nas w Wilnie nie dopuszczał do głosu swych kuzynów czy wujów, adwokatów z zawodu. A cóż dopiero, gdy słuchaczami jego byli sąsiedzi z odległego o kilka kilometrów Kamiennego Łogu - Oleś i Bonieczka Wołożyńscy. Podczas okupacji niemieckiej w 1915 roku chadzaliśmy tam - naturalnie boso, by nie zniszczyć drogocennego obuwia. W miejscu, skąd byliśmy niewidoczni z okien domostwa, nakładaliśmy te kosztowności na nogi i tak ukazywaliśmy się czekającym na nas gospodarzom. Po nieodzownym traktamencie wuj

Ignacy wygłaszał swe poglądy na sprawy życia, na poziomie, który obu Wołóżyńskich przyprawiał z zachwytu o zawroty głowy.

I tak kiedyś na temat języka polskiego i ortografii wyluszczał taki pogład:

- Według mnie to CHIŃSZCZYNA. Tylko że w Chinach mandarynowi za nauczenie się dziesięciu tysięcy znaków dają tytuł MANDARYNA O NIEBIESKIEJ GAŁCE i ma prawo noszenia na czapce NIEBIESKIEJ GAŁKI. A jeśli ja nauczę się dziesięciu tysięcy słów pisanych przez „rz”, to nic z tego nie mam.

Podziwiałem w takich chwilach Olesia i Bonieczkę Wołóżyńskich. (Oleś był o dwa lata starszy od Bonieczki, a z wujem Ignacym dzieliła ich niewielka różnica wieku). Obu tym słuchaczom od skupienia, by ogarnąć mądrości wuja Ignacego, pot kroplisty zraszał czoła i szeptali w tonie największego uznania: - Pan Ignacy! Pan Ignacy! PRAWDA MÓWI! PRAWDA MÓWI!

- Mandarynowi - wtajemniczał dalej Wołóżyńskich wuj Ignacy - jeśli nauczył się pisanie dalszych dziesięciu tysięcy znaków, zmieniają gałkę NIEBIESKĄ na CZERWONĄ. A jeśli ja nauczę się pisanie dziesięciu tysięcy słów przez „o” kreskowane, to nie mam za to nic!

Pot strugami spływał z twarzy Olesia i Bonieczki Wołóżyńskich i w najwyższym podziwie szeptali chórem:

- Pan Ignacy! Pan Igancy! PRAWDA MÓWI! PRAWDA MÓWI! O tych mandarynach naczytał się wuj Ignacy z olbrzymich, oprawionych w skórę prenumerowanych niegdyś tygodników: „WIECZORY RODZINNE” i „KŁOSY”.

- Albo - nauczał wuj Ignacy Wołóżyńskich - weźmy taką gramatykę polską. Ot, najbardziej znane polskie słowo „JEŚĆ”. NAUCZ SIĘ TEGO ODMIENIAĆ. Nie będzie prosto „JA JEŚĆ”, tylko „JA JEM”. Dlaczego „jajem”? Co to ma wspólnego z jajkiem? Też do jedzenia, ale samo „jeść” zginęło.

- Pan Ignacy, PRAWDA MÓWI, PRAWDA MÓWI.

Wuj Ignacy zmieniał się w ich oczach prawie w apostoła i nauczał dalej:

- TY „JEŚĆ”? O, nie! TY JESZ! Zgadzam się, że po jedzeniu się tyje, ale skąd można wiedzieć o tym, że to akurat TY.

Zachwył i osłupienie Olesia i Bonieczki dochodziły do ekstazy.

- Pan Ignacy, PRAWDA MÓWI, PRAWDA MÓWI!

- I nareszcie ON, ale nie „JEŚĆ”, tylko „JE”. DLACZEGO, pytani, DLACZEGO TYLKO „JE”?!

- Pan Ignacy, PRAWDA MÓWI, PRAWDA MÓWI!

- A co-MY? - wyjaśniał wuj Ignacy. - „MY JEMY”. Wiadomo, że myć się trzeba, ale dlaczego tylko MY? A tamci to brudasy. Co? JA, TY, ON... NIE MYJĄ SIĘ?!

- Pan Ignacy, PRAWDA MÓWI, PRAWDA MÓWI!

- Im dalej, tym gorzej - rozpałał się wuj Ignacy własnym przemówieniem - bo teraz WY. No i co WY? WY JECIE. Co? było takie złe jedzenie, że teraz WYJĄ?

Pot Wołżyńskich kroplami spadał na stół, a usta automatycznie szeptały: - Pan Ignacy, PRAWDA MÓWI, PRAWDA MÓWI.

- A ONI - kończył wykład o koniugacji wuj Ignacy - wcale nie „JEŚĆ”, tylko jakieś nieznane „JEDZA”.

- Pan Ignacy, PRAWDA MÓWI, PRAWDA MÓWI - słyszałem po każdym zdaniu wygłoszonym przez wuja Ignacego.

- A jeśli już JEŚĆ, to się pytam, dlaczego rękami, jak poucza nas słowo „RĘKOJEŚĆ”. Przecież mamy już łyżki, widelce i noże, a okazuje się, że w słowniku tylko „rękojeść” - kończył swój wykład wuj Ignacy. - Tak uczono mnie i tak uczą miliony nieszczęśliwych dzieci. A im wyższa nauka, tym coraz więcej takich słów, które powodują zaćmienie rozumu i niejasność sądu. Im bardziej uczą, tym bardziej zaciemniają zdrowy rozsądek, a po skończeniu kilku fakultetów otrzymuje się już tylko UCZONEGO DURNIA! Bronić się musimy przed taką nauką, już podobno w Biblii powiedziano, żeby nic nie brać z drzewa mądrości, bo to niebezpieczne.

- Pan Ignacy, PRAWDA MÓWI, PRAWDA MÓWI!

Gdy usłyszałem po raz pierwszy to przemówienie, zrozumiałem, dlaczego wuj Ignacy OBLEWAŁ każdy egzamin wstępny do szkoły. Geniusz! Nie tylko że nie pozwolił sobie zaćmić zdrowego rozsądku, ale uwalniał się od nauki w zakładzie dla przyszłych obłąkanych, za jaki uważał szkołę.

Gdy osiągnął wiek męski, był olbrzymem o jasnych włosach, wspaniale zbudowanym. Mówcą niezrównanym, o poglądach tak odmiennych od utartych, że wielu nie wiedziało, czy wuj żartuje, czy mówi serio. Słuchający mieli niezdecydowany wyraz twarzy.

W tym czasie zakochała się w wuju Ignacym panna sąsiadka - z majątkiem, prześliczna, zgrabna. Skończyła w Petersburgu wyższy zakład naukowy ze złotym medalem. Sama się oświadczyła.

- IGNAŚ - szeptały wujenki, ciotki i stryjenki - PANA BOGA UŁAPIEŚ ZA NOGI!

Genialny wuj Ignacy - za genialny był, by w tej sytuacji powstawać przeciw nauce - po naleganiach wszystkich krewnych i znajomych nie powiedział: „Za MĄDRA”, ale... „Za CHUDA”!

I nic nie pomogło. Krewni męskiego rodzaju zgadzali się, że jeśli on uważa, iż jest „za chuda”, to trudno mu wmawiać, że „dostatecznie pulchna”. Między sobą zaś szeptali, że pewnie boi się, że za mądra i że zamiast w ramiona, wpadnie jej w ręce.

Po latach dowiedziałem się, że wuj Ignacy ożenił się... ale tak, by ożenek nie mącił mu jasności umysłu. Podobno dzieci swe pilnie kształcił - wbrew głośzonym przez siebie w młodości teoriom. Zasłynął jako kierownik PGR-u przynoszącego krajowi znaczne dochody - dzięki jego umysłowi nie zmaçonemu balastem nauki i wiedzy. Kupił sobie stare dworzyszczce, piękniejsze niż kiedyś jego rodzinne.

Niestety, był śmiertelnikiem, jak wszyscy na tym świecie, a pozostawił po sobie pamięć światłego organizatora o niepowszednim rozumie.

Wspaniały pomysł Mohikanów

Był rok 1912. Na najwyższym szczycie, zwanym Gniazdem Orła Śnieżnych Wierchów, nad najgłębszym kanionem zawarty został związek bratni pomiędzy dwoma Indianami szczepu Mohikanów. Po nacięciu nożem ramion i przyłożeniu nacięć do siebie, po zmieszaniu się krwi obu - kolejno wymówili słowa przysięgi:

- Tenanga jest bratem Unkasa na śmierć i życie, HOWGH!

- Unkas jest bratem Tenangi na śmierć i życie, HOWGH!

Zadaniem, jakie sobie postawili, było iść możliwie najszybciej na pomoc swym braciom walczącym z lepiej uzbrojonymi BLADYMI TWARZAMI. Obaj celnie strzelali z łuku. Na odległość dwudziestu metrów nie było nietrafień. Największą trudność w wykonaniu swego zamierzenia widzieli w przedostaniu się do swych braci w Ameryce, jako że ZBRATANIE to miało miejsce w Wilnie na Bouffałowej Górze, przez którą przechodził KANION, będący nie wybrukowaną jeszcze ulicą.

Miałem wówczas lat siedem. Po powrocie z pięcioletniego pobytu w Paryżu zamieszkaliśmy w Wilnie przy ulicy Zawalnej numer 7, na najwyższym piętrze. Nasi bliscy krewni - adwokaci, lekarze i uczniowie najstarszych klas gimnazjalnych - namówili moją matkę, by wynajęła duże mieszkanie, tak żebyśmy wszyscy byli u siebie, a nie w odnajmowanych pokojach.

Dom, w którym zamieszkaliśmy, był, jak na Wilno, ostatnim krzykiem mody - czteropiętrowy „drapacz chmur”. Na parterze mieściła się apteka. Jej właściciel przedstawił się nam, to jest lokatorom mieszkania numer 6, jako UŻASNYJ PIEDANT, i to określenie przyłgnęło do niego na stałe. Pierwsze piętro zajmowali lekarze. Doktor Rymsza. Miał swą klinikę w alei Róż, pięknej uliczce będącej przecznicą Małej Pohulanki, tworzącej z ulicą Zawalną róg, na którym właśnie stał nasz „wieżowiec”. Naprzeciwko doktora Rymszy mieszkał lekarz dentysta, sympatyczny i towarzyski doktor Szlossberg. Mieszkanie nad nim należało do właściciela domu, pana Kazimierza Rudzkiego. Podobno jako dziesięcioletni chłopak przyszedł ze wsi do Wilna boso i boso zaczął zamiatać drukarnię i księgarnię Zawadzkiego, z biegiem czasu stając się jej właścicielem. Naprzeciwko Rudzkiego zadziwiał swym nazwiskiem Polak artysta fotograf - Kurusza Worobjow. Całe półpiętrze nad mieszkaniem Rudzkiego zajmowali jego teściowie, państwo Montwiłłowie, a drugą połowę piętra MY. Nasze mieszkanie składało się z długiego korytarza przez cały dom, z drzwiami

do ośmiu pokoi, które można było łączyć ze sobą. W łazience był prysznic i wanna. Służąca zajmowała duży pokój. W domu była ELEKTRYCZNOŚĆ. To było coś, czego mój rozum jeszcze wówczas nie ogarniał.

Na zapleczu naszego „drapacza” stała dwupiętrowa oficyna, za nią był duży ogród i sad, do którego przylegała szkoła księdza Lubiańca, kształcąca za darmo mechaników czy ślusarzy. Jednym z techników w tej szkole był ojciec Antosia-UNKASA, mego rówieśnika, z którym po przeczytaniu kilku książek o losie Indian w Ameryce zawarliśmy BRATERSTWO w celu niesienia im pomocy w walce z bladymi twarzami.

Na drodze jednak stał ocean. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy za młodzi, by nas zaokrętowano jako marynarzy. Pieniądzy na zapłacenie biletów za przejazd nie mieliśmy. Pozostawało jedyne wyjście: zakraść się na statek i przepłynąć ocean jako pasażerowie na gapę.

Czas konieczny do przemyślenia naszego planu poświęciliśmy na naukę strzelania z łuku i wyrabianie coraz to lepszych łuków i strzał. Antoś, mając dostęp do warsztatów ślusarskich i pomoc ojca, robił je coraz doskonalsze.

Naraz zagadnienie przedostania się do Ameryki przestało być zagadką nie do rozwiązania. Sprawiała to książka, jaką otrzymałem od mojej ciotki. Na jej okładce widniał portret Mikołaja Kopernika, a pod nim napis: „Wstrzymał Słońce, wzruszył Ziemię. Polskie wydało go plemię”.

Ziemia się kręci nie tylko dookoła Słońca, ale i dookoła swej osi! Plan był gotowy. Wzniesiemy się w nocy nad ziemię na balonikach, jakie sprzedają na rynku Łukiskim, poczekamy tyle czasu, by Ameryka znalazła się pod nami, puścimy część baloników i wylądujemy. Wszystko zależało teraz od dobrej realizacji pomysłu.

Przekazana mi przez matkę od najwcześniejszego dzieciństwa wskazówka „MYŚL, CO ROBISZ”, obecnie znalazła największe zastosowanie. Ile trzeba mieć baloników? W czym lecieć? Z książki pt. „Balonem przez Australię” dowiedziałem się, że musi być „gondola” i do niej przywiązany balon. My będziemy mieli wiele baloników. By osiąść na ziemi, gdy już ląd amerykański będzie pod nami, trzeba będzie odwiązać po kilka baloników, aż gondola opadnie.

Przy różnych okazjach otrzymywałem od wujostwa Wojewódzkich dość znaczne sumy pieniężne na zabawki, ale dotychczas tylko je składałem. Znając cenę baloników, wiedziałem, że będziemy mogli zakupić ich odpowiednią liczbę.

Trzeba było również pomyśleć, gdzie budować gondolę i gromadzić baloniki, skąd wzbic się nad ziemię, ile czasu czekać, aby Ameryka podeszła pod gondolę, w którym

miejscu wylądować, co zabrać ze sobą - naturalnie żeby jak najmniej obciążyć gondolę.

Jedynym miejscem, nadającym się do zmontowania gondoli, był nasz składzik na przechowywanie jarzyn w zimie, mieszczący się w piwnicach dwupiętrowej oficyny. Jej pierwsze piętro zajmował pułkownik rosyjski, parter państwo Jałowieccy z synem ośmioklasistą. Ten szczęśliwie nas w ogóle nie widział, natomiast jego dwie siostrzyczki, siedmioletnia Lunia i dziewięcioletnia Janka, miały ochotę poznać się z nami, podobnie jak syn pułkownika, trzynastoletni Kola. Do tych żywych przeszkód musieliśmy doliczyć dziesięcioletniego syna dentysty.

Budowę gondoli wziął na siebie Antoś-UNKAS, robiąc rzekomo dla mnie klatkę na króliki. Wymiary jej miały wynosić: wysokość jeden metr, podstawa półtora metra na półtora. Dysponowaliśmy dwudziestoma mocnymi listewkami i dyktą, z której miała być podłoga. Wnętrze zamierzaliśmy obić najcieńszym płótnem. Wyposażenie: ciepłe ubranie i dwie nieprzemakalne płachty, 12 strzał i 3 łuki, tabliczka czekolady ŻORŻ BORMAN. Hubkę i krzesiwo uznaliśmy za pewniejsze od drogich „siarczyków”, jak jeszcze niekiedy nazywano w Wilnie zapalki, których jednak zabieraliśmy ze sobą jedno pudełko.

Każdy przedmiot przeznaczony na podróż ważyliśmy i dokładnie zapisywaliśmy, ilu baloników wymaga do uniesienia. Baloniki kupowałem na rynku Łukiskim i by nie wzbudzać zaciekawienia, po jednym przynosiłem w torbie papierowej do naszego składziku. Dla tych samych powodów poszczególne części gondoli UNKAS-Antoś przynosił już po zachodzie słońca.

Z książki „Dzieci kapitana Granta” wiedzieliśmy, co to są równoleżniki i południki na mapach i że południków jest 360. Trudność sprawiało obliczenie czasu koniecznego do przelotu nad Atlantykiem. Ponieważ Ziemia kręci się z zachodu na wschód, a cały obrót trwa 24 godziny, stąd według Antosia, a raczej jego ojca, na jedną godzinę wypada 15 południków. Wilno leży na 25 południku wschodnim i na 55 równoleżniku pomocnym, ziemia Ameryki zaczyna się gdzieś na 60 południku zachodnim, wobec czego musi pod nami przelecieć 85 południków i to zajmie około 6 godzin (przy 90 południkach podróż trwałaby dokładnie 6 godzin).

Najbardziej baliśmy się przeciwnych wiatrów, mogących nas znieść do morza, ale przy dobrej pogodzie po 6 godzinach musimy być w Ameryce w miejscowości zwanej LABRADOR. Wyruszyć postanowiliśmy w bezksiężycową noc o godzinie 11, tak żeby nas nikt nie widział. Ze składzika będziemy musieli wynieść gondolę, przez nią przeciągnąć sznur od bielizny, zamocowany z jednej strony do klonu tuż przy ziemi, a z drugiej do słupa od bramki, przycięty i zawiązany na węzeł w środku gondoli. Po rozwiązaniu sznura gondola

wzniesie się do góry.

Najtrudniej będzie wynieść niepostrzeżenie takie mnóstwo baloników. Wszystko nam się udawało - to znaczy nikt się nami dotychczas nie zainteresował. Gondola wyglądała wspaniale, była lekka i mogliśmy się nawet w niej położyć. Wszystkie wiązania były z mocnych szpagatów, a listewki główne spoiłymi śrubami.

Bardzo baliśmy się zimna, mając tylko dwie cienkie nieprzemakalne płachty. Koców nie mogliśmy zabierać ze względu na ich ciężar. Z encyklopedii wyczytaliśmy, że w miejscowości Labrador jest dużo dzikich zwierząt: niedźwiedzie i wilki. Na te polować nie mieliśmy ochoty. Tylko na ryby. Mieli tam być Indianie, Eskimosi, Anglicy i Francuzi. To dodało nam otuchy, że ja się z nimi rozmówię. Antoś-UNKAS zaczął w tym okresie „bardzo” zbierać monety, tak że miał prawie dwa dolary w srebrze.

Po miesiącu przygotowań byliśmy według nas gotowi, by wyruszyć na pomoc naszym braciom. Ich siedliska miały się znajdować w okolicach Nowego Jorku. Z Labradoru będziemy zmuszeni wędrować pieszo na południe, żywiąc się rybami i jagodami lub korzystając z pomocy pozostałych tam Indian. O niczym innym nie umieliśmy już myśleć, jak tylko o naszej podróży.

Nareszcie!!! Ciepła czerwcową bezksiężycową noc. Wyruszamy. W domu zostawiłem list z wiadomością, gdzie się podziałem, to samo zrobił Antoś. Z wielkim trudem udało mi się, nie budząc nikogo, wydostać przez kuchenne drzwi na klatkę schodową i bez świadków spotkać na dziedzińcu z Antosiem. Ruszyliśmy do składziku. Najpierw ostrożnie, by nie zaczepić jej o coś, wynieśliśmy we dwójkę gondolę. Gdy zamocowaliśmy sznur mający ją utrzymać przy ziemi po przywiązaniu wszystkich baloników, Antoś-UNKAS pierwszy wsunął się przez celowo rzadsze listewki do wnętrza gondoli, a ja zacząłem wynosić ze schowka po dziesięć baloników. Antoś przywiązywał je natychmiast do balustrady gondoli. Wpadliśmy w zachwyty, gdy gondola zawisła w powietrzu, przytrzymywana już wyłącznie przez sznur. Teraz pozostały do przyniesienia ostatnie baloniki, niezbędne, by gondola uniosła w powietrze nas obu. I oto ja wreszcie wsunąłem się przez rozstawione listewki. To była wielka chwila. Podaliśmy sobie dłonie i powiedzieliśmy z uprzednio przygotowanym ceremoniałem: - LECIMY. HOWGH! Dziwiliśmy się z Antosiem, że ludzie wolą tygodniami płynąć przez ocean, niż zbudować sobie taki balon jak nasz. Tych dwóch, którzy przelecieli nad Australią, nikt więcej oprócz nas nie naśladował. Antoś przytrzymał rękami sznur, by ułatwić mi rozwiązanie węzła, który nas trzymał przy ziemi.

- JUŻ! HOWGH! - Antoś puścił sznur i gondola poszybowała szybko w górę. Po chwili znaleźliśmy się na wysokości czwartego piętra, oczami pożegnałem nasz balkon. Gdy

wzbiliśmy się jeszcze wyżej, poczuliśmy mocny powiew wschodniego wiatru, który unosił nas szybciej w górę. Przez jakiś czas widzieliśmy w niektórych oknach światła i światła ulicznych latarni. Z czasem stawały się coraz dalsze, aż wreszcie znikły w czerni nocy.

Wiatr pchał nas na zachód, co stwierdziliśmy, obserwując dobrze nam znaną konstelację Wielkiej Niedźwiedzicy i Gwiazdę Polarną. Zaczęło być bardzo zimno. Ponieważ nie było nic widać, położyliśmy się na dnie gondoli i przykryliśmy płachtami. Zrobiło się cieplej i ogarnęła nas senność. Dumni i zachwyceni spełnieniem naszych marzeń zasnęliśmy.

Obudził mnie Antoś. Postanowiliśmy zapalić zapalniczkę, by zobaczyć, która godzina. Było zupełnie ciemno. Okazało się, że jest godzina piąta, a więc spaliśmy jakieś pięć godzin. Gdy zacznie świtać, musi ukazać się ląd. Wody pod nami nie byliśmy w stanie odróżnić od ziemi, trzeba jednak było szykować się do lądowania. Zaczęło szarzeć. Pilnie wpatrywaliśmy się, co jest pod nami. Nagle dojrzeliliśmy rzekę i pagórki, wśród których płynęła. AMERYKA! Postanowiliśmy lądować.

- ŁADUJEMY! HOWGH!

Antoś-UNKAS wyjął swój nóż i powoli zaczął odcinać baloniki według przewidzianej kolejności. Coraz lepiej już rozróżnialiśmy wysokości pagórków. Szczęśliwie nie widzieliśmy żadnych domów. Antoś coraz szybciej uwalniał gondole od baloników. Rzeka „rosła nam w oczach”, gondola opadała wolno. Dziwiliśmy się, że rzeka nie przesuwa się do nas, lecz jest nieruchoma. Teraz trzeba było uważać, by wylądować MIĘKKO. Po chwili gondola osiadła pomiędzy trawami. Antoś odciął szybko pozostałe baloniki, by wiatr nie porwał gondoli. Wyszliśmy z gondoli i gdy koniecznie chcieliśmy się zorientować według naszej mapy, gdzie jesteśmy, wyciągnąłem rękę i... obudziłem się. Była godzina siódma. Obudziłem się jak zwykle - o siódmej.

Czarujący chłopak

NIWA, MOJA NIWA, NIWA ZOŁOTAJA, ZRIEJESZ TY NA SOŁNCE KOŁOS
NALIWAJA.

Tym wierszem w roku 1912 mama rozpoczęła ze mną naukę języka rosyjskiego, dołączając ją do lekcji języka polskiego, historii Polski i arytmetyki. Po nauczeniu się na pamięć tego wiersza zacząłem się uczyć AZBUKI, to znaczy rosyjskiego abecadła, i CZYSTOPISANJA, czyli kaligrafii. Na naukę języka polskiego, historii polskiej i arytmetyki przychodziła moja rówieśniczka Jadzia, córka stolarza. Żebyśmy z Jadzią mieli złudzenie, że już jesteśmy w szkole, mama stawiała nam w zeszytach stopnie. Mieliśmy zawsze jadanokowe. Same piątki. Jadzia mieszkała bardzo daleko, pod Zakrętem², i gdy pogoda się popsowała a Jadzia przeziębiała, sam musiałem podolać ciężarom AZBUKI, STICHOW i CZYSTOPISANJA.

Miałem krótką przerwę w nauce. Ojczym zabrał mnie ze sobą do Woroneża. Kończył w nim budować elektrownię. Po przyjeździe na budowę okazało się, że nie bardzo wie, co ze mną zrobić w godzinach swej pracy. Żeby sam nie nudził się w hotelu, zaprowadził mnie do znajomego BATIUSZKI - popa. Był on bardzo miły i wesoły. Batiuszka, znawca dusz młodzieży, natychmiast potrafił zainteresować mnie swoją ogromną plantacją truskawek i wypuścił samego pomiędzy długie szeregi ciemnozielonych liści, olbrzymiej ilości zielonych truskawek, wśród których raz na godzinę udawało mi się znaleźć jedną różową. Po całym dniu spędzonym na uganianiu się za różowymi truskawkami szybko zacząłem sam robić się jak czerwona dojrzała truskawka, przy czterdziestu stopniach gorączki. Następnego dnia, gdy tylko temperatura spadła, natychmiast wyruszyliśmy do Wilna i musiałem wrócić do mojej NIWY.

Mama dostała pracę w Towarzystwie Rolniczym. Dyrekcja, administracja i park z narzędziami rolniczymi przylegał do posesji naszego domu przy ulicy Zawalnej 7. Towarzystwo mieściło się pod numerem 9. Wkrótce i ojczym zaczął pracować w Towarzystwie Rolniczym. Oprócz tego został sekretarzem Towarzystwa Pomologicznego. Ten tytuł - po „kłęsce woroneżskiej” - podniósł znów ojczyma w moich oczach na niebotyczną wysokość. Wyobrażałem sobie, że jego gabinet zastawiony jest olbrzymimi

² Zakręt - nazwa lasu na lewym brzegu Wilii, nawiązująca do położenia na jej zakolu („zakręcie”). Docierały do Zakrętu najdalej domy lewobrzeżnego przedmieścia Ponarskie, a dzielnica Zwierzyniec miała go naprzeciwko. Na ogół mówiło się Z a k r e t, nie kojarząc z rzeczywistym znaczeniem, a najwyżej poszukując sensu w skojarzeniu z... kretem. Nosówkę odebrali nazwie zaborcy, w swych ortografiach, rosyjskiej i niemieckiej, zapisując „ę” jako „e”, a ludność potem w większości o tym zapomniała, szczególnie młodsze pokolenie. Miejsce

biurkami z tysiącami szufladek, w których ojczym w licznych teczkach przechowuje sekrety, dostarczane przez ludzi „pomagających”, stąd nazwa Pomologiczne. Najbardziej interesowały mnie owe sekrety w szufladkach, ale rozumiałem, że jeśli obdarzono ojczyma tak wielkim zaufaniem, to nie wypada pytać, jakie to sekrety.

W tym czasie ojczym rozpoczął prace nad statystyką bydła Litwy i Białorusi. Dowiedziałem się o tym, gdy do pokoju ojczyma wniesiono wielki stół kreślarski, oparty na żelaznej konstrukcji z pedałem. Dzięki niemu tablica kreślarska pozwalała się ustawiać w każdej pozycji. Napawały mnie dumą posuwające się po niej na szynach linie, nie mówiąc już o lampie elektrycznej z reflektorem na ruchomym ramieniu, dającym się skracać i wydłużać, oraz że w ogóle coś takiego posiadamy w domu. Praca ojczyma była pionierska. Dotychczas statystyką bydła na tych ziemiach nikt się nie zajmował.

Któregoś dnia ojczym powiedział, że zabierze mnie ze sobą do Towarzystwa Pomologicznego. Pracował w nim wyłącznie po południu. Pojechaliśmy dorożką. Gdy tylko weszliśmy do tego domu, w którym mieściło się biuro, i upewniłem się, że jestem w gabinecie ojczyma - doznałem wielkiego uczucia zawodu, a ojczym z niebotycznych wyżyn zstąpił na ziemię. W jego gabinecie stało zwykłe biurko. Mieliśmy w domu takich kilka. W biurkach były zwykłe szuflady, a w nich zwykłe teuczki. W takich, według mnie, nikt sekretów chyba nie przechowuje. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie używają takich wielkich tytułów, a potem okazuje się, że nic ważnego. Myślałem, że sekretarz znaczy więcej niż generał, więcej może nawet niż książę, bo nigdy nie słyszałem, żeby ktoś im przekazywał sekrety. Bardzo mi było ojczyma żal, że dali mu tylko tytuł, a nie dali odpowiednich biurek, teczek i sekretów.

Mama, zatrudniona w Towarzystwie Rolniczym, przypomniała sobie zwiedzaną wszechświatową wystawę kolonii francuskich pod Paryżem. Ja na tej wystawie z nią nie byłem z powodu upału i odległości - należało jechać pociągiem - ale pozostało we mnie wspomnienie wielkiej dumy z mojej mamy.

Całodzienne chodzenie po wystawie w słonecznym skwarze, przy tym w nowych, supermodnych białych bucikach z cienkiej skóry, zapinanych prawie do kolan na białe guziki, zmęczyło mamę ogromnie. Opuszczając dworzec w Paryżu znalazła się na zalanych jeszcze promieniami zachodzącego słońca asfaltowych ulicach, co dopełniło miarki. Mama przeprosiła towarzyszących jej panów, rozpięła guziki i oświadczyła, że pójdzie dalej z

bucikami w rękę. Na ulicy paryżanie na widok tak kroczącej mamy, kłaniali się i bili brawo. Ku zdumieniu towarzyszących mamie panów, również paryżanki wyrażały mamie uznanie, bijąc brawo. W domu ciocia usiłowała pomniejszyć sukces odwagi mamy. Stwierdziła: „Gdybyś nie była taka ładna, nikt by ci brawa nie bił”. Panowie jednak uważali, że jeśli chodzi o aplauz pań, to na pewno odnosił się do odwagi mamy.

Ja w każdym razie byłem z mamy bardzo dumny.

Otóż mama, przypomniawszy sobie tę wystawę, postanowiła urządzić w Wilnie wystawę wyrobów ludowych, sporządzanych na własny użytek: tkanin, przedmiotów z gliny, drewna i żelaza - podobnie jak prezentowały swoje ludy czarne, żółte i czerwone z kolonii francuskich.

Projekt mamy bardzo się podobał dyrektorowi Towarzystwa Rolniczego, panu Ignacemu Turskiemu, i na zebraniu Towarzystwa postanowiono taką wystawę urządzić. Wzięła swój początek w naszym mieszkaniu, w dużym pokoju stołowym. Wujaszek i jego koledzy, kończący studia prawnicze na uniwersytetach rosyjskich, podjęli się zbierania eksponatów. Rozjechali się w ich poszukiwaniu. Stopniowo zaczęły przychodzić przesyłane przez nich zebrane przedmioty. Każda nowa przesyłka wzbudzała zachwyty. Tkaniny były przepiękne, również wyroby z drewna, żelaza i garncarskie. Mnogość zgromadzonych przedmiotów była tak wielka, że przeszła oczekiwania mojej mamy i wszystkich pracowników Towarzystwa Rolniczego. Dla ich wyeksponowania pomieszczenia Towarzystwa Rolniczego były za małe. Z pomocą mamie przyszedł pan Ferdynand Ruszczyc, wówczas sława artystycznomalarska Wilna. Ruszczyc mieszkał z rodziną w Bohdanowie, ślicznym majątku w powiecie oszmiańskim, położonym w pobliżu Różysławia i Siedliszcza. Za swych panięskich czasów mama bywała tam częstym gościem, wpadał też „Ferdzio” Ruszczyc, opromieniony już sławą wielkiego artysty. W tym okresie szczególnie, jak mówiono, zajęty malowaniem morza i... moją mamą. Mama zaprzeczała temu, mówiąc, że pan Ferdynand ma wyłącznie morze w głowie i - zdaniem jego przyjaciół - „faluje”.

Pan Ferdynand Ruszczyc mocno się przejął sprawą wystawy, a potem, gdy mama pokazała mu cały zebrany materiał, bardzo się do niej zapalił. Mama, poza pomysłem i zorganizowaniem zbierania eksponatów, za co otrzymywała od znajomych „wyrazy najwyższego uznania”, nic więcej w tej sprawie nie mogła uczynić. Bohaterem zbierania był brat mamy, wujaszek Mietek. W swych poszukiwaniach zapędzał się w najbardziej niedostępne poleskie błota. Do położonych tam miejscowości można się było dostać zimą sankami po zamrożniętych bagnach, a latem czółenką „duszehubką” po setkach małych komu znanych rzeczek. Za swój największy sukces wujaszek uważał dotarcie do sadyby, w której

go zapytano: „Jakie jest imię króla panującego teraz w Polsce?” Bo utknęli na Auguście Drugim Sasie. W niektórych dworach do oświetlenia izb używano zawieszanej u sufitu żelaznej kraty z płonącymi na niej specjalnie przygotowanymi do tego celu malutkimi wiązkami drewna.

Pan Ferdynand powołał olbrzymi komitet ze społecznie usposobionych pań i panów, a sam zajął się stroną artystyczną wystawy arcydzieł sztuki ludowej Litwy i Białorusi.

Pomieścił wystawę w Sali Miejskiej przy ulicy Ostrobramskiej, zamieniając ją w olbrzymi świronek oszmiański, obsadzony od ulicy barwnymi malwami. Przygotował piękny afisz. Figurował na nim czarny rycerz Pogoni na ciemnoczerwonym tle w obramowaniu różnobarwnych palm i pasów. Zarówno trafność myśli, jak i piękny dobór barw czyniły z afisza arcydzieło.

Sukces wystawy przeszedł najśmielsze oczekiwania. Wilno zastygło w zachwycie. Zachwyt ten dotarł do Sankt Petersburga i sprawił, że Najjaśniejsza Pani kazała przewieźć wystawę w całości z Wilna do Petersburga.

Gdy się mama dowiedziała, że jako projektodawca i reprezentantka wystawy będzie mogła ukłęknać przed Najjaśniejszą Panią i ucałować jej rękę, oddała ten zaszczyt hrabinie Drohojowskiej, bardziej z tym ceremoniałem obytej.

Ku swemu zdumieniu mama, nie wymieniana ani na afiszach wystawy, ani w wileńskiej prasie (może z tego powodu, że mama wciąż nosiła nazwisko mego ojca, a mój ojczym, Witold Czyż, biorący czynny udział w komitecie wystawowym, wszędzie figurował jako Jan Jeleński, bo w roku 1905 należał do Polskiej Partii Socjalistycznej i po ucieczce z więzienia w Oszmianie do Lwowa i konfiskacie majątku Antoniszki przez jakiś czas stale zmieniał nazwisko) otrzymała z Petersburga wykaligrafowane olbrzymich rozmiarów podziękowanie za wspaniałą wystawę, podpisane przez Carową Wszechrosji.

W naszym olbrzymim ośmiopokojowym mieszkaniu ostatnie dwa pokoje w końcu korytarza zajmowali uczniowie. Prawie wszyscy z Gimnazjum Winogradowa. Mieściło się ono naprzeciwko kościoła świętej Katarzyny. Chłopcy więc do gimnazjum mieli z domu kilka kroków. Chłopcy byli z nami spowinowaceni, wszyscy z oszmiańskiego powiatu, a ich rodzice zaopatrywali nasz dom w wiktuały ze swych majątków.

Często wieczorami przesiadywałem w pokoju chłopców. Wśród przedmiotów, których się uczyli, najbardziej dla mnie tajemniczym była „greka”. Bardzo jej nie lubili. Gdy ich słuchałem uczących się wierszy rosyjskich o Napoleonie, nie mogłem zrozumieć, dlaczego

Rosjanie tak go chwala i tak ładnie o nim piszą, skoro z jego powodu spalili Moskwę. Ponieważ sam nie mogłem znaleźć na to wytłumaczenia, spytałem o to swego wujaszka. Odpowiedź wujaszka Mietka przekonała mnie i w to, co powiedział, wierzyłem wiele lat.

Powiedział on mianowicie tak:

- To proste i zrozumiałe. W Rosji wielu ludzi chciało uczyć dzieci po francusku, podobnie jak u nas. Nauczyciel z dobrą wymową kosztował bardzo drogo. Napoleon przyprowadził ich około dwustu tysięcy. Nauczyciel-niewolnik nie kosztował prawie nic. Rozumiesz? Nawet twoja matka musiała pojechać do Paryża, siedzieć w nim pięć lat, żeby nabrać paryskiego akcentu i potem być rozchwytywana jako nauczycielka-paryżanka.

W tym ostatnim twierdzeniu była duża doza prawdy i tym bardziej mnie przekonał.

Gdy jeden z uczniów mieszkających u nas zachorował na szkarlatynę, mama natychmiast odprowadziła mnie do wujostwa Wojewódzkich, mieszkających przy tej samej ulicy kilka domów dalej. Wujostwo kilkadziesiąt lat spędzili na Syberii, gdzie zimą mleko sprzedawało się na arszyny, a za jednym zasiadem przygotowywano litewskie kołduny na kilkadziesiąt obiadów. Przy czterdziestostopniowym mrozie nie traciły nic ze swej świeżości przez wiele miesięcy.

Wuj był lekarzem. Byli bezdziejni. Dla wypełnienia tej pustki wzięli na wychowanie chłopca - Wołodę, z zobowiązaniem wychowania go na Rosjanina. Wołody bardzo kochali, jak własnego syna. Wołody skończył politechnikę i gdy się usamodzielił, wujostwo przyjechali do Wilna. Zbliżenie do wujostwa skończyło się tym, że ciocia (dla mnie była babką) zapragnęła mnie uczyć i przygotować do egzaminu gimnazjalnego.

Wuj Władysław był osobą, wokół której wszystko w domu się obracało, a i dla całej naszej rodziny był ideałem. Stracił jednak nieco w moich oczach pewnego dnia. Było tak. Od godziny piątej po południu wuj przyjmował pacjentów. O godzinie siódmej następowała krótka przerwa, w której wuj, zmęczony pacjentami, wychodził do pokoju stołowego i tam sięgał po przygotowaną dla niego ogromną szklanicę z ciemnowiśniowym płynem, stojącą za firanką koło okna. Za każdym razem, gdy pił ten napój, widziałem na jego twarzy wielkie zadowolenie. Długo opierałem się dzielnie pokusie skosztowania tego cudownego napoju. Ciocia ustawiała go zaraz po obiedzie, ale nie udało mi się zobaczyć, z czego jest sporządzany. Któregoś dnia pokusa stała się tak silna, że gdy tylko pacjenci się zjawili, a ciocia położyła się w sypialni, by odpocząć po obiedzie, poszedłem do stołowego pokoju i pomimo że rozumiałem, iż popełniam coś bardzo karygodnego, zanurzyłem usta w środek szklanicy, by nie zostawić śladów na jej brzegach, i ostrożnie pociągnąłem łyk tego cudownego napoju. Nigdy słów tak zwanych brzydkich nie używałem, ale napój był tak

gorzki - była to nie osłodzona prawie czysta esencja herbaciana - że po przełknięciu go pod adresem nieskazitelnego wuja wyszeptalem wzruszając ramionami: - Ot, dureń!

Było to wielkie przeżycie. Naruszyłem zakaz picia lub brania czegoś bez pozwolenia, w dodatku w cudzym domu. Najgorszą jednak sprawą był epitet wypowiedziany pod adresem kochanego, dobrego i mądrego wuja. Prawdopodobnie popełniłem grzech śmiertelny i nie wiedziałem, jak się go pozbyć.

Miłość wujostwa do Wołodi powoli zaczęła spływać na mnie. Zaczęło się to od odziedziczenia przeze mnie po Wołodi wiersza deklamowanego przez niego tak ładnie, że za każdym razem, gdy wujostwo podejmowali gości, malutki Wołodia musiał stawać na krześle i recytować go ze świetnie wyuczoną intonacją i gestykulacją. Wiersz nosił tytuł: "GENERAL TOPTYGIN".

Podobał mi się, i po paru miesiącach ciocia powiedziała, że zupełnie dobrze deklamuję. Prawie tak jak Wołodia. Od tego czasu stałem się jedną z wielkich atrakcji, jako cudowne dziecko, na przyjęciach u wujostwa. Podobnie jak Wołodia stawałem na krześle i z największą modulacją głosu, podkreślającą każdą akcję utworu, recytowałem.

Przygotowując mnie do egzaminu, ciocia musiała mnie nauczyć wielu innych wierszy wymaganych na egzaminie. Przeważnie były to BAŚNIE KRYŁOWA.

W maju 1913 roku wyruszyłem z Witkiem, to znaczy z ojczymem, do gimnazjum. Mówiłem Witek, bo tak się naprawdę nazywał, a tylko oficjalnie był Janem Jeleńskim. Używany przeze mnie język francuski po powrocie z Paryża do Wilna sprawił, że z miejsca zacząłem zwracać się do ojczyma po imieniu. Ojczym nigdy się na mnie nie gniewał i nigdy nie podniósł głosu. Pozyskał moje serce od razu przy poznaniu się. Zaprowadził mnie do swego dobrego przyjaciela, lekarza weterynarii Mieszkowskiego, i pokazał mi u niego cudnego białego konia araba. Ten arab-cud związał nas na całe życie.

Szliśmy na piśmienny egzamin do Gimnazjum Winogradowa, będącego tematem opowiadań mieszkających u nas jego uczniów. Wiedziałem, kim jest dyrektor, inspektor i niektórzy nauczyciele. Ojczym wielu uczniom z tego gimnazjum udzielał korepetycji i znał osobiście dyrektora, inspektora i sporo nauczycieli klas starszych. W gimnazjum przeważali Polacy, głównie pochodzący z bardziej zamożnych rodzin, ponieważ było to drogie gimnazjum prywatne. Cieszyło się sympatią Polaków ze względu na przyjazny stosunek do nich dyrektora i inspektora. Rosjan i Żydów było niewielu.

Miałem już osiem lat, ale mama nie chciała mi obciąć włosów. Olbrzymie ciemnokasztanowe pukle układały mi się na ramionach i z tego powodu wielu znajomych nazywało mnie Maniusią. W tym czasie byłem „Indianinem”, bardzo silnym i

wygimnastykowanym, ale raczej drobnym. Wyglądałem na znacznie młodszego. Gdy wywołano moje nazwisko, wszedłem znów do tej samej sali co wczoraj. Nie było już w niej ławek, bo dzisiaj miał być egzamin ustny. Stał olbrzymi stół nakryty zielonym suknem. Prezydował przy nim dyrektor Prawosudowicz. Pomimo imponujących mundurów egzaminatorów pragnących zobaczyć swych przyszłych uczniów ja, Indianin Tenanga, niewiele sobie robiłem z... „bładych twarzy”. Dyrektor Prawosudowicz zwrócił się do mnie z pytaniem, jakie umiem „stichi”. Wymieniłem objęte programem wiersze Kryłowa, poczynając od utworu „Lisica i winograd”, a na zakończenie popisałem się tytułem nie wymaganego długiego wiersza Niekrasowa „Gienierał Toptigin”. Pomimo emocji, jaką przeżywałem, spostrzegłem w tym momencie na twarzach przeświecanych „bładych twarzy” zainteresowanie. Popatrzyli na siebie porozumiewawczo i po krótkiej naradzie dyrektor z uśmiechem powiedział:

- *Skazi nam stichotworienje Niekrasowa „Gienierał Toptigin”.*

Przyjąłem wyuczoną na przyjęciach u wujostwa postawę, którą przybierałem stając tam na krześle. Nabrałem w płuca powietrza, by dobrze przestankować, i usiłując zachować jak najlepsze „udarienje” rozpocząłem:

Dielo pod wieczer, zimoj

I moroziec znatnyj...

Według cioci „kunsztownie, jak najlepszy aktor”, umiałem zmieniać intonację głosu dla każdej osoby. Bardzo niskim głosem mówiłem to, co się odnosiło do starego niedźwiedzia siedzącego w saniach zaprzęgniętych w trójkę pocztowych koni, oszalałych ze strachu i pędzących ze swym niezwykłym pasażerem do najbliższej stacji. Mijani „mużyki i baby” brali rozpartego w saniach niedźwiedzia za generała. Musiałem zmieniać głos dla „jamszczika” Fiedi i dla Trifona, brodatego właściciela misia, wracając przy tym ciągle do sposobu mówienia narratora. Zmienność i żywość akcji wymagała stałej zmiany modulacji głosu. Zdaniem cioci, byłem najlepszy, „na piątkę z plusem”, jako „smotritiel stancji”, który przemawia do niedźwiedzia, uważając go za generała. Deklamując teraz, poczułem się pewnie. Ta pewność dodała mi odwagi i zrodziła chęć zaimponowania. Egzamin chciałem zdać bardzo dobrze. Podczas deklamacji widziałem na twarzach egzaminatorów takie samo wesołe zainteresowanie, jakie wykazywali goście wujostwa. Tam, po moim wyuczonym

ukłonie, otrzymywałem głośne brawa. Teraz też pewny byłem sukcesu, więc gdy skończyłem, ukłoniłem się, jak u wujostwa na największym przyjęciu. Dyrektor pierwszy zaczął bić brawo, za nim wszyscy inni nauczyciele z nie mniejszym zapalem. Deklamując, widziałem, że dyrektor ma przed sobą moje prace pisemne, i pomyślałem, że jeśli były tam jakieś błędy, to zostały przekreślone przez „Gienierała Toptigina”. Gdy umilkły brawa, dyrektor wyszedł zza prezydialnego stołu, podszedł do mnie i posadził mnie na swojej lewej ręce, następnie wyniósł do poczekalni. Wśród tłumu stojących tam rodziców z chłopcami zdającymi egzamin stał również mój ojczym.

Dyrektor, trzymając mnie wciąż na ręku, podszedł do ojczyma, uściśnął mu dłoń i pokazując mnie zdumionym rodzicom i chłopcom, powiedział: - *Prielestnyj malczik*.

Na jesieni rozpoczęła się nauka w gimnazjum. Z obcięzonymi włosami, ale wciąż jako Indianin Tenanga, w czarnej „kosoworotce”, w długich czarnych spodniach, spięty czarnym lakierowanym pasem z kwadratową sprzączką z białego metalu z literami WWG (Wilenskoj Winogradowa Gimnazija), w płaszczu i czapce z gwiazdką, też z literami WWG, odprowadzony przez mojego ojczyma, znalazłem się w gronie jednakowo ubranych i ostrzyżonych rówieśników. Z wielu Polakami od razu zaprzyjaźniłem się. Lekcje rozpoczęły się w poniedziałek. Przed lekcjami modlitwa. Bardzo dumny stanąłem do niej w jednym szeregu z mieszkającymi u nas w domu kuzynami z oszmiańskiego powiatu, ośmioklasistami, i ich kolegami, odwiedzającymi ich u nas. Pierwsza lekcja. „Otieczestwiennaja istoria”. Uczy dyrektor Prawosudowicz. Pochłonięty nowymi znajomościami, nie wiedziałem, o czym dyrektor mówi. Koledzy coś tam zapisywali. Ja, szczęśliwy, nie miałem ani zeszytu, ani ołówka. Druga lekcja. „Niemieckij jazyk”. Weszła wysoka, ładna nauczycielka Niemka, Lusi Eskarowna. Może trochę za wysoka i za wysmukła. Włosy miała popielate, duże ciemnoniebieskie oczy, zgrabny nos. Cała twarz przypominała piękną lalkę z porcelany i bardzo mi się podobała. Mówiła coś miłym głosem, nawet pisała na tablicy. Po drugiej lekcji żona woźnego postawiła na „podokonniki” w korytarzu olbrzymie tace z olbrzymimi ciastkami. Ciastko kosztowało zawrotną sumę pięciu kopiejek. Wielu kolegów zajadało się nimi. Ja nie miałem pieniędzy i nigdy o nie mamy nie prosiłem. Byłem tak zajęty rozmową z kolegami, że nie miałem nawet czasu myśleć o ciastkach. „Russkij jazyk”. „Priepodawatiel” Lenskij. Nie wiedziałem, czy tak go tylko nazywali koledzy, czy było to jego prawdziwe nazwisko. „Arifmietika”. Grigorij Iwanowicz Żdanko. Mówił bardzo zabawnie i rzeczywiście tak, jak opowiadali o nim starsi koledzy u nas w domu, bardzo zabawnie pisał na tablicy.

Wielka przerwa. Razem ze starszymi kolegami poszedłem do nas do domu na drugie śniadanie. Kakao, mleko, chleb, bułki, masło, sery, miód, wędliny. Wracamy razem szybko do gimnazjum. U mnie piąta lekcja - „prirodowiedjenje”. „Priepodawatiel” staruszek Gijewskij. „Francuskij jazyk”. Uczyła Rosjanka Olga Iwanowna. Znacznie młodsza od Niemki, ale niczym szczególnym uwagi mojej na siebie nie zwróciła. Nie wiedziałem nawet, o czym mówiła. „Pienje”. Poszliśmy do tej klasy, w której zdawałem egzamin wstępny. Teraz stało tam pianino. Jeden z chłopców był znajomym nauczyciela śpiewu i gdy nauczyciel zagrał melodię, on zaśpiewał całą pieśń. Był to raczej hymn rozpoczynający się od słów: „*Bratja Sławianie, znamia swobody pust' razwierniotsia nad wami, car prawosławnyj Rusi wielikoj was ochraniajet lubowju*”. No i koniec lekcji. Rozbawiony, rozweselony i zachwycony nowymi kolegami wróciłem do domu.

W domu opowiadałem i opowiadałem. Siedziałem w klasie wśród samych Rosjan. Obok mnie siedział Piatosin, za mną Musajew i Bulonok. Przede mną Żydzi Brojdo i Friedman. Dotychczas chodziłem w krótkich spodenkach, teraz te długie bardzo mi imponowały i nie chciałem nawet przebierać się w dawne ubranie. Koledzy z ósmej nigdy się nie przebierali, więc ja też nie mogłem.

Po trzech dniach radosnych, pełnych zabaw w gimnazjum i w domu, niespodziewanie na lekcji „prirodowiedjenja” usłyszałem swoje nazwisko wyczytane przez „priepodawatiela prirodowiedjenja” Gijewskiego. - Borchardt! - Byłem zdezorientowany i nie wiedziałem, co mam robić. Odpowiedziałem służbiście: - *Jest!* - co w wymowie brzmiało „jeść”, i na tym skończyła się moja orientacja. Piatosin wypchnął mnie z ławki i domyśliłem się, że muszę wyjść do tablicy. Dotychczas nikogo nie wywoływano. Wszyscy obecni moi koledzy przez cały rok uczęszczali do „prigotowitelnowo klasa”, a mnie przez kolejny rok uczyła ciocia Anna Wojewódzka. Stałem koło tablicy nie rozumiejąc, czego ten pan ode mnie chce.

- *Skazi, kakije bywajut tiermometry?* — usłyszałem pytanie.

Szybko w myśli przebiegłem wszystkie widziane przeze mnie w życiu termometry. Szczególnie wrażyły mi się w pamięć te do mierzenia gorączki i z ich wizją w myślach odpowiedziałem pewnym głosem:

- *Stieklannyje!*

- *Niet, nie stieklannyje!* - usłyszałem zdumiony.

Byłem w rozterce. O jakie mu chodzi? Nie te od gorączki? To może o te wiszące w pokojach na drewnianych deseczkach?

- *Dieriewiannyje* - poprawiłem się.

- *Niet, nie dieriewiannyje* - wycodził przez zęby Gijewskij.

Trochę zrozpaczony, nie wiedziałem, w czym rzecz. Osobiście nie miałem wątpliwości, że termometry są szklane. Widocznie klasyfikuje się je w inny sposób. Może od ochrony w postaci żelaznej gardy przed kuleczką z rtęcią.

- *Żelaznyje* - powiedziałem bardzo niepewnym głosem.

- *Niet, nie żelaznyje. Sadis!*

Wróciłem na miejsce, usiadłem, nie biorąc zbyt do serca całego nieporozumienia. Staruszek widocznie nie widział termometrów do mierzenia gorączki. Może nigdy mu jej nie mierzono. Taki był zdrow przez całe życie - pomyślałem. Słyszałem, jak wywoływał po mnie Zygmunta Bujko, Stasia Bujniewicza. Coś mu odpowiadali, czego ja nie zrozumiałem, bo Piatosin pokazał mi właśnie fotografię swego brata w aeroplanie. Brat jego był lotnikiem. Była wojna, więc aeroplan Piatosina więcej mnie interesował niż termometry, o które pytał „pripodawatiel” Gijewskij, a o których sam nie miał pojęcia.

Tego dnia wszyscy jakby się zmówili przeciwko mnie. Może dlatego, że byłem pierwszy na liście w spisie uczniów. Lenskij też: - Borchardt! - Wiedziałem już, że muszę wstać, krzyknąć: - *Jest!* - potem wyjść z ławki i stanąć koło tablicy frontem do klasy. Gdy już stałem tam, gdzie trzeba, Lenskij chciał usłyszeć ode mnie początek wiersza „Borodino”. Wyjątki tego utworu pamiętałem z tego, co usłyszałem w domu przesiadując wieczorami u chłopców, gdy się uczyli. W tej chwili nie wiedziałem, jak się ten wiersz zaczyna. Przypomniałem sobie tylko rymy ze słowem „Łafieta”. Ale nie wiedziałem, czy „Łafiet” to przyjaciel, czy tylko znajomy autora wiersza. Że jest to laweta działa, nigdy nie przyszło mi do głowy. Chcąc jednak coś odpowiedzieć, zadeklamowałem:

- „*Poszoł wzdriemnutja u Łafieta*”.

Lenskij, nie rozumiejąc mojej sytuacji, spytał:

- *Poczemu ty naczał od „łafieta”!*

- *Potomu czto eto jewo prijatiel!* - odpowiedziałem, nie mogąc dotychczas rozwiązać zagadki, czy to przyjaciel, czy tylko znajomy.

Huraganowy śmiech kolegów - „błdych twarzy” nie wytrącił mnie z równowagi. Pomyślałem, że był to tylko „znakomyj”, a nie „prijatiel”. Nie zrażony rozbawieniem całej klasy usiłowałem deklamować dalej to, co zapamiętałem:

- „*I słyszno było do razswieta, kak likował Francuz*”.

Ale Lenskij nie chciał dłużej zgłębiać mojej znajomości wiersza „Borodino” i powiedział z kwaśnym wyrazem twarzy:

- *Sadis!*

Wróciłem na miejsce, nie posuwając ani o jeden krok zagadki: *Łafiet - prijatiel ili*

znakomym?

Geografii uczył ten sam nauczyciel co i „prirodowiedienja”. Staruszek Gijewskij. Znow mnie wyczytał: - Borchardt! - Znow odkrzyknąłem służbiście: - *Jest!* - i pomaszero wałem do tablicy. Staruszek powiedział:

- *Pokaži mnie swój geograficzeskij atlas dla upražnienji* - czyli: - Pokaż mi swój geograficzny atlas do ćwiczeń.

Widziałem, że Piatosin miał coś takiego i coś w nim kolorował. Ja nie miałem. Skąd!

Nawet Lusi Eskarowna też czegoś ode mnie dzisiaj sobie życzyła. - Borchardt! - *Jest!* - Wstałem i podszedłem do tablicy.

- *Sage mir, bitte...* - powiedziała i coś jeszcze, jakby: „*der, die, das*”.

Ponieważ Lusi Eskarowna bezwzględnie bardzo mi się podobała, chciałem być wobec niej nadzwyczaj grzeczny, więc ukloniłem się jej jak umiałem najładniej i powiedziałem:

- *Izwienitie, Lusi Eskarowna, no ja nie znaju.*

Wydało mi się, że ona na to: - *Schade* - czy coś podobnego, ale dla mnie było rzeczą najważniejszą, że się przy tym uśmiechnęła, że nie robiła niezadowolonej miny, jak Gijewskij i Lenskij. Z tym samym uśmiechem powiedziała coś w rodzaju: „*sycem*”... Domyśliłem się, że mogę usiąść. Ukloniłem się raz jeszcze i zadowolony z jej uśmiechu wróciłem na swoje miejsce.

Wciąż nie rozumiałem, o co właściwie chodzi. Byłem tak zajęty kolegami, rozmową z nimi, przeżyciami na korytarzach podczas przerw między lekcjami, odwiedzinami starszych kolegów z klasy ósmej, że odczuwałem nawet zadowolenie, iż czytają moje nazwisko i mają je w pamięci.

Grigorij Iwanowicz Zdanko też mnie wywołał do tablicy i chciał koniecznie, żebym mu pokazał „tietrad” i zrobione zadania. Ani zadania, ani „tietradi” nie miałem i nie wiedziałem, skąd je wziąć.

Olga Iwanowna naśladowała Grigorija Iwanowicza i również, gdy po okrzyku „*jeść*” stanąłem przy tablicy, powiedziała:

- *Montrez moi votre cahier!*

Będąc jeszcze mocny w języku francuskim, zarówno w akcencie, jak i wymawianiu „h” zamiast „r”, bardzo płynnie jej wytłumaczyłem, że nie posiadam „cahier”. Swoją francuszczyzną zbytnio nikogo nie zdziwiłem, bo wielu kolegów Polaków również bardzo dobrze mówiło po francusku.

Olga Iwanowna bez uśmiechu powiedziała: - *Asseyes vous!* - Usiadłem.

Dyrektor Prawosudowicz chciał się ode mnie dowiedzieć, kim byli Riurik, Sinieus i

Truwor, ale nie udało mu się, podobnie jak jego poprzednikom, dowiedzieć czegośkolwiek z tej wiedzy, którą nam przekazywali. Nie wiedziałem bowiem nawet, kiedy to czynili. Nie dochodziło to do mnie.

W sobotę nasz „kłasnyj nastawnik”, Polak, Kazimir Iwanowicz spytał mnie, dlaczego nie oddałem „dniewnika”.

- *Dniewnika?* - zdumiałem się. - *Nie znaju, czto eto takoje* - odpowiedziałem.

Kazimir Iwanowicz popatrzył na mnie smutnym wzrokiem i powiedział:

- *Ty dolżen w poniedielnik priniesti dniewnik.*

Dziwiłem się, że koledzy mają jakieś książki i coś odpowiadają, zapytani przez nauczycieli, ale nauczony, że nie wolno pytać i wtrącać się w cudze sprawy - bo to niegrzecznie - pilnowałem tylko swoich spraw. Czułem jednak, że jest coś, czego ja nie wiem, a czego moi koledzy nauczyli się przez poprzedni rok w gimnazjum, o czym mnie ciocia Wojewódzka, przygotowując przez parę lat do egzaminów, nie powiedziała. Piatosinowi, z którym siedziałem, widocznie przez myśl nie przeszło, że ja nie wiem. Sądził, że mi się nie chce. Pozostali znali się dobrze i na mnie za bardzo nie zwracali uwagi, nie podejrzewając, że czegoś, czego oni przez cały rok się uczyli, ja po raz pierwszy będąc w gimnazjum, nie wiem. Ja każde zdanie musiałem w myślach z rosyjskiego tłumaczyć na polski.

Tego dnia wróciłem z gimnazjum trochę niespokojny. Od mieszkających u nas starszych kolegów dowiedziałem się, że muszę posiadać dziennik i że się go kupuje na ulicy Wielkiej w sklepach z książkami. Gdy tylko ojczym wrócił z mamą z biura, natychmiast mu o tym powiedziałem. Też się zdumiał:

- Nie masz dziennika? - spytał.

- Skąd go miałem mieć? - odpowiedziałem, nie mniej zdziwiony. - W gimnazjum nikt dzienników nie rozdawał.

- Natychmiast po obiedzie pójdziemy po dziennik - powiedział.

I rzeczywiście, gdy tylko skończyliśmy obiad, natychmiast ubraliśmy się i szybko wyszliśmy z domu na poszukiwanie dziennika. Tak jak chłopcy mówili, znaleźliśmy go na ulicy Wielkiej. Ojczym umiał bardzo ładnie kaligrafować i ślicznie napisał na tym szarym dzienniku moje imiona i nazwisko, a potem zapytał:

- Czy masz rozkład lekcji?

- Lekcji? - zdumiałem się.

- No tak, lekcji. Przecież lekcje się odbywają. Musieli wam podyktować lub są wypisane na tabliczce i powieszony w klasie.

- Może, ale ja nie widziałem.

- No to skąd wiesz, kiedy jest jaka lekcja? - dopytywał się ojczym.

- Jak to skąd wiem? Jeśli przychodzi Lusi Eskarowna, to wiem, że jest język niemiecki, jeśli Grigorij Iwanowicz - „arifmietika”, a jeśli dyrektor Prawosudowicz - to „otieczestwiennaja istoria”.

Ojczym nic nie powiedział. Było to tak logiczne, że aż mnie zdziwiło, że on o takie rzeczy pyta.

W poniedziałek, uszczęśliwiony ze zdobytego „dniewnika” i pięknie podpisanego, natychmiast po przyjściu do gimnazjum wręczyłem go „kłasnomu nastawniku”, Kazimirowi Iwanowiczowi. Oddał mi go na dużej pauzie. Zaciekawiony, zajrzałem. Tam, gdzie były linijki i miały być wpisane lekcje i co zadano, Kazimir Iwanowicz napisał czerwonym atramentem: *Niczewo nie zapisywajet w dniewnikie.*

W połowie drugiej kartki były wydrukowane przedmioty wykładane w gimnazjum, a w rubryce oceny zostały wystawione następujące stopnie:

„Oteczestwiennaja istoria” - czerwona pałka, „russkij jazyk” - czerwona pałka, „francuskij jazyk” - czerwona pałka, „niemieckij jazyk” - czerwona pałka, „arifmietika” - czerwona pałka, „prirodo-wiedienje” - czerwona pałka, „gieografia” - czerwona pałka.

Dziennika „starszym kolegom” nie pokazałem, tylko ojczymowi, gdy wrócił do domu z mamą.

Ojczym, gdy zobaczył otrzymane przeze mnie stopnie, zaczął się tak wesoło i serdecznie śmiać, że mama zajęta przygotowywaniem obiadu, zechciała też wziąć udział w naszej radości i spytała:

- Z czego się tak cieszycie?

Ojczym podał mamie otwarty dziennik i krztusząc się ze śmiechu wyszeptał:

- Prielestnyj malczik - siedem pałek w jednym tygodniu.

Golciper

Wydarzeniem, jakie mnie całkowicie pochłonęło jesienią 1913 roku w Wilnie, był próbny MECZ FUTBOLOWY, z której to nazwy niczego wyrozumieć nie mogłem. Miały to być jakieś zawody pomiędzy uczniami-Polakami rosyjskiego Gimnazjum Winogradowa, do którego zdałem wiosną egzamin. Miał to być SPORT ANGIELSKI. Zainteresowanie nim wzniecił we mnie mieszkający u nas daleki kuzyn Józiuczek - uczeń tego samego Gimnazjum Winogradowa, ale siódmej klasy (ósma była maturalna). Co wieczór schodzili się do Józiuczka jego koledzy z tej samej klasy.

Pomimo dzielącej nas gigantycznej pracy w postaci ośmiu lat nauki w języku rosyjskim byłem traktowany jako młodszy kolega, przy którym można mówić na każdy temat i który nigdy nie zabiera głosu. Wiedziałem wszystko o wszystkich nauczycielach tego gimnazjum, ale rozmowy o nich zostały zupełnie zaćmione nieznanym ANGIELSKIM sportem. Wszystko, co angielskie, było najlepsze, najmądrzejsze, społeczeństwo angielskie stojące najwyżej. Z tego, co słyszałem o owym czasie o Anglikach, najbardziej imponował król angielski, Jerzy Piąty. Król, z laseczką w ręku, mieszał się z tłumem londyńczyków podczas spaceru, bez żadnej ochrony policyjnej czy wojskowej. Ten argument mówił sam za siebie i zamykał usta tym, co mieli najmniejsze wątpliwości na temat doskonałości tego, co angielskie.

Żyliśmy w tym wrześnie wyłącznie przygotowaniami do nieznanej nam gry w piłkę. Na razie zostali wybrani najlepsi gimnastycy do dwóch drużyn po jedenastu ludzi, a te drużyny, grające między sobą, miały najlepszych graczy wystawić do gry z drużyną rosyjskiego Gimnazjum Katchego, także z uczniami-Polakami, z którymi łączyły nas stosunki przyjacielskie. Jak wówczas rozumiałem, nie chodziło o wygranie meczu dla gimnazjum, lecz o samą grę, która jest ANGIELSKA.

W okresie mego nieprzytomnego zachwyty dla wszystkiego, co angielskie, przyszła do nas z wizytą jedna z licznych dalszych ciotek. W tej ciotce wszystko było modne i wspaniałe - poczynając od wspaniałego olbrzymiego kapelusza ze strusim piórem, poprzez wspaniały żabot pieniący się pomiędzy najwspanialszymi jej „BIUSTAMI”. W tym czasie myślałem, że są dwa biusty, ponieważ słowa „piersi” publicznie nie używano, a mówiło się tylko BIUST.

W trakcie rozmowy z moją matką usłyszałem wymówione przez ciotkę wspaniałym głosem zdanie: - MOJE DZIECI PIJĄ HERBATE PO ANGIELSKU!

Usłyszane zdanie zmiażdżyło mnie. Ryś, Rysia i Krzysia piją herbatę po angielsku, a ja nie mam nawet pojęcia, co to znaczy. Wtrącać się do rozmowy i pytać było nie do pomyślenia. Musiałem czekać na okazję i zobaczyć, jak ta trójka PIJE HERBATĘ PO ANGIELSKU!

Ziściła się. Podczas wizyty u ciotki. Matka prawie nigdy nie zostawała u ciotki na herbatę. Gdy zaczęliśmy wychodzić - a wychodzenie zawsze trwało bardzo długo i podczas niego na stojąco w przedpokoju mówiło się rzeczy najważniejsze - ciotka właśnie zaczęła nas zatrzymywać na herbatę. Na szczęście czy nieszczęście matka moja wyczytała z moich oczu błaganie, by zostać. Zostaliśmy.

Podniecony, przyglądałem się pilnie zabiegom przyrządzania herbaty po ANGIELSKU. Wszyscy dostaliśmy herbatę z MLEKIEM. Ciekawość moja obaliła wszystkie bariery wychowania w postaci zakazu odżywiania się przy stole w obecności starszych, zadawania pytań. Naturalnie wiedziałem, że żadna kara mnie za to nie spotka, ale od chwili, gdy zacząłem COŚ rozumieć, zamierzając coś uczynić czy wypowiedzieć jakieś zdanie, ciągle musiałem mieć w pamięci zasadę, którą wpajała we mnie moja matka: MYŚL, CO ROBISZ. Pijąc tę herbatę, pilnie myślałem, co robię i co chcę powiedzieć, ale... nie wytrzymałem i spytałem:

- Czy TO jest herbata po ANGIELSKU?

Obie kuzynki z dumą przytaknęły:

- Tak, to jest herbata po ANGIELSKU.

Cały mój światopogląd zawirował. Najcięższej próbie została poddana doskonałość wszystkiego, co angielskie - to jedno, a drugie - zachwiała się moja wiara w modność ciotki i jej wzniosłości.

Taką herbatę z mlekiem pijałem zawsze u babki na wsi, u której wszystko jeszcze było tak, jak w Soplicowie, nawet orano sochą ciągnioną wołami, a na Anglików patrzono oczami Mickiewicza - bez entuzjazmu. Żywa była pamięć o Napoleonie przechodzącym tam w roku 1812. Najwyższą czią cieszyli się u babuni szwoleżerowie. Anglicy nie!

Wyszedłem od ciotki z brzemieniem nierozwikłanych w głowie problemów. Ułożony światopogląd nagle runął! Zdruzgotany herbatą z mlekiem, uczepliłem się teraz tej wspaniałej gry ANGIELSKIEJ, którą koledzy Józiuczka wymawiali raz FUTBOŁ, raz FUTBOL. Teoretycznie rozumiałem, że będą grali w piłkę wyłącznie nogami i że to właśnie będzie po angielsku. Wiedziałem, że Józiuczek odegra w tych zawodach niepoślednią rolę, przygotowując się do niej na placu przy ulicy Starochersońskiej, ciągnącej się aż do „Griegoriewskowo Prospiekta”.

Z Gimnazjum Winogradowa przy ulicy Wileńskiej róg „Gubernatorskowo Pierieulka”, naprzeciwko kościoła Św. Katarzyny, by dojść do Starochersońskiej, mijano się piekarnię turecką, słynną z pierożków. UPAJAŁ SIĘ nimi Józiuczek, uważając je za najlepsze ciasto na ziemi.

Matka pozwoliła mi towarzyszyć Józiuczkowi podczas ćwiczeń. Na piaszczystym placu w wielkiej odległości od siebie ustawiono na słupach dwie poprzeczki - dowiedziałem się, że to BRAMKI. W każdej bramce będzie stał człowiek, którego zadaniem będzie niedopuszczenie do tego, by dziesięciu ludziom udało się nogami wpędzić piłkę pod poprzeczkę.

Dwudziestu dwóch uczniów rozebrało się - zostawili na sobie tylko koszule i dzieciinne spodenki. Józiuczek też się rozebrał i stanął w bramce. Był śniadym brunetem z mocno różowymi policzkami i wydawał mi się Bohunem, szykującym się do pojedynku z Wołodyjowskim. I gdy w myślach widziałem go jako watażkę Bohuna, usłyszałem, że jest GOLCIPEREM lub GOŁCIPEREM. Nazwa była dla mnie wielce tajemnicza, ale starsi o dziesięć lat koledzy wymawiali ją z nie mniejszą swobodą niż słowo MAMA, więc bałem się narazić na wstyd i nie pytałem: czy GOLCIPER, czy GOŁCIPER. Ponieważ nie lubiłem litery Ł, bo przekreślona, mówiłem GOLCIPER - nie mając najmniejszego pojęcia, o co chodzi.

I zaczęło się, zaczęła się ta angielska gra. Na placu zakotłowało się, wśród kurzawy zniknęli ludzie, a gdy z tumanów kurzu wylatywała piłka, goniło ją natychmiast ich dwudziestu. Cóż to za wspaniały widok! Po kilkunastu minutach wszyscy ganiający pokryci byli warstwą kurzu, bo wrzesień był dziwnie upalny. Niby mieli koszule innego koloru - każda drużyna - ale wszystko było czarne, jak pył na placu, i mokre od potu.

Gdy piłka zbliżała się do bramki Józiuczka, mój GOLCIPER zmieniał się na twarzy. Widać było po jego oczach, że nie widzi niczego więcej oprócz piłki i że nie myśli o niczym innym, tylko o piłce. Gdy piłka znalazła się w pobliżu niego, rzucał się na nią całym ciałem i chwycił ją. On jeden, jako GOLCIPER, miał prawo dotknąć piłki rękami. To było dla mnie zrozumiałe, bo miał przeciwko sobie dwadzieścia nóg - więc dwoma nogami by nie obronił i dlatego mógł pomagać sobie rękami. „Golciper” z drugiej bramki też mógł robić to samo.

Czas przestał istnieć. Była tylko latająca piłka i miotający się pod poprzeczką Józiuczek. Pod naszą bramką ciągle się kotłowało dwudziestu ludzi. Józiuczek padał, podskakiwał, czaił się, rzucał na ziemię. Myślałem, że go tą piłką zabijają. Ale wciąż żył i nie pozwolił ani razu, by piłka przeleciała pod poprzeczką. Z Józiuczka rozpoznawałem tylko jego oczy. Reszta twarzy i ciała była pokryta grubą warstwą zmieszanego z potem piasku.

Nagle rozległ się długi gwizdek i dwudziesty trzeci, który biegał z gwizdkiem po boisku, wstrzymał grę i zaczął tłumaczyć, jak należy grać, że nie może dwudziestu ludzi być koło jednej bramki. Zapatrzonego w Józiuczka, nie słuchałem, o co chodzi. Rozumiałem, że muszą być tacy, którzy bronią Józiuczka. Wszczęto grę.

Po chwili jeden z grających, kopnięty przez obrońcę Józiuczka, padł na ziemię, trzymając się za nogę. Przerwano grę i oglądano leżącego. Józiuczek siadł na ławce. Pomimo że nie biegał po placu, był bardziej zmęczony niż tamci. Kiwnął na mnie palcem i powiedział: - Weź z mojej portmonetki pieniądze i przynieś lemoniady. Kilka butelek.

Skoczyłem. Przyniosłem. Z zadowoleniem przyglądałem się, jak podczas nowej przerwy w grze odświeża nadwątłone siły. Jednym haustem opróżnił całą butelkę.

- Przynieś jeszcze na zapas, bo będziemy długo dzisiaj grać - powiedział, biegnąc na swe stanowisko do bramki.

Instrukcje o tyle były korzystniejsze dla Józiuczka, że mniej ludzi kotłowało się koło naszej bramki. Myślę, że wielu się zmęczyło i z przyjemnością stali koło drugiej bramki, właściwie nic nie robiąc, czekając na piłkę. Ale widocznie nasi przeciwnicy byli mocniejsi, bo wciąż byli pod naszą bramką. I znów przerwa: dwóch leży na ziemi i trzyma się za kolana.

Zmordowany Józiuczek ponownie kiwnął na mnie palcem i powiedział:

- Zbiegaj do Turka i przynieś mi dwa pierożki!

Rozumiejąc, że memu „golciperowi” brakuje już siły, runąłem po te pierożki galopem. Gdy je kupowałem, miałem wątpliwość, czy nie będzie ich za mało. Ale dwa to dwa. Nie śmiałem samemu decydować.

W nowej przerwie Józiuczek przełknął pierożki i znów rozpoczął ciężką pracę „golciper”.

I oto naraz radosna chwila. Walka przeniosła się pod bramkę naszych przeciwników. Stojący cały czas beczynnym „golciper” drugiej strony, nie przygotowany na taki obrót sprawy - wpuścił piłkę. Wówczas to usłyszałem pierwszy raz w życiu ryk: - GOL! GOL! GOL!!! - Radość, o dziwo, była obustronna. PIERWSZY GOL! ANGIELSKI. Rozradowany Józiuczek, który przeszło godzinę bronił swej bramki, krzyknął do mnie:

- Skocz jeszcze po pierożki! Jestem bardzo głodny.

Skoczyłem, ale pierożków już nie było. Gdy stałem tak bezradny, Turek powiedział:

- Zaczem cię pirożok, kuszaj watuszka.

Nigdy nie jadłem „watuszki”, nie wiedziałem, co to jest, ale pomyślałem, że lepiej przynieść Józiuczce „watuszkę”, niż wrócić do głodnego z pustymi rękami.

Wziąłem dwie „watuszki”. Cisnąc je do piersi, rwałem z ulicy Wileńskiej na

Starochersońską, by jak najszybciej nakarmić mego „golciperą”. Podczas ponownej przerwy na teorię rozwinąłem paczkę i podając zawartość, wyszeptalem:

- Pirożków już więcej nie było, wziąłem WATRUSZKĘ.

Oczy Józiuczka popatrzyły na mnie z politowaniem (samego Józiuczka już nie było, tylko piasek uformowany w kształt ludzki). Pryśła cała moja duma jako opiekuna „golciperą”. Usłyszałem zabójcze dla mnie słowa:

- WATRUSZKA - to dobre dla dziewczynek.

Przełknął te „watuszki”, zapił szóstą butelką lemoniady i stanął w bramce. Walka rozgorzała jeszcze bardziej żarliwa, zacięta. Kopano, padano. Słyszałem, jak szeptano: - PRAWDZIWA GRA ANGIELSKA. - Coraz więcej ludzi tarzało się po ziemi. Znow zakotłowało się pod naszą bramką, a ja zobaczyłem, jak mój „golciper” rzucił się łukiem niby szczupak, by ciałem zasłonić bramkę. Wyciągnął, jak mógł, najdalej ręce. Piłka musnęła jego rozstawione palce i przeleciała tuż nad ziemią pod poprzeczką. Zrobiło mi się niedobrze. Poczulem na sobie całe brzemienie winy. Przecież wiedziałem, że dwóch pirożków będzie za mało. „Watuszki” były mało pożywne. Mój „golciper” miał za mało siły, by skoczyć tak daleko, a przez mój brak decyzji nie wziąłem więcej pirożków. I oto teraz wbili nam gola.

Józiuczek był tak dobry, że nigdy mi nie wypominał tych WATRUSZEK, ale mnie stały one w gardle na całe życie.

Pomimo że nie widziałem króla Jerzego Piątego, chodzącego tylko z laseczką wśród tłumów londyńczyków, to potwierdziła mi dwukrotnie tę wersję spotkana na ulicy Londynu podczas drugiej wojny angielska królowa, robiąca z dwoma córkami zakupy w sklepach. Było to możliwe tylko z tego powodu, że Anglicy wmówili w siebie, że nie poznają na ulicy swej królowej ani następczyni tronu i jej siostry. Nawet gdy królowej w jednym ze sklepów zabrakło kuponów, ekspedientka mrugnięciem oka nie dała poznać, że wie, iż to królowa - wskutek czego królowa nie nabyła tego, co wybrała. Ale za chwilę cały Londyn już o tym wiedział. Ba, cała Anglia. Tysiące ludzi zaczęło przesyłać królowej kupony, by ją wybawić z kłopotów. Z wielkim trudem udało się poprzez nadawane bez przerwy przez radio komunikaty powstrzymać ten napływający do pałacu królewskiego potop kuponów.

Jeśli nie wierzyć twierdzeniu, że „TO, CO DAJE NAM SZCZĘŚCIE - NIE JEST FIKCJĄ” - to COŚ, co mają Anglicy, można uznać za bezwartościowe. Kojarzące się z BAJKAMI, jak ta:

Pomnę dzieciństwa sny niewysłowne,

Baśń lat minionych staje jak żywa,
Bajki czarowne, bajki cudowne
Opowiadała mi niania siwa.

O złotym smoku, śpiącej królownie,
O tym, jak walczył rycerzy huf.
A gdy skończyła, płakałem rzewnie,
Prosząc, nianiusiu, ach, dalej mów!

Mów dalej, mów dalej, mów jeszcze!
Niech przyjdą rycerze tu do mnie...

A przecież nie w bajkach, lecz w LONDYNIE przychodzą „tu do mnie” rycerze i nie śpiąca królowna, lecz żywa, z krwi i kości, śliczna królowna jadąca na swój ślub w szklanej, BAŚNIOWEJ karecie, ciągnionej przez BAŚNIOWE RUMAKI, otoczonej BAŚNIOWYMI HUFCAMI RYCERZY okrytych lamparcimi skórami, z bajkowymi TOPORAMI W DŁONI, na BAŚNIOWYCH RUMAKACH.

Miliony Anglików KOCHAJĄ przeżywać tego rodzaju baśnie na jawie, uważając to za szczęście.

SZCZĘŚCIEM dla nich jest gra w piłkę nożną, jej powodzenie, bo SZCZĘŚCIEM, i to niesłychanie ważnym SZCZĘŚCIEM, jest TO, by piłka kopnięta NOGĄ, nie zaś odbita ręką, wpadła do bramki.

Gdy po sześćdziesięciu kilku latach patrzę na bramkarza nie mającego siły, by zatrzymać piłkę, nazywam go - jak za lat dziecinnych - GOLCIPEREM, błędną wymową angielskiego goal-keeper, a w uszach brzmia mi słowa Turka: „ZACZIEM TIEBIE PIROZOK - KUSZAJ WATRUSZKA”.

Car w Wilnie³

Była zima 1915 roku. W gimnazjum w sobotę zapowiedziano nam, że w niedzielę musimy być ciepło ubrani, bo pójdziemy spotykać Najjaśniejszego Pana Cesarza Wszechrosji Mikołaja II Aleksandrowicza. Najjaśniejszy Pan przybędzie do Wilna, by wziąć udział w PANICHIDZIE za duszę poległego na froncie w walce z Niemcami księcia Olega Konstantynowicza, będącego podobnie jak Najjaśniejszy Pan prawnikiem cara Mikołaja I. PANICHIDA będzie odprawiona w cerkwi Romanowych na Pohulance. Zbiórka w gimnazjum w niedzielę o godzinie siódmej rano.

O godzinie ósmej na wyznaczonym dla nas miejscu na ulicy Wielkiej, naprzeciw skwerku przed dawnym ratuszem, poczynając od kościoła Św. Kazimierza ku „Ostrobramie”, od strony chodnika przed domami, ustawilo się nasze Gimnazjum Winogradowa. Naprzeciwko nas stały szeregi piechoty z bagnetami na broń. Godziny przyjazdu Najjaśniejszego Pana nie podano. Mróz nie był dokuczliwy - jakieś pięć-trzy stopnie. Olbrzymie śniegi zalegały ulice. Staliśmy na krawędzi oczyszczonego chodnika. Między naszymi szeregami a domami można było swobodnie się poruszać.

Po godzinie dziesiątej nadjechał Najjaśniejszy Pan w odkrytym samochodzie, poprzedzony echemi gromkich: URA! URA! URA! Według nas, nasze URA!, winogradowców, zagłuszyło żołnierskie.

Myśleliśmy, że po przejeździe Najjaśniejszego Pana wrócimy do domów, ale powiedziano nam, że będziemy czekali na powrót Najjaśniejszego Pana na dworzec.

Jedyną rozrywką podczas tego czekania były opowieści o wojnie, Niemcach, posiadanych przez kolegów pikielhaubach. Największą dumą napawało posiadanie pikielhauby kirasjerów. Zdobywali je starsi koledzy. Mogli się na ochotnika zgłaszać do przenoszenia rannych z pociągów do szpitali. Z tego źródła płynęły do nas WOJENNYJE TROFIEJI. Starsi koledzy opowiadali, że niosąc rannego niemieckiego oficera musieli się zatrzymać przed nadjeżdżającym konnym tramwajem. KONKĄ. Poruszał się zawsze tak wolno, że można było znacznie szybciej dojść pieszo.

Czerwony wóz na szynach, ciągniony przez dwa wychudzone konie, tak zaciekawił rannego niemieckiego oficera, że pomimo widocznego na jego twarzy cierpienia uniósł się na łokciu i pilnie przyglądając się koniom i wozowi, spytał niosących go uczniów: „Co to takiego?” Jeden z kolegów dobrze mówiący po niemiecku wyjaśnił mu, że to jest tramwaj

³ Tytuł pochodzi od redakcji.

konny. Niemiec, ubawiony widokiem wileńskiej KONKI, zaczął się śmiać i śmiał się tak długo, aż umarł. Wielu młodszych kolegów uwierzyło w tę historyjkę uśmiania się na śmierć oficera niemieckiego z wileńskiej KONKI, pomimo że nie wiedzieli, iż w Niemczech od dawna były tramwaje elektryczne.

Język niemiecki był w naszym gimnazjum obowiązkowy, podobnie jak język rosyjski i francuski. Potem dochodził grecki. W tym roku jako przedmiot nieobowiązkowy pojawił się język polski, wykładany o godzinie czwartej po południu, gdy lekcje programowe kończyły się o trzeciej. Pomimo to wszyscy Polacy zostawali na lekcje języka polskiego.

Były to dziwne lekcje, przypominały nabożeństwo. Każde słowo pani Jadwigi, uczącej nas polskiego, było jakby święte. W klasie panowała uroczysta cisza. Nikt nie ośmielił się czynić nawet szmeru szukaniem czegoś w tornistrze. Lekcje z panią Jadwigą rozpoczęliśmy później niż inne. W tym czasie już dobrze znałem rozkład godzin. Wiedziałem, co i jak należy zapisywać w DNIENNIKIE. Oceny miałem wyłącznie bardzo dobre lub dobre. Podobnie jak na lekcjach polskiego z mamą, wszyscy u pani Jadwigi mieliśmy stopnie jednakowe. Same piątki.

Tupiąc w miejscu rozgrzewaliśmy nogi, ale zaczęliśmy być głodni. Naraz ujrzałem matki moich kolegów siedzących w klasie przede mną. Były to pani Brojdo i pani Friedman. Ubrane w piękne futra, niosły coś w kartonach. Po chwili cała nasza klasa była obdzielona przez nie ciastkami. Połknęliśmy je tak szybko, że mogły się wydawać snem. Ale oto znów są te panie i znów następna porcja wspaniałych ciastek. Kolega mój Piatosin, z którym siedziałem na tej samej ławce w klasie, przyglądając się niez mordowanej pracy pań przynoszących prawie bez przerwy i rozdających nam ciastka, powiedział: - KORMLENJE DIKICH ZWIERIEJ! - Ja biorąc aktywny udział w tej uczcie pomyślałem, że jest to zasypywanie przepaści bez dna.

Nie mieliśmy wątpliwości, że w tych warunkach i w ten sposób nikt naszej klasy nie nakarmi. Szczęśliwie tak staliśmy, że za plecami mieliśmy otwartą kawiarnię, skąd „szły” do nas te ciastka. Myślę, że panie w jakimś stopniu naśladowały państwa Bujków, rodziców mego kolegi z tej samej klasy. Państwo Bujkowie mieli na Wielkiej Pohulance śliczny dom i ogromny ogród. W zeszłą niedzielę zaprosili wszystkich kolegów Zygmunta z klasy do siebie do domu na godzinę dwunastą. Początkowo bawiliśmy się w ogrodzie. Ze śniegu zbudowaliśmy dwie olbrzymie fortece. Materiału było aż za dużo. Następnie zaczęły się wypadki i zdobywanie fortec. Obie ostatecznie legły w gruzach. Po uporządkowaniu po sobie pola walki cała nasza trzydziestka została zaproszona do domu na gorącą czekoladę, ciastka i słodycze. Podczas przyjęcia kilku z kolegów popisywało się grą na fortepianie. Niektórzy byli

tacy odważni, że nawet śpiewali lub deklamowali. Przez cały tydzień mieliśmy temat do przyjemnych wspomnień, dzielenia się wrażeniami i prawdopodobnie starczyłoby nam tego na dłużej, gdyby nie przyjazd Najjaśniejszego Pana.

Dla wielu z nas był sensacją skromny mundur i stopień podpułkownika Najjaśniejszego Pana. Wtajemniczeni mówili, że wyłącznie ojciec Najjaśniejszego Pana, car Aleksander III, mógł go, jako następcę tronu, mianować wyższym stopniem wojskowym, i dlatego pozostał w randze podpułkownika, otrzymanej za życia ojca.

Głodni - pomimo nieustającej gościnności tych pań - i zziębnięci, z radością powitaliśmy dochodzące nas z daleka echa URA! i podawane w wojsku przed nami komendy. Ukazały się wreszcie samochody. Zgodnie z żołnierzami uczniowie PROKRICZALI URA! Przed dziewiątą wieczór ze starszymi kolegami mieszkającymi u nas dobrnęliśmy do domu.

Następnego dnia zaskoczył nas w gimnazjum ubiór dyrektora: był przy szpadzie i w stosowanym kapeluszu. Domyślaliśmy się, że się szykuje coś niezwykłego. Ciekawość wzrastała, bo nie było normalnego dzwonka ani na modlitwę, ani na lekcje. Padł natomiast rozkaz, że wszyscy uczniowie bez różnicy wyznania mają się ustawić w głównym korytarzu, w którym był naturalnej wielkości portret Najjaśniejszego Pana. Po wyrównaniu szeregów i komendzie SMIRNO! - „baczność” przed frontem stanął dyrektor Prawosudowicz przy szpadzie i w stosowanym kapeluszu. W ciszy po SMIRNO dyrektor głośno obwieścił:

- *Po wysoczajszemu prikazu, nie budiet zaniatij czieriez niedielu* - czyli: Z najwyższego rozkazu, lekcji nie będzie przez cały tydzień. - *Prokriczali ura! Ura! Ura!* - Pełni radości z niespodziewanych świąt, odśpiewaliśmy hymn państwowy: „*Boże, caria chrani!*”

Uszczęśliwiony, w drodze do domu dowiedziałem się, że Najjaśniejszy Pan zna młodzież i umie ją sobie pozyskać.

Mój przyjaciel Ur⁴

Trzeci dzień nic nie jem. Od dwóch dni nie chodzę do gimnazjum. Prawie że nie śpię, ale za to zalewam się łzami. Mama umieściła mnie w poczekalni, w bardzo ładnym pokoiku - z autentycznym mundurem szwoleżera na ścianie - znajdującym się tuż koło drzwi frontowych, żebym tam w samotności dochodził do równowagi.

Mój przyjaciel, mahoniowy seter irlandzki, nie spotkał mnie przed gimnazjum, gdy wychodziłem po lekcjach. Byłem tym mocno zaniepokojony, bo codziennie bardzo punktualnie przychodził mnie spotykać i razem wracaliśmy do domu. Miałem nadzieję, że zatrzymano go w domu, ale w domu go też nie było. Wypuszczono go na spotkanie ze mną. W domu nazywano go Marwućka, ale w moich myślach był UR i uważałem go za niedźwiedzia. Był uosobieniem dobroci i mądrości, nie umiał tylko mówić ludzkim głosem, pisać i warczeć. Rozumiał wszystko, co dotyczyło spraw domowych, miejsca pracy mamy i ojczyma, gimnazjum, sklepów kolonialnych i budki z gazetami. W tych „instytucjach” znano go doskonale.

Ponieważ mieszkaliśmy na czwartym piętrze, a winda nikomu wówczas nawet się nie śniła w tym domu, służąca wyřęcała się Urem, jak gdyby był chłopcem na posyłki. Wyřęcał ją z wielką radością. Z rana biegał do budki po gazety. Gdy zapomniała coś kupić, co było jej potrzebne do obiadu lub do czegoś innego - pisała kartkę, wkładała ją do koszyka i mówiła mu, do jakiego sklepu ma pójść. Nie było wypadku, by pomylił sklep lub nie przyniósł, czego chciała. Wiedział dokładnie, jak każdy sklep się nazywa i co się w nim kupuje. Podczas gdy przebywałem w gimnazjum, chodził ze służącą po zakupy, pomagając jej dźwigać kosze.

Mama i ojczym podarowali mi go, gdy przenieśliśmy się na ulicę Zawalną 7 i gdy ojczymowi udało się znaleźć takiego psa, jakiego uważał dla mnie za odpowiedniego.

Mego mahoniowego niedźwiedzia układałem na noc obok siebie pod kołdrą. Głowę jego kładłem na poduszce i żeby mu było wygodnie, sam spałem na krawędzi łóżka. Wiedział, że mama na to nie pozwala i zawsze w odpowiednim momencie zdążył zsunąć się z łóżka i położyć na dywaniku na podłodze. Gdy już wszyscy w domu spali, zabierałem go z powrotem do łóżka. W okresie gdy byłem „bardzo Indianinem”, sypialiśmy z nim w „wigwamie” na podłodze pod biurkiem mamy, przykrytym olbrzymią POŚCIŁKĄ - tkaniną wiejskiej roboty. Używałem wówczas Ura zamiast poduszki. Spaliśmy oczywiście na „niedźwiedzich” futrach i nakrywaliśmy się futrem „niedźwiedzim”, czyli serdakami

⁴ Tytuł pochodzi od redakcji.

zakopiańskimi, jak mówiono w domu. Ur do największych swych przyjemności zaliczał zjeżdżanie ze mną na saneczkach. Miałem duże i bardzo mocne sanki, żelazne, długie na półtora metra, z szeroką deską. Wytrzymały najbardziej karkołomną jazdę, w której obaj gustowaliśmy, wdrapując się na najwyższe w Wilnie pagórki, by zjeżdżać szybko i długo. Ciągnął sanki bez mojej pomocy wymijając innych. Siadaliśmy razem. On przede mną. Wtulał się we mnie mocno, by nie wypaść i... dobrze, że mama nigdy tego nie widziała. Obaj byliśmy zachwyceni szybkim zjazdem. Rozumiał, kiedy była ostatnia jazda przed powrotem do domu, ale zawsze namawiał, żeby jeszcze raz zjechać i pomimo że nie zjeżdżaliśmy - okazywał zadowolenie z tego, co było. Podobnie nieprzytomny był na punkcie jazdy dorożką, a nawet tramwajem lub pociągiem. Musiał koniecznie patrzeć w pojazdach przez okno. Jeśli przypadkiem zatrzymaliśmy się na postoju dorożek, natychmiast wsiadał i dawał do zrozumienia, że chce jechać. W domu mieliśmy kota. Uważałem go w czasie zabaw za jaguara. Z Urem polowaliśmy na niego często. Po wielu strzałach z łuku, gdy już w ostatnim pokoju bez możliwości ucieczki „jaguar” poddawał się, Ur chwycił go za głowę i włókł na biwak, na którym odpoczywaliśmy po wielkim polowaniu. Tutaj „jaguar” ożywał i posilał się razem z nami. Przychodził też do nas sypiać w „wigwamie”. Ura uważał chyba za matkę, bo gdy był malutki, Ur pielęgnował go i nosił stylem kotki - za głowę - po całym domu, żeby się nie nudził.

Ur bardzo lubił bawić się w chowanego. Chował się w pokoju ojczyma pod fotelem, ale wystawał spod niego cały ogon. Ja naturalnie tego ogona nigdy nie widziałem i szukając, głośno powtarzałem: - Gdzie on może być? - Ur, słysząc to, uderzał ogonem po podłodze. Po kilku minutach udawało mi się go znaleźć. Wychodził z pokoju, a ja się chowałem. I on wiedział, gdzie się schowałem, ale mimo to szukał mnie jakiś czas i nagle oznajmiał, że mnie znalazł. Według mnie wszystko rozumiał, nawet co oznaczały te pałki w DNIEWNIKIE - a teraz go nie było.

Trzeciego dnia około godziny piątej po południu mama była w poczekalni i usiłowała mnie pocieszać. Ktoś zadzwonił. Mama otworzyła drzwi. Posłyszałem rozmowę. Przybysz był mężczyzną. Mama mówiła do niego PAŁKOWNIK. Pułkownik po upewnieniu się, że mama jest właścicielką mieszkania, powiedział:

- Kak wy śmieli mojej sobakie nacepit' swój adries!

Nie potrafiłbym powiedzieć, co poczułem po usłyszeniu tych słów. Mama odpowiedziała, że ten pies od szczeniaka należy do jej syna. Syn dwa dni nie był już w gimnazjum, nie je, a tylko płacze. Może pułkownik zechce go zobaczyć. Pułkownik obejrzał mnie „konającego” i spytał:

- *Pojediesz so mnoj!*

W jaki sposób udało się mamie nałożyć na mnie palto i czapkę, nie wiem. Był duży mróz i wspaniała sanna. Po chwili saniami gnaliśmy co koń wyskoczy aż na ulicę Botaniczną. Kiedyś mieszkałem z mamą przy tej ulicy. Wyskoczyliśmy z sanek. Prawie nieprzytomny biegłem po schodach za pułkownikiem na drugie piętro, aż wpadliśmy do pokoju, gdzie na dywanie leżał mój Ur.

Bez ducha padłem na podłogę koło niego. Nie wiem, co się działo. Płakaliśmy, całowaliśmy się, prawdopodobnie obaj wyliśmy. Po jakimś czasie usłyszałem głośny płacz pułkownikowej przyglądającej się naszemu spotkaniu. Z załamanymi rękami powtarzała:

- *Boże, czto my nadielali!*

Pułkownik uspokajał żonę:

- *Ja siej czas otwiezu ich domoj! Nu, uspokojisia, Wieroczka! Nu, nie płacz!*

I rzeczywiście, po wycalowaniu mnie przez pułkownikową zeszliliśmy we trójkę do sanek. Zamiast jechać do domu, pędziliśmy „Georgijewskim Prospiektom” do „Zielonego Sztrała”. Wpadliśmy we trójkę do środka kawiarni, nie zważając na zakaz wprowadzania psów. Widok pułkownika podczas wojny był dostateczną ochroną, by nas nie wyrzuciono. Podeszliśmy do lady i PAŁKOWNIK usiłował się dowiedzieć, jakie lubię ciastka. Byłem nieprzytomny. Popatrzył na mnie, uśmiechnął się i machnął ręką mówiąc: - *Sorok samych lutszych!* - czyli: - Czterdzieści najlepszych.

Znów w sankach rwaliśmy z kopyta *ventre à terre* - z brzuchem przy ziemi, jak mówią Francuzi. Teraz już do nas do domu.

PAŁKOWNIK wszedł także na czwarte piętro. Zadzwoiłem. Natychmiast otworzyła drzwi mama. Domyśliłem się, że cały czas przy nich siedziała. PAŁKOWNIK puścił mnie przodem. Wszedłem, niosąc przed sobą olbrzymie pudło. Ur był ostatni. Przypadł natychmiast do stóp mamy, ale nie miał siły już wydać z siebie głosu - taki był szczęśliwy. PAŁKOWNIK zaczął mamę bardzo przeproszać za to, co się stało. Przed kilku dniami kupili za bardzo wielkie pieniądze rasowego psa łudzaco podobnego do naszego. Pies zginął, wypuszczony bezmyślnie przez służącą na ulicę. Na GUBIERNATORSKOM PIERIEUŁKIE, przy którym mieściło się Gimnazjum Winogradowa, zobaczył - jak mu się zdawało - swego psa. Tym bardziej w tym się utwierdził, że gdy zawołał go do sanek, pies nie stawiał oporu. Słyszając to, zrozumiałem, dlaczego się tak stało. Ur był przekonany, że chcą go przewieźć sankami, bo wujowie i mieszkający u nas uczniowie często robili mu taką przyjemność. Oboje z żoną nie mogli zrozumieć, że pies, wyjątkowo łagodny, nie tknął ani wody, ani jedzenia. Po trzech dniach, bojąc się o jego życie, zaczęli oglądać obrożę i gdy znaleźli podany na niej adres,

PAŁKOWNIK wyruszył natychmiast, by sprawdzić, czy na pewno to ich pies. Teraz widzi, jak wielka zaszła pomyłka i jeszcze raz bardzo przeprasza za bez złej woli wyrządzoną przykrość.

Mama odpowiedziała, że „wszystko dobre, co się dobrze kończy”. Był to rok 1915. We wrześniu tego roku po naszej ulicy Za walnej dzień i noc maszerowały w kierunku Zielonego Mostu kolumny cofających się wojsk rosyjskich. W nocy z 18 na 19 września ustał przemarsz, natomiast usłyszeliśmy detonacje. Wojska wysadzały za sobą mosty.

19 września 1915 roku zobaczyliśmy na ulicy Zawalnej patrole wojsk niemieckich.

Kiemlicze, pomóżcie!

Dnia 2 września 1924 roku były imieniny „CIOCI” Funi Baniewiczowej, która dla mnie była babcią po kądzieli, a jej mąż, Henryk Baniewicz, powstaniec 1863 roku, dziadem po mieczu. Innymi słowy, ciocia Funia była ciotką mojej matki, a jej mąż wujem mojego ojca. Sława ciotki Funi, jako czytającej bezbłędnie przyszłość człowieka z kart, biegła przed nią i za nią. Stała się też powodem, że na imieniny zjawilo się kilkadziesiąt osób, przepojonych nadzieją dowiedzenia się, co każdą z nich w życiu czeka. Jedynie moja matka i ja przyszliśmy złożyć życzenia bez chęci obarczania cioci Funi naszą przyszłością.

Dziad Henryk Baniewicz miał, jak to mówiono, ZŁOTE RĘCE. Pomijając to, że złożył zrobione przez siebie przedmioty, umiał „tworzyć” fantastyczne ramy do obrazów, klosze do lamp, rzeźbione figury w drewnie. Cały salon był „pokryty” pracami dziada Henryka. W atmosferze salonu walczyły ze sobą o pierwszeństwo: SŁAWA cioci Funi, jako zdolnej do powiedzenia każdej osobie o przyszłych jej losach, i zachwyty nad arcydziełami dziada Henryka, cudownie złoconymi.

Ucztowanie odbywało się wśród ciągłych toastów na cześć cioci Funi - za jej PROROCTWA, za jej DAR WIDZENIA, za jej NADPRZYRODZONE zdolności przepowiadania ludzkich losów. Toasty przyćmiewała tylko doskonałość potraw, też mistrzostwa cioci Funi.

Minęło kilka godzin wśród tej „TOASTOZATŁUMY”, gdy naraz wstał jeden z biesiadników, zastukał mocno łyżeczką w spodek. Stukał tak długo, aż wszyscy ucichli, a wówczas on, obcy nam zupełnie, tak zaczął mówić:

- Dzisiaj nie dlatego jest ważny, że to dzień imienin babuni - (mówca wrócił właśnie ze Wschodu i miał akcent zupełnie wschodni). - No dzisiaj ten jest ważny dla nas dlatego, że w tym dniu dziadunio obchodzi imieniny babuni.

Zapanowała grobowa cisza, na twarzach obecnych malował się prawie niesmak. Mnie zaś w tym momencie przyszedł na myśl stary Kiemlicz z „Potopu” Sienkiewicza i jego dwaj synowie, sławne osiłki, którzy w sytuacji, gdy kogoś trzeba było obić, zwracali się o ojcowskie przyzwolenie, symbolicznie pytając: „OCIEC, PRAĆ?!”

Niespodziewanie dla siebie i wszystkich w panującej wokół ciszy spytałem głośno:

MAMO, PRAĆ?!

EWA OSTROWSKA

POD BIAŁĄ RÓŻĄ

Wspomnienie o K. O. Borchardzie

Wstęp

Nie od razu zdecydowałam się na pisanie swoich wspomnień z okresu, gdy szczęśliwy los zaprowadził mnie na „kapitański mostek” do Karola Olgierda Borchardta. Po jego odejściu przez dłuższy czas byłam przekonana, że nie tylko nic nie wyjdzie spod mego pióra, ale także z moich ust. Odmawiałam jakichkolwiek wywiadów dla prasy czy radia i podobnie jak za życia Kapitana, kiedy to pomagałam mu, by mógł żyć i pracować, pozostając w jego cieniu, chciałam działać jedynie w kierunku utrwalania pamięci o nim.

Czas zmienił moje spojrzenie na tę sprawę. Najpierw napisałam dla siebie samej, a gdy kolejny raz przeczytałam, doszłam do przekonania, że to moje pisanie w niczym nie narusza intymności i prywatności życia Kapitana. Na „kapitańskim mostku” wiele osób słyszało to wszystko, o czym ja piszę, słuchali tego czytelnicy podczas spotkań autorskich, tyle że we fragmentach. Ponieważ moje spotkanie z Kapitanem trwało najdłużej, blisko osiem lat, zatem ja poznałam wszystkie jego opowieści i chyba jestem jedyną osobą, w której pamięci zostały one utrwalone w całości. Czy wobec tego mam prawo zostawiać je wyłącznie dla siebie?

Każdy dom, każdy człowiek posiada pewne tajemnice, których nie chce powierzyć innym, tym bardziej publicznie ich rozgłaszać. Jestem w pełni przekonana, że spełniłam ten warunek i w mojej książce znalazły się wyłącznie informacje, które zaakceptowałyby sam Kapitan. A że osoba Kapitana, jego życie, praca nad sobą powinny być znane szerszemu ogółowi, nie mam żadnych wątpliwości i jestem przekonana, że czytelnik przyzna mi w tym rację.

Do dziś nie wiem, co zdecydowało, że zostałam wybrana przez Kapitana na jego „osobistą sekretarkę” - jak on sam mnie określił po kilku naszych spotkaniach i pierwszych próbach współpracy. Znając się na ludziach, powinien mnie raczej zdyskwalifikować pod tym względem. Jednakże faktem jest, że wyznaczoną mi rolę spełniałam ściśle według wyobrażeń i oczekiwań Kapitana. Ten szalenie delikatny, uczuciowy, wrażliwy człowiek był jednocześnie bardzo wymagający wobec swego najbliższego otoczenia i trudny we współżyciu. Jakoś jednak tego nie odczuwałam, będąc w ostatnim okresie jego życia najbliższej i najdłużej. Musiałam być wzorem osoby dobrze zorganizowanej, wyrozumiałej, spokojnej i zaradnej, chociaż cechy te nie są mi przyrodzone, ale rzecz dziwna, nie przychodziło mi to trudno. W dodatku musiałam przestawić całe swoje życie i życie swego domu, a także

nauczyć się wielu nie znanych mi do tej pory prac. Gdy dzisiaj na to patrzę, doprawdy nie wiem, skąd czerpałam siły i zdrowie. Słyszałam wprawdzie często od Kapitana: „Niczego nie musisz, rób tylko tyle, ile możesz zrobić bez specjalnego wysiłku i poświęcenia”. Niemniej wiedziałam, że muszę być punktualna do przesady, dokładna w najdrobniejszym szczególe, muszę pozostawać w stałej dyspozycji, nawet dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeśli miałyby nadejść „zła chwila”. Do tego stopnia przystosowałam się do tej roli, że za życia Kapitana nigdy me zachorowałam, nawet zwykły katar mnie omijał. Z pewnością miałam trochę szczęścia, a jeśli w jakimś stopniu pomogłam Kapitanowi spokojnie dotrzeć do końca jego dni, to myślę, że tak mi było przeznaczone i w „gwiazdach pisane”.

Rozdział I. Dzień pierwszy i ostatni

Pierwszy raz nie śpieszę się, idąc tą samą, wydeptaną przeze mnie drogą. Kamienne schody, pierwsze piętro, drugie i „sztormtrap” - drewniane schodki ostro wspinające się ku niebu. Setki razy sama otwierałam i zamykałam te drzwi, przed którymi teraz stoję i zwlekam z przekręceniem klucza. Od dzisiaj tworzą one granicę pomiędzy przeszłością a przyszłością. Teraźniejszość wydaje mi się snem, z którego nie mogę się obudzić. Celowo zwalням ruchy, by opóźnić moment wejścia do mieszkania - może sen przeminie. Nie upłynęła jeszcze godzina, jak stąd wyszłam, a zdaje mi się, że było to tak dawno. Straciłam poczucie czasu. Siedem lat, sześć miesięcy i dzisiaj mija szósty dzień, gdy przyszłam tu po raz pierwszy. Byłam wówczas równie mocno zdenerwowana, lecz jakże różny był powód mego niepokoju i odmienne uczucia. Był listopadowy pogodny dzień. Wspinałam się na Kamienną Górę zgrzana, w rozpiętym płaszczu, nie wiedząc dokładnie, gdzie jest ulica Mickiewicza. Na samym szczycie pobiegłam w przeciwnym kierunku i zamiast przed numerem 16 znalazłam się przed domem numer 25, też kapitana, ale nieżyjącego już Knoetgena. Zanim odszukałam przedwojenną willę „Orion”, z której za sprawą Niemców miedziany napis został dawno usunięty, było już kilkanaście minut po jedenastej. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że jedną z podstawowych zasad życiowych oczekującego na moje przyście Gospodarza była punktualność. Znacznie później usłyszałam powtarzane przez niego słowa: „Spóźnianie się na umówione spotkanie świadczy o lekceważeniu osoby, z którą się umówiliśmy. Jak to możliwe, że na wezwanie milicji, prokuratora czy wreszcie na pociąg ludzie zdążą, nawet przyjdą przed czasem, a osoba bliska może poczekać. Podobają mi się pod tym względem Japończycy, którzy przychodzą pięć minut przed umówioną godziną. U nas natomiast w dobrym tonie jest spóźnić się piętnaście, a nawet trzydzieści minut. A przecież wygląda to zupełnie inaczej, niż wyobrażała to sobie moja znajoma i przemiła pani redaktor, z zasady spóźniająca się na przyjęcia towarzyskie. Spotykaliśmy się czasem u wspólnych znajomych. Goście są już przy deserze, a tymczasem pani redaktor wchodzi jak gdyby nigdy nic i pani domu musi od nowa serwować wystygłe już dania. Spóźnialskim mówiłem czasem, jak ja to widzę: Stoi orkiestra, rozwieszono girlandy, wszyscy czekają radośnie podnieceni na przybycie gości. Po pół godzinie bezskutecznego oczekiwania orkiestra przestaje grać, oczekujący rozchodzą się, a kwiaty więdną”.

Stoję pod drzwiami, nie wiedząc o tym wszystkim, ale zdaję sobie sprawę, że nie powinnam była się spóźnić o te kilkanaście minut, choćby powody były najistotniejsze. Zanim zdecyduję się zapukać, słyszę ciężkie, wolne kroki. Wydaje mi się, że osoba

poruszająca się za drzwiami lekko utyka. Wzrok mój pada na kartkę papieru przypiętą pinezkami do ściany z lewej strony drzwi: „Tylko telefon odbieram w godz. 8-9 i po 19-tej, 20-44-92”, niżej druga kartka: „Proszę głośno stukać. Nie słyszę”.

Stukam, niezbyt głośno, mimo to w sposób zupełnie nieoczekiwany otwierają się przede mną drzwi, przesuwane z łoskotem po metalowej szynie. W jasnej smudze światła przenikającego z głębi mieszkania ukazuje się znana mi z telewizji i fotografii zamieszczanych w czasopismach charakterystyczna postać - mocna, zwalista sylwetka, twarz, w której dominują brązowe, pełne wyrazu oczy i siwe już, ale nadal gęste, lekko falujące włosy.

Ledwo mogę wymówić „dzień dobry”, czując jeszcze zadyszkę po pokonaniu ostatnich trzynastu schodków wiodących prosto do „siódmego nieba”. Jestem przy tym ogromnie stremowana, zarówno z powodu spóźnienia, jak i - przede wszystkim - ze względu na niezwykłość wizyty.

Próbuję coś powiedzieć na usprawiedliwienie, ale czuję, że Kapitan mnie nie słucha, i oto sam mówi:

- Dobrze, że pani przyszła, bo miałem już wychodzić z domu.

Pomaga mi zdjąć płaszcz i wiesz go w miniprzedpokoju. Witając się ze mną całuje mnie w rękę. Drzwi do pokoju, nazywanego przez Kapitana salonikiem, są otwarte. Z niego, również przez otwarte drzwi, widać drugi pokój - sypialnię. Łóżko jednak nie jest widoczne. Wszędzie szafy, półki, książki - przez co to maleńkie mieszkanie jeszcze bardziej zostaje pomniejszone.

Nie mam pojęcia, jak rozpocząć rozmowę, a przecież wizyta była spowodowana przeze mnie. Osoba, która prosi o rozmowę, powinna wiedzieć, z czym przychodzi i o czym będzie rozmawiać. Siadam nieśmiało w wygodnym, przykrytym baranią skórą fotelu, wskazanym mi przez Kapitana. Drugi, taki sam, stoi po przeciwnej stronie stołu. Kapitan na nim nie siada.

- Ja muszę siedzieć na tym stołeczku, z prawej strony swego rozmówcy. Lewe ucho mam bardziej uszkodzone, dzięki naszej wspaniałej medycynie.

O tym, że Kapitan źle słyszy, dowiedziałam się już w trakcie rozmowy telefonicznej, poprzedzającej to spotkanie. Prosił wówczas, bym mówiła głośno i wyraźnie, bo nie dosłyszcy. Po wypadku, jakiemu uległ w czasie katastrofy motorowca „Piłsudski”, nigdy już nie wrócił do pełnego zdrowia.

- Byłem siedem razy na stole operacyjnym, prawie wszystkie wakacje spędziłem w szpitalach i jak podsumowałem, trwało to dwa i pół roku.

Słuch stracił najpierw całkowicie, gdy po kolejnej operacji lekarze profilaktycznie zastosowali zbyt silną dawkę streptomycyny. Później, po różnych zabiegach, słyszał, korzystając z aparatu słuchowego, ale niektóre osoby rozumiał bez aparatu, jeżeli potrafiły mówić „na wydechu”, nie samymi ustami. Ja również do nich się zaliczałam, przedtem jednak musiałam nauczyć się tej sztuki.

Uspokoiliam się i poddałam nastrojowi tego domu, gdy Kapitan zaczął mówić. Nie byłam pierwszą w takiej roli, dlatego nie usłyszałam pytania: „Czego się pani chciała ode mnie dowiedzieć?” lub: „Czego pani chce ode mnie?” Każdy, kto z nim rozmawiał, musi przyznać, że lubił i umiał mówić. Przy jego wszechstronnych zainteresowaniach, przy jego tak wielu pasjach życiowych słuchanie nigdy gościa nie znużyło i mogło trwać bardzo długo. Oczywiście, mówił przede wszystkim Kapitan, ale dawał i mnie możliwość wypowiedzenia swego zdania. Gdy mu się wydawało, że zbyt dużo mówi o sobie, powiedział na swoje usprawiedliwienie: - Jestem urodzony pod znakiem Barana, a dowcip w ten sposób charakteryzuje ludzi spod tego znaku: „Pewien dyrygent, nie dopuszczając swego rozmówcy do głosu, cały czas mówi o sobie. Gdy wreszcie się zreflektował, przeprasza: »Ja tak cały czas o sobie, pomówmy teraz o panu. Jak się panu podobał mój ostatni koncert?«”

W duchu cieszyłam się, że Kapitan nie wypytuje mnie o moje sprawy osobiste. Cóż mogłam wówczas powiedzieć? Niczego szczególnego nie dokonałam, a wprost przeciwnie - zrobiłam parę głupstw, za jakie już później płaciłam przez całe życie. W obecności Kapitana czułam się drobnym pyłkiem, powietrzem. Moje dotychczasowe problemy stały się małe, nieistotne, przestały w ogóle istnieć.

Już wtedy, podczas tej pierwszej wizyty, dowiedziałam się, że niezadawanie pytań komukolwiek, jeżeli sam nie chce o sobie mówić, jest drugą generalną zasadą Kapitana. Osoby, które o tym nie wiedziały, mogły sądzić, że on nie interesuje się innymi, ale tak nie było. Kapitan potrafił ocenić człowieka na podstawie jego fizjonomii, sposobu mówienia, zachowania się, nawet sposobu trzymania rąk. Charakteryzował człowieka, którego jeszcze nie widział, na podstawie otrzymanego listu i to nie tylko na podstawie jego treści, lecz także sposobu pisania. Pozwalała mu na to długoletnia praktyka pedagogiczna, ale też i celowo dobierana literatura, chociaż pierwsze zetknięcie się z „naukami tajemnymi” było zupełnie przypadkowe. Gdy w wieku młodzieńczym przygotowywał się do egzaminów wstępnych do francuskiej szkoły morskiej, jako że w Wilnie nikt jeszcze nie słyszał o powstającej Szkole Morskiej w Tczewie, admirał Borowski, patronujący temu przedsięwzięciu, dostarczał mu masę literatury francuskiej, jaka według niego powinna być znana kandydatowi do tej szkoły. Wśród różnych pozycji, głównie beletrystycznych, znalazła się książka o frenologii, nauce,

która na podstawie kształtu czaszki usiłowała określić cechy charakteru danego osobnika, szczególnie jego uzdolnienia. - Pomyślałem wówczas, czy nie można by stworzyć „wylęgarni talentów”, formując niemowlętom w odpowiedni sposób głowy - przypomniał sobie Kapitan swoje pomysły sprzed lat.

Później przyszło zainteresowanie jogą i innymi systemami filozoficznymi Wschodu. Astrologia, horoskopy były w bezpośrednim związku z wieloletnim nauczaniem astronawigacji w szkołach morskich.

Praca nauczyciela (nauczyciela, nie wykładowcy, jak zawsze podkreślał) spowodowała, że stał się bardzo dobrym psychologiem.

- Nigdy się nie pomyliłem, gdy tylko uczeń stanął przy tablicy i zaczął manipulować rękami, czy ma coś w głowie i się namyśla, czy głowa jego jest pusta.

Skąd tak szerokie zainteresowania?

- Gdy miałem osiem lat, matka moja kupiła mi Encyklopedię Orgelbranda, właśnie tę, która tu stoi. - Kapitan odwrócił głowę w kierunku sypialni i wówczas na drzwiach do niej prowadzących, a właściwie zamiast drzwi, zobaczyłam szafę biblioteczną, wypełnioną książkami po brzegi. - Postanowiłem, że nie skończę dnia, jeżeli przed zaśnięciem czegoś nie przeczytam i nie dowiem się czegoś nowego.

Ten zwyczaj pozostał mi do dzisiaj. Stałem się wówczas postrachem niektórych nauczycieli. Pani sobie wyobraża, jak taki „wsioznajka” może zdenerwować nauczyciela, który wie mniej niż uczeń na jakiś temat?

Wypada już kończyć rozmowę, prawie się żegnamy, gdy nagle Kapitan przypomina sobie:

- Przygotowałem specjalnie dla pani kawę i zapomniałem o niej. Czy napije się pani?

Jakże można odmówić wypicia specjalnie dla mnie przygotowanej kawy? Kawa ma jakiś smak odmienny od pitych dotychczas przeze mnie. Pytam, jak ją przyrządza.

- Mam własną recepturę. Kiedyś w kawiarni przy molu w Sopocie podawali kawę à la Kapitan Borchardt. Mogę pani powiedzieć, że dodaję odrobinę czekolady w proszku, która likwiduje kwas, jaki w mniejszym lub większym stopniu wyczuwa się w kawie. A i gatunek kawy nie jest bez znaczenia. Najlepsza jest arabska „Mocca”.

Częstując swoich gości, Kapitan podawał zawsze wszystko, co miał w domu najlepszego. Dowiaduję się przy tym o trzeciej podstawowej zasadzie Kapitana:

- To co jem, staje się mną. Według jogi, osoba sporządzająca posiłek, jeżeli robi to w złości, nienawiści, wydziela szkodliwe fluidy, mogące zaszkodzić spożywającemu. Dlatego z reguły nie jadam w restauracjach i barach. Nawet jeżeli posiłki są tam przygotowywane

według właściwej receptury i wszelkich zasad higieny, skąd mogę wiedzieć, czy nie robił ich rozwścieczony kucharz, a nie podaje kelner zły, że musi obsługiwać za tak nędzne pieniądze? Dzisiaj mogę swoim gościom podać jedynie kawę lub czekoladę, ale kiedyś inaczej w tym domu bywało. Szczególnie gdy mieszkała jeszcze moja matulka. Podobnie jak w całej Oszmiańszczyźnie, gość nie mógł opuścić domu bez odpowiedniego „traktamentu”. A w ogóle gość w tamtych czasach i w tamtych stronach zastępował radio, telewizję, prasę. Prasa była, owszem, ale takie „Wieczory Rodzinne” odkładano, by czytać jesienią i zimą. Natomiast gdy przyjeżdżali goście, natychmiast wyprzęgano konie, sadzano przybysza do stołu i tak długo goszczono, aż wyciśnięto z niego wszelkie wiadomości. To nie dzisiaj, gdy „gość nie w porę, gorszy Tatarzyna”.

I Kapitan wyłuszcza swą kolejną zasadę życiową:

- Nigdy nie można przychodzić do kogoś bez uprzedzenia i uzgodnienia. Nawet tak zwani „dzicy” potrafią przez dwie godziny wystukiwać na tam-tamie zapowiedź swoich odwiedzin i tyleż samo słuchać odpowiedzi. Co prawda, gdyby tego nie zrobili, mogliby być zjedzeni przez gospodarzy. A u nas wystarczy zobaczyć, że pali się światło wieczorem: „Przepraszam, panie kapitanie, właśnie szedłem na spacer z psem i zobaczyłem, że pan jeszcze nie śpi...” albo: „Ja tylko na chwileczkę, nie chcę panu przeszkadzać, ale chciałem się dowiedzieć, jak pana zdrowie?” „Było zupełnie dobrze, dopóki pan mnie nie zdenerwował swoją nieoczekiwaną wizytą” - chciałbym powiedzieć.

Kapitan nie lubił niespodzianek, nawet tych najprzyjemniejszych. Wszystko musiało się u niego odbywać zgodnie z planem. Nawet dzwonek telefonu nie w porę potrafił znacznie podwyższyć jego ciśnienie. Ale tak naprawdę to w tym domu każdy gość, nawet nie zapowiedziany, był podejmowany z wielką serdecznością, po staropolsku i po oszmiańsku.

Po wypiciu kawy nie siedzę już długo, akurat tyle, ile wypada, by nie zrywać się z miejsca. Przedtem pytam jeszcze:

- Czy mogłabym panu w czymś pomóc?

- A co pani mogłaby zrobić?

- Mogę robić wszystko: pisać na maszynie, prowadzić korespondencje. - (Wcześniej dowiedziałam się, że dziennie przychodzi kilka listów). - Jestem specjalistką do spraw organizacji zarządzania w dość dużym przedsiębiorstwie, więc może i tu mogłabym coś zorganizować i usprawnić.

- Proszę pani, wiele pań oferowało mi tego rodzaju pomoc. Ale jeśli ja mam stale odpowiadać, co zrobić z tym listem, gdzie go włożyć, to już wolę sam to robić. Zajmie mi to znacznie mniej czasu i nie będę się denerwował, że coś jest nie na miejscu. Ja niczego w tym

domu nie szukam. Muszę z zamkniętymi oczami trafić i znaleźć, inaczej, widzi pani, zwariowałbym. Wiem, że gdzieś jest szukany przedmiot, ale gdzie? Gdzieś w Europie.

Rzeczywiście, orientować się w tym gąszczu książek, papierów, listów i fotografii to wielka sztuka. Kapitan niczego nie wyrzucał, żadnego ścinka papieru, który mógł się jeszcze przydać. W tym pozornym nieładzie, jak się później przekonałam, był jakiś system. Każdy segregator, każda teczka - nawet jeśli nie były opisane - miały na grzbiecie naklejony emblemat, mówiący wszystko jego właścicielowi. Na przykład teczka z recenzjami prasowymi, dotyczącymi twórczości Kapitana, opatrzona była rysunkiem przedstawiającym tarę do prania w balii.

Już wychodząc podaję datę swoich urodzin i adres, aby Kapitan mógł postawić mój horoskop i przesłać do domu. Muszę jeszcze wrócić po pozostawione na fotelu rękawiczki. Nie jestem przesadna, czyżbym jednak miała być jeszcze w tym mieszkaniu, chociaż nic na to nie wskazuje?

Wśród wielu tematów, jakie zostały poruszone w czasie mojej pierwszej wizyty, szczególnie zainteresowała mnie osoba Mahariszego. Jego zdjęcie, oprawione w ramki, wisiało w mieszkanku Kapitana nad fisharmonią. Potem, z czasem zasłoniła je sterta teczek z materiałami, przygotowanymi do druku, ale tego pierwszego dnia stanowiło jak gdyby punkt centralny tego mieszkania. Po przyjeździe do domu w Encyklopedii Powszechnej nie znalazłam tego nazwiska. Z rozmowy z Kapitanem zapamiętałam jedynie, że był to Hindus, który urodził się około roku 1879 w Madury, zmarł prawdopodobnie w roku 1944. W wieku młodzieńczym po ukończeniu college'u opuścił dom rodzinny i przebywając w odosobnieniu milczał przez czterdzieści cztery lata. W promieniu kilkunastu kilometrów od niego ludzie doznawali błogostanu. Swoim milczeniem udowodnił, że myśl jest stokroć silniejsza od tak zwanego czynu. Cisza jest największą wymową. Za życia wystawiono mu świątynię koło Arunaczali.

Myślę, że Kapitan miał wiele z Mahariszego. Wprawdzie nie milczał, a wprost przeciwnie - mówił wiele, ale dzięki jego słowom i myślom - wyłącznie dobrym - ludzie w jego otoczeniu czuli się bardzo dobrze, odnajdowali spokój, zadowolenie, cały świat wydawał im się lepszy, jeśli nie doskonały, a oni sami stawali się szlachetniejsi.

Zdawałoby się, że na tym koniec. Może tylko nadejdzie obiecany horoskop. Ale po dwóch tygodniach przyszedł list, w którym przeczytałam bardzo pięknie brzmiące dla mnie zdanie:

„Jeżeli nadal byłaby pani chętna i mogła mi pomóc, to proszę któregoś dnia rano zadzwonić pomiędzy godziną 8 a 9. Potrzebna mi jest osoba pisząca na maszynie, bo pani, która do tej pory to robiła, złamała sobie rękę, a ponieważ jest to osoba starsza, jej choroba może potrwać bardzo długo”.

Trudno cieszyć się z cudzego nieszczęścia. Ja jednak chyba troszkę się ucieszyłam z takiego zbiegu okoliczności. Najważniejszą dla mnie sprawą było, że jako pierwsza będę czytała teksty Kapitana i że będę z nim w częstym kontakcie.

Następnego dnia zadzwoniłam, oczywiście z biura, gdyż w tych godzinach pracowałam:

- Tak, naturalnie, bardzo się cieszę. Termin zależy tylko od pana.

Umówiliśmy się na dzień 13 stycznia 1979 roku. Trzynastka była zawsze dla Kapitana szczęśliwa. Czy dla mnie także?

Podobnie jak pierwszego listopadowego dnia, podobnie jak przed drugim spotkaniem w styczniu następnego roku - dzisiaj w piękny majowy dzień 1986 roku stoję przed drzwiami pełna niepokoju.

„Kamienna Góra najpiękniej wygląda w maju. Jeden wielki bukiet najcudowniejszych kwiatów. Popatrz na to okno »zimowego zachodu słońca«. Czy może być piękniejszy widok? Albo z sypialni na ogród mecenasa. Szkoda, że »stary« ściął jabłoń na środku trawnika, ale nie miał kto zbierać owoców. Celnik też musiał ściąć duży, stary orzech, bo tłukli mu okna przy okazji strącania orzechów”.

Kapitan zna całą ulicę, szczególnie tych starych mieszkańców. Jego znają wszyscy. „Kiedyś w Gdyni byli tylko tacy mężczyźni, których ja uczyłem, uczę albo będę uczył” - mówił.

Rano, kiedy to się stało, około godziny dziewiętej, zadzwoniłam najpierw do doktora Popławskiego, potem do Szkoły Morskiej. Pogotowie ratunkowe wciąż się nie odzywało, ale wiedziałam, że nie jest już potrzebne.

Teraz stoję przed drzwiami, których mi już nikt nie otworzy, a ja sama nie mam odwagi. Telefon dzwoni natarczywie. Koniec rozmyślań, trzeba działać dalej jak precyzyjny mechanizm.

Dzwoni Szkoła Morska. - Za chwilę przyjedzie profesor Duda. Jest odpowiedzialny za organizację uroczystości. Czy nic pani nie potrzeba? Może przysłać kogoś do pomocy?

- Nie, pani Zosia Pawłowska pomogła mi w załatwianiu formalności. W niczym więcej nie można mi pomóc. O piętnastej przyjadą z Zarządu Cmentarza po... - waham się chwilę - po Kapitana - mówię niepewnym głosem.

Czy rzeczywiście po Kapitana? Czy na tym łóżku leży on, czy jego zwłoki? Mówił mi kiedyś: „Chciałbym, aby moje ciało astralne wyszło ze mnie i abym mógł je wprowadzić do swego ciała fizycznego, kiedy zechcę. Zdarzyło się kiedyś, że jakiś jog spowodował wyjście swego ciała astralnego i nie mógł go sprowadzić z powrotem”.

Czy Kapitan naprawdę nie żyje? Może się pomyliłam, może pomylił się lekarz, który rzucił tylko okiem i nie badał. Zmęczenie i zdenerwowanie daje o sobie znać. Po raz pierwszy zetknęłam się ze śmiercią, i to zupełnie samotnie.

Ostry dzwonek telefonu przywraca mnie do rzeczywistości.

- Czy to prawda, czy nie potrzeba pani czegoś?

Najgorsze są pytania: Jak to się stało? czy była pani? czy widziała? Tak, byłam, widziałam i nie wiem, jak to się stało.

„Nie boję się śmierci, tylko umierania” - mówił czasami.

Nie było żadnego umierania. Jeden krzyk bólu i śmiertelna cisza.

- Przepraszam, nie mam czasu rozmawiać. Może spotkamy się kiedyś później.

Boże, to nie ta pora! O tej porze nikt ze znajomych nie dzwonił. Wszyscy wiedzieli, że tylko między ósmą a dziewiątą rano i wieczorem po dziewiętnastej.

Dzwonek do drzwi, jest kapitan Duda. - Będę z panią, aż zabrają zwłoki. Nie wiadomo, kto przyjedzie, a przecież te schody...

Tak, boję się nawet myśleć, jak to będzie wyglądało. W naszej kulturze ucieka się od takich tematów, aż wreszcie przychodzi chwila, w której nie można już nigdzie uciec i trzeba punkt po punkcie załatwić wszystkie czynności, aby ciało osoby bliskiej można było wyprowadzić z jej domu, a potem dokonać czynności pogrzebowych zgodnie z przyjętym zwyczajem.

Nie wiem, kiedy i jak wracam na górę. Na łóżku nikogo nie ma, tylko odcisk ciężkiego ciała na pościeli. „Indianin Tenanga” nie spał pod zwykłą pościelą, lecz pod baranią skórą.

Siadam w saloniku na fotelu, na którym siedziałam w pierwszym i potem już każdym kolejnym dniu, jakie tu spędziłam. Jestem zupełnie odrętwiała. To już druga tabletką relanium, jakie leżało od roku na fisharmonii.

Znów telefon sprowadza mnie na ziemię.

- Czy mogę się z panią umówić na wywiad?

„A idźże do wszystkich diabłów” - chciałabym powiedzieć, ale mówię tylko:

- Przepraszam, może później pan zadzwoni. - I odkładam słuchawkę.

Nie chcę z nikim rozmawiać, muszę stąd uciekać. Wsiadam w samochód i jadę przed

siebie. Sytuacja na drodze w jakiś sposób pochłania moją uwagę. Jadę, zdawałoby się, donikąd, ale trafiam tam, gdzie przyjechaliśmy pierwszy raz jesienią 1979 roku.

Nie umiałam jeszcze wtedy prowadzić samochodu, choć od kilku lat miałam prawo jazdy. Jednakże musiałam. Rola kierowcy obciążała wyłącznie mnie. Trasa naszej wycieczki była przypadkowa, byleby prosto i nie trzeba było zbytnio skręcać, hamować, wyprzedzać. Skręciłam w boczną drogę dwa kilometry za Żukowem i okazała się dość mocno pozawijana.

„Popatrz - zawołał raptem Kapitan - toż to żywa Oszmiańszczyzna!”

Droga osłonięta była z dwóch stron brzoźami, jakże częsty widok na Wileńszczyźnie.

„Zapamiętaj dobrze, gdzie jesteśmy. Musimy jeszcze raz tu przyjechać, zrobić zdjęcia”.

Skręciłam do lasu, bo nie było sensu jechać do nieciekawie zabudowanej wsi. Wysiedliśmy z samochodu i dalej szliśmy pieszo. Naraz Kapitan zapytał:

„Czy byłaś tu przedtem?”

„Nie, jestem tu po raz pierwszy”.

„Przecież to widok z »Bajki« Ruszczyca!”

Podbiegł do roztaczającego się przed nami jeziorka, otoczonego drzewami. Podobieństwo do obrazu Ruszczyca było rzeczywiście widoczne. Kapitan miał szczególny sentyment do tego malarza, wywodzącego się z Oszmiańszczyzny, nieomal sąsiada jego matki.

Nie mogliśmy zbyt długo podziwiać tego widoku, bo Kapitan biegnąc do jeziorka, nie zauważył bliżej stojącej wody i przemoczył obuwie.

Potem jeszcze wiele razy jeździliśmy do „Bajki”, zjadając tam ananasy z puszki i czekoladę, zimową i jesienną porą wypijaliśmy kawę z termosu, aż jakiś leśnik zwrócił nam uwagę, że tędy można jedynie przejeżdżać. Dzisiaj nie zależy mi, czy spotkam leśnika.

W swoich wspomnieniach znów biegnę po oblodzonej Kamiennej Górze.

- Ta góra staje się zimą „lodowa”, nie „kamienna” - mówił Kapitan. - Dobrze, że teraz odśnieżają, aby był dojazd do „Panoramy”. Kto i po co wybudował właśnie tutaj tę kawiarnię, oszpecając całą Kamienną Górę? Ale jeden z niej pożytek, że droga jest oczyszczana.

Siadamy przy stole, przede mną wspaniała kapitańska kawa i naraz zaczynają do mnie docierać słowa, jakich się nie spodziewałam, spokojnie wchłaniając atmosferę tego domu:

- Proszę pani, zanim zaczniemy współpracę, musimy sobie pewne rzeczy jasno postawić. Jest pani młodą i ładną kobietą, a ja nie mam dobrych doświadczeń z kobietami, i to niezależnie od ich wieku. Z mężczyznami było zupełnie inaczej. Taki sternik Budzisz kiedyś mi

powiedział: „Wiesz, Karol, jak ja jestem z tobą, to mam humor i apetyt i i lepiej mi się pracuje”. Natomiast każda z pań przeważnie uważa, że ja jestem świetnym materiałem na męża. A ja przecież jestem żonaty.

Staram się wytłumaczyć, że te sprawy mnie nie interesują, ale Kapitan] ciągnie dalej:

- Karolina była pierwszą polską letniczką, ukończyła ekonomię w Krakowie. Byliśmy kolegami w Gimnazjum im. Mickiewicza w Wilnie i nic wówczas nie wskazywało, że zostaniemy małżeństwem.

Pokazuje mi wcześniej przygotowany segregator, a w nim dokumenty, zdjęcia, wycinki prasowe. Na grzbiecie segregatora fotografia młodej kobiety w kombinezonie lotniczym i pilotce na tle samolotu.

- Jestem już stary, wiele przeszedłem w życiu. W każdej chwili mogę zamieszkać „Za Falochronem”, gdzie doktor Jadwiga Titz-Kosko rezerwuje dla mnie pokój. Przedtem jednak muszę zakończyć te książki.

Kapitan pokazuje na półki, na których stoją ciasno poupychane teczki i segregatory.

- Nie widzę, abym mógł to robić w domu starców, choćby bardziej był komfortowy niż „Falochron”. A poza tym nie mogę przecież ruszyć tych papierów, bo zginę. Jeżeli pani mi w tym pomoże, abym mógł jeszcze tutaj pomieszkać kilka lat, to będzie dobrze. Tylko boję się, że po paru dniach pani ucieknie ode mnie. Proszę pamiętać, że jestem starym nauczycielem, a z takimi najgorzej się współżyje, bo oni „wszystko wiedzą”. Zrobiła pani na mnie dobre wrażenie. Horoskop ma pani również dobry, chociaż wczesne małżeństwo, jakie wyczytałem w układzie gwiazd w momencie pani narodzin, kończące się na ogół rozwodem, tarapaty finansowe w pierwszej połowie życia nie są aż tak bardzo pomyślne dla pani. Ale drugie małżeństwo, jeśli do niego dojdzie, będzie dla pani szczęśliwe.

- To znaczy, że wszystko ułoży się dobrze. Pierwsza połowa mego życia dobiega końca, chyba że będę żyła bardzo długo, więc kłopoty finansowe ustaną. A co może być ważniejszego w życiu, jak nie szczęście w małżeństwie i dobrobyt?

- Zdrowie, przede wszystkim zdrowie, drogie dziecko, ale pani nie może jeszcze wiedzieć na ten temat tyle co ja.

Dostałam tego dnia tekst do przepisania - opowiadanie pt. „Opatrzność”, przeznaczone do „Szamana Morskiego”. Pisałam w domu, nie widział zatem Kapitan, ile trudu mnie kosztowało, by nie zrobić żadnego błędu. Przepisywałam trzy razy i gdy przyniosłam na drugi dzień, Kapitan uznał, że praca jest wykonana „porządnie”.

Wiedząc, ile rzeczy będę musiała przepisywać, postanowiłam nauczyć się poprawnie pisać na maszynie. Wkrótce też, posługując się pożyczonymi skryptami, pisałam dziesięcioma

palcami, prawie metodą ślepą.

- Zobaczymy, czy potrafi pani adiustować. Bardzo by mi to usprawniło pracę - usłyszałam w niedługim czasie.

Z jakiejś teczki Kapitan wyciągnął kartki przez niego samego zapisane na maszynie. Rzadko pisał odręcznie, wyłącznie drobne notatki. Było to opowiadanie „Gwizdek bosmański” z „Kolebki nawigatorów”.

- Proszę to opowiadanie tak przygotować, abyśmy mogli wysłać je do „Głosu Wybrzeża”. Zanim ukaże się w książce, chciałbym znać opinię czytelników, a spodziewam się, że kilka osób powinno się odezwać po jego wydrukowaniu w prasie. Jest surowe, trzeba poprawić stylistycznie, niektóre słowa zbyt często się powtarzają.

- To moja wina - usłyszałam, gdy po kilku dniach przyniosłam przepisane opowiadanie. - Powinienem wiedzieć, czego mogę od pani wymagać. Brakuje pani odpowiedniego słownictwa. W związku z pani poprawkami przypomniało mi się, jak jedna z pasażerek w liście do domu opisała odbijanie statku od nabrzeża: „Lokaje zdjęli sznurki z kołków i odjechaliśmy”.

Tyle wysiłku włożyłam w to opowiadanie i całość była nawet dobra. Wiem, w jakim miejscu Kapitan dostrzegł tych „lokai i sznurki”, bo rzeczywiście miałam trudności ze słownictwem morskim. Mimo tej „wpadki” dostałam następne teksty do adiustacji i dalej już wszystko przebiegało prawidłowo. Wiedziałam, że statek u Kapitana „idzie”, a nie „jedzie”, że kotwicę się „rzuca”, a nie „zarzuca”. Nie znosił pseudomarynarskich zwrotów typu: matros, łajba.

- Kiedyś mogła tak mówić stewardesa na drugi dzień po zaokrętowaniu na statek pasażerski.

Skrót przy nazwie statku, oznaczający motor ship (statek motorowy), według Kapitana należało pisać dużymi literami M.S., a nie, jak się przyjęło powszechnie w Polsce - m.s., jako że m.s. u Anglików oznacza termin płatności weksla i z morzem nie ma nic wspólnego, a przecież ten termin został przyjęty od Anglików.

Co do tego nie zdołał przekonać żadnej z redaktorek, mających za sobą zasady pisowni polskiej. Wszystkie redaktorki, bo przeważnie były to panie, a także inne osoby współpracujące z Kapitanem, miały trudności. Czasami ta współpraca w ogóle nie była możliwa, jeżeli nie potrafiły przyjąć toku rozumowania Kapitana.

- Nasze płaszczyzny myślenia nie przecinają się w żadnym punkcie - mówił i w zasadzie unikał z taką osobą kontaktu. Ja, która całkowicie podporządkowałam się jemu, uznając jego autorytet za niepodważalny, nie miałam tego rodzaju problemów.

- Niektóre panie uważają - mówił Kapitan - że skoro ona wie, gdzie postawić przecinek i poprawia autora, to jest mądrzejsza od niego. - Albo: - Ja siedzę nad jakimś tematem trzydzieści lat, a pani redaktor po jednorazowym przeczytaniu wie, co powinno znaleźć się w książce, a co skreślić. Byłem bardzo zadowolony z siebie, gdy udało mi się bosmana Jana Leszczyńskiego określić mianem „żywy galion fregaty szkolnej »Dar Pomorza«”. Jedna z redaktorek czasopisma stwierdziła wówczas: „Co to takiego »galion«? Trzeba to skreślić”.

Mimo to Kapitan chętnie słuchał opinii na temat swojej twórczości. Dając mi nowy tekst, mówił: - Zapamiętaj, ile razy przy czytaniu tego opowiadania uśmiechnęłaś się. Ja oceniam jego wartość na trzy uśmiechy.

Czasami opowiadanie oceniał na jeden czy dwa uśmiechy.

- Pamiętaj, że krytyka jest twórcza. Niezasłużone pochwały mogą mi jedynie zaszkodzić. I tak ile razy wpadnę na jakiś pomysł, biegnę do lustra zobaczyć, jak wygląda geniusz.

Rozsyłał też kopie swoich nie drukowanych jeszcze opowiadań korespondującym z nim osobom, chociaż miał wyrobione własne zdanie i zdawał sobie sprawę, że z trudnością przyjmuje zdanie odmienne.

- Pisząc „Znaczy Kapitana” każde z opowiadań dawałem najpierw do oceny mojej matce. Gdy miała jakieś uwagi, broniłem swego stanowiska. Biedna matulka pytała wówczas, po co ją w ogóle pytam, jeśli sam wiem, jak powinno być napisane. Jej uwagi jednak były mi potrzebne, by to swoje zdanie uzasadnić i by żaden z czytelników nie miał już wątpliwości.

Nie uważał siebie za pisarza, zwłaszcza marynistę. - Nie pisząc dla pieniędzy, nie mogę uważać siebie za pisarza - to z góry ustawia w pewnych ramach. Niektórzy maryniści przypominają mi misjonarza płynącego statkiem do Afryki. Kapitan statku zezwolił mi, by trzymał jakiś czas koło sterowe. Po tym wydarzeniu misjonarz głosił: „I oto Wszechmocny pozwolił mi ująć ster i życie tysięcy ludzi powierzył moim kruchym dłoniom”. Dobrze jeżeli maryniści opisujący swoje wrażenia związane z podróżą morską ograniczają się do przeżyć, jakich doznał misjonarz, ale opisywanie życia i rozmów na statku przez osoby z zewnątrz nie mogę nazwać marynistyką. Zdarzył się kiedyś wypadek, że dwie panie literatki odbyły rejsy na różnych statkach. Potem niezależnie od siebie napisały książki i okazało się, że są to niemal plagiaty. Wiadomo przecież, co dzieje się na każdym statku i o czym rozmawia załoga.

Pisarzy dzielił na trzy kategorie w zależności od tematyki, na jaką stawiają, by zainteresować czytelników. Podawał zwykle taki przykład: - Sienkiewicz stawiał na trupy,

zgodnie z zasadą, że nic tak nie ożywia akcji jak trup. I czynił to genialnie. Żeromski na seks.

- Przy czym Kapitan dziwił się obecności Żeromskiego w lekturach szkolnych. Siebie zaliczał do trzeciej kategorii: autorów stawiających na humor i jednocześnie uważał, że jest to najtrudniejsze zadanie - rozweselać czytelnika. Nie ma bowiem nic gorszego niż silenie się na dowcip. A przecież granice humoru są szerokie - poczynając od cyrkowego błazna, który wdziewa cudaczny strój i pozwala bić się po twarzy, byleby wzbudzić wesołość i śmiech widowni, do najbardziej subtelnej jego odmiany, jaka pozwala człowiekowi na pełne psychiczne odprężenie. - Staram się, by humor zawarty w moich książkach pozwolił człowiekowi wrócić do równowagi psychicznej, by czytelnik, podobnie jak okręt pochyłony wskutek dużej fali na jedną burtę, mógł się wyrównać psychicznie. Zdaję sobie sprawę, że swymi książkami zabieram ludziom czas, część ich życia, i muszę w zamian coś dać, aby to nie był czas stracony. Zanim napiszę jakieś opowiadanie, noszę się z nim jak kura z jajkiem. Nie siadam do pisania, gdy nie mam ułożonego w głowie „*finale furioso*”, mocnego, zaskakującego czy rozweselającego zakończenia. Aby jednak czytelnik chciał mnie w ogóle czytać, muszę go zachęcić pierwszymi słowami, „zadzierzgając węzeł dramatyczny”. Nauczył mnie tych zasad jeden z pierwszych moich nauczycieli języka polskiego, adwokat Wierzyński, w gimnazjum Związku Nauczycielstwa Polskiego w Wilnie.

Efekty tych wysiłków Kapitana były znakomite. Podam jeden z przykładów, jak książka „Znaczy Kapitan” wpłynęła na los człowieka. Otóż zdarzyło się, że starsza kobieta, przybita nieszczęściami, postanowiła zakończyć swoje życie. Zanim zamknęła się w swoim pokoju, gdzie chciała umrzeć z głodu, udała się do biblioteki i poprosiła o dwie książki, by wypełnić jakoś czas, jaki jej pozostał. Jedną z nich była „Znaczy Kapitan”. Gdy usiadła do tej lektury, przeczytała ją jednym tchem i druga książka okazała się już niepotrzebna. Stwierdziła bowiem, że jeśli są jeszcze tacy ludzie, jak autor, to warto żyć. W niedługim też czasie odwiedziła Kapitana w jego mieszkaniu, z bukietem trzydziestu siedmiu róż, odpowiadających liczbie opowiadań. Dłuższy czas prowadziła także korespondencję z Kapitanem. O tym wydarzeniu jednak, a także o innych faktach, dowiedziałam się znacznie później. Później też byłam świadkiem wzruszających scen, kiedy ludzie w różnym wieku dziękowali Kapitanowi za książkę, która wpłynęła na ich sposób myślenia, zachowania. Było i trochę zawiści, ale o tym nie warto wspominać.

Rozdział II. Dwie przysięgi

Początkowo przychodziłam do Kapitana dwa, trzy razy w tygodniu, potem w każdy dzień powszedni, a wreszcie codziennie, nie wyłączając świąt. Kapitan bardzo przywiązywał się do ludzi, choć też można było go szybko do siebie zrazić. Czasem niezbyt zręcznie wypowiedziane zdanie, zachowanie niewłaściwe i wszystko się urywało.

W czasie gdy go poznałam, coraz bardziej ograniczał swoje kontakty z ludźmi. Najbardziej lubił listy, telefony trochę mniej - jeżeli ktoś dzwonił nie w porę, natomiast wizyty męczyły go bardzo. - Nikt nie może zrozumieć, ile wysiłku muszę włożyć, by się ubrać czy nałożyć buty. Nie mogę przecież wyglądać jak „król żebraków”.

„Jak pan wspaniale wygląda” - słyszał często zdanie, gdy wreszcie po kilku rozmowach telefonicznych, przyparty do muru, zdecydował się przyjąć gościa.

„Ja tylko tak udaję” - odpowiadał.

Czas nie przynosił poprawy zdrowia Kapitana, a wręcz przeciwnie, szczególnie stan ducha był coraz gorszy. Niepokoje początku lat osiemdziesiątych, stan wojenny - to wszystko nie było mu obojętne i miało duży wpływ na jego psychikę. Niewiele było takich, ale znalazły się osoby, które miały za złe Kapitanowi, że nie zajął zdecydowanego stanowiska po stronie opozycji. Kilka osób wręcz ostentacyjnie zerwało z nim wszelkie kontakty. Ci wszyscy jednak zapomnieli, że Kapitan był jogiem. W okresach największych burz i niepokojów, zarówno w życiu narodu, jak i osobistym, zawsze pomagała mu joga. Dewizą Kapitana było: „Niczego w życiu nie wymagaj od innych, zacznij od samego siebie, niczego nie pragnij, a jednocześnie rób wszystko tak, jak gdyby od tego zależało twoje życie. Przede wszystkim zaś myśl, co robisz”.

W jego opinii Polacy nigdy nie mieli tak charakterystycznego dla Anglików „common sense”. Wszyscy chętnie oddadzą życie za ojczyznę, ale pracować dla niej chce niewielu.

Polityki jednak nie mógł oddzielić od swego życia osobistego.

- Początkowo nie mogłem dostać zgody władz polskich na swój powrót do kraju, gdy w 1949 roku zdecydowałem się wrócić. Wówczas prawie cała załoga „Batorego” zgłosiła się do polskiej ambasady w Nowym Jorku i zagwarantowała, że nie będę się mieszał w sprawy polityczne. Wróciłem w najgorszym czasie. Ci, którzy byli przede mną, pozajmowali stanowiska w szkolnictwie morskim, na statkach. Brak było przecież oficerów marynarki handlowej. Zdecydowana większość pozostała na Zachodzie. Gdy byłem dyrektorem Szkoły

Morskiej w Landywood, przyjechał do mnie mój kolega szkolny „Dyzio”, Kazimierz Petruszewicz, pełniący po wojnie funkcję wiceministra żeglugi, z propozycją, abym spowodował przeniesienie całej szkoły do Polski.

Cóż mógł usłyszeć w odpowiedzi? Ano, by sam spróbował przekonać chłopców, którzy przybyli tutaj z Iraku poprzez Rosję, gdzie niejeden w śniegach Kazachstanu grzebał własnymi rękami swoich najbliższych. Wróciwszy do kraju Kazimierz Petruszewicz po jakimś czasie powiedział do matki Kapitana, aby jej syn nie przyjeżdżał do Polski. Było jednak już za późno, decyzja powrotu zapadła.

- Do pięćdziesiątego szóstego roku cały czas byłem traktowany jako podejrzany politycznie. Gdy zgłaszałem się do pracy po swoim powrocie, po pierwszych obiecujących rozmowach rezygnowano z mojej kandydatury. O pływaniu nie było mowy. Mało brakowało, a byłbym wysłany do pracy w kopalni. Na szczęście spotkałem kiedyś kapitana Bronisława Gubałę:

„Co pan robi?”

„Nic nie robię, kapitanie - odpowiedziałem. - Szukam pacy”.

„Czy chce pan wykładać na kursach, organizujemy właśnie kursy poruczników i kapitanów żeglugi małej?”

Były to prace zlecone. Po latach okazało się, że nie chcą mi tego okresu zaliczyć do emerytury. „Czy pracowałem w »Wolnej Europie«, czy w Polsce?” - pytanie to pozostawało bez odpowiedzi.

Co dwa tygodnie musiałem zgłaszać się w Marynarce Wojennej, gdzie trzech komandorów słuchało mojej spowiedzi, co robiłem przez ten czas, z kim się spotykałem. Teraz czasami widzimy się na ulicy i kłaniamy uprzejmie. Wtedy jednak taka sytuacja sprawiła, że do minimum ograniczyłem swoje kontakty towarzyskie. A kiedy nastąpiła „wiosna w październiku”, w swoich aktach personalnych przeczytałem opinie: „Z nikim się nie zadaje. Może nauczyć największego osła”.

Już te pierwsze kursy przesądziły o dalszych losach Kapitana. Uczestniczyli w nich ludzie z „awansu społecznego”, którzy mieli zasilić bardzo skromną kadrę oficerów Marynarki Handlowej. Byli zachwyceni swoim wykładowcą. I tak już było do końca pracy w szkolnictwie morskim. Uczniowie przepadali za swoim nauczycielem, czasami trochę gorzej było z kolegami, ale był to wynik niekonwencjonalnego podejścia do uczniów i metod nauczania.

Na zakończenie jednego z pierwszych kursów absolwenci zebrali między sobą dość pokaźną sumę (w owe czasy podobno marynarze zarabiali jak ministrowie, aby nie opłacało

się pozostawać za granicą) i chcieli ją wręczyć Kapitanowi, uznając w ten sposób jego wysiłek, kiedy to często zostawał po wykładach lub organizował dodatkowe zajęcia w niedzielę, by uczniowie o niższym poziomie wiedzy mogli ją uzupełnić.

„Ile pan tu zarabia, panie kapitanie, przecież są to grosze”.

Rzeczywiście były to grosze. Kapitan miał wówczas na utrzymaniu matkę, wdowę po przedwojennym wiceprezydencie Wilna, Witoldzie Czyżu. Przez kilka lat pracy po drugiej wojnie światowej nie zdołała wypracować emerytury, pobierała zatem „głodową” rentę. Ale nie przywiązywała żadnej wagi do spraw materialnych i w tym duchu wychowała syna. Żurawy, rodzinny folwark Raczkiewiczów, były dla niej wszystkim. Z wielkim trudem wybudowała w latach trzydziestych nowy dom i spędziła tam kilka szczęśliwych lat. Była to prawdziwa oaza. Piękny, funkcjonalny dom, zaprojektowany przez scenarzystę teatralnego, przyjaciela ojczyma Kapitana, mimo że nie był zbyt obszerny, sprawiał wrażenie bardzo przestrzennego. Wspaniały sad z kilkoma tysiącami jabłoni. Trzeba było to wszystko zostawić i wyjechać. A ojczym na dodatek zagubił dokumenty, które stanowiłyby podstawę do jakiegokolwiek rekompensaty. Nic jednak nie miało znaczenia, gdy cudem uniknęła zsyłki w głąb Rosji, a później przesiedziała rok bez wyroku w więzieniu w Nowowilejce.

Podobno dzisiaj w domu pani Marii Borchardt-Czyżowej mieści się szkoła, a droga do niej prowadząca zwie się „Droga Czyżowej”.

- Swojej matce zawdzięczam - mówił Kapitan - że nigdy nie przywiązywałem wagi do spraw materialnych. Pamiętam, jak w majątku moich krewnych mnie ośmiolatka oburzyła roztrząsana przy stole kwestia, za kogo wydać Jankę - za właściciela majątku z sąsiedztwa czy za fabrykanta. Albo jak moje dwie starsze kuzynki oceniały wartość ludzi według wielkości posiadanych majątków i wysokości pobieranych pensji.

We wszystkich portach, gdzie pływał, był znany celnikom jako ten, który nie ma nic do oclenia. W którymś z portów Ameryki Południowej podczas jego nieobecności na statku jego kabina została oznakowana, że przeprowadzono kontrolę. Oburzony zapytał celników, dlaczego kontrolowano kabinę, gdy jego nie było, na co usłyszeli:

„Przecież ty nazywasz się Borchardt. Twoją kabinę tylko oznakowaliśmy, bez kontrolowania, bo wiemy, że nic nie przewozisz”.

Taka postawa Kapitana kiedyś omal nie spowodowała jego śmierci. A było to na motorowcu „Sheridan”. Statek pływał w dorzeczu Amazonki i do portów Ameryki Południowej. Wśród załogi było dużo Indian i Metysów. Wszyscy z wielkim powodzeniem uprawiali przemyt. Wszyscy, z wyjątkiem oficera nawigacyjnego, Karola Olgierda Borcharda, który odmówił udziału w kontrabandzie. To stało się powodem, że ktoś podał mu

truciznę w pożywieniu. Organizm jego był na tyle silny, że pokonał truciznę. Odtąd już zawsze sam przygotowywał sobie posiłki, korzystając z bogactwa owoców południowych.

Przy takim podejściu do życia, gdy inni budowali wille i kupowali samochody, on mógł prowadzić następującą rozmowę:

„Jaki ma pan samochód?” - zapytał go kiedyś znajomy.

„Mam aż dwa” - odpowiedział.

„A gdzie je pan garażuje?”

„Tutaj, pod stołem” - wskazał na swoje „globtrotery”, jak nazywał swoje nogi o niespotykane wielkim rozmiarze.

- Pracując w dwóch szkołach miałem tylko tyle, żeby w niedzielę mogła być kura w garnku.

Przed wojną jako starszy oficer na „Darze Pomorza” zarabiał tyle samo, co jako wykładowca w Szkole Morskiej po wojnie - 1800 złotych, ale ta kwota nie oznaczała tego samego. Chodził zawsze w tej samej kurtce typu „battle-dress”, później już mocno wytartej.

- Dopiero pani Regina Witkowska, gdy przeprowadzała ze mną pierwszy wywiad dla radia, narobiła hałasu, dlaczego nie mam porządnego munduru. Okazało się, że należą mi się dwa mundury rocznie, ale nie dochodziłem, kto na tym skorzystał.

Po wojnie życie Kapitana tak się potoczyło, że powrócił do Polski sam, żona Karolina i córka Danuta zostały w Anglii. Pani Danuta ukończyła konserwatorium i studia medyczne. Szczególnym zadowoleniem napawał Kapitana fakt, że wyszła za mąż za syna generała Stachiewicza, szefa sztabu Marszałka Piłsudskiego. Marszałka Kapitan uwielbiał. Po matce i Oszmiańszczyźnie była to trzecia wielka miłość Kapitana.

- Później Danusia wyjechała do Stanów. Mam trzech wnuków: najstarszego Marka i dwóch bliźniaków, Andrzeja i Pawła. Danusia była dwa razy w Polsce, by mnie odwiedzić - raz sama, gdy żyła jeszcze moja matulka, a ponownie z wszystkimi swoimi mężczyznami.

Potem córka Kapitana przyjechała jeszcze raz, z synem Andrzejem i matką - na pogrzeb ojca.

„*Nie rozumieją Chińczyków i kobiet*” - mówił Kapitan. A to stwierdzenie wynikało z jego wychowania przez matkę we właściwej minionej epoce rycerskości, szlachetności, wymaganej od mężczyzny w stosunku do kobiety.

„Pocałunek to ślub dla czystej dziewicy” - ta zasada obyczajowa bardzo komplikowała Kapitanowi życie, a nawet uczyniła je tragicznym.

Dwie, może trzy miłości w wieku dziecięcym. Domka, siostra przyjaciela, Jędrusia Ptaszyńskiego, o którym wspomina w opowiadaniu „Dziadek do orzechów” w „Kolebce

nawigatorów”. Zakochał się w niej, zanim ją zobaczył, usłyszawszy przy wejściu do salonu, jak gra „Dumanie lirnika”. Była o kilka lat starsza od niego i nigdy się nie dowiedziała o jego uczuciu. Słyszałam tę melodię kilka razy, graną przez Kapitana na starej fisharmonii, a zawsze towarzyszyło jej wspomnienie o Domce.

Druga miłość, dziesięciolatka, skończyła się bez bólu, gdy dziewczyna pod wrażeniem „Rękawiczki” Schillera zażądała, by na Wieży Świętojańskiej w Wilnie pokonał niebezpieczne przejście pozbawione balustrady. Przeszedł bez strachu, ale później zastanowił się, co może być warta dziewczyna, która swoim kaprysem zdolna była narazić go na utratę życia.

I wreszcie miłość największa - Hala H., też uczennica Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie. Miał wówczas osiemnaście lat.

- Wszedłem do klasy i zobaczyłem ją, stojącą przy tablicy, w zielonej bluzce z białymi guzikami. Miała jasne włosy w odcieniu popielatym i oczy zielone jak szmaragdy. Na wskroś przeszył mnie jakiś prąd, ale nie było to pożądanie. Od tamtej chwili wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia.

Nigdy nie potrafił jej wyznać swego uczucia. „A czy pan kiedyś Halę pocałował?” - zapytała go po latach ciotka Hali.

„Nie, skądże, nawet w rękę” - odpowiedział.

Pierwszy raz, gdy odważył się przynieść jej jabłko z własnego ogrodu, wzięła je i zjadła. Z kolei gdy na wiosnę następnego roku podarował jej kiść pięknego białego bzu, rzuciła ją na ziemię.

- Uczuć nie szkoda, ale kwiatu szkoda - powiedział ze smutkiem.

Pomagał jej często w nauce. Był wtedy prezesem Bratniej Pomocy, miał wielki autorytet zarówno wśród kolegów, jak i u dyrektora i nauczycieli.

Kiedyś wreszcie zdecydował się wygarnąć jej wszystko.

- Był wczesny zimowy wieczór, ale zadymka zmniejszała widoczność. Zobaczyłem Halę zdążającą spieszenie w kierunku swego domu. Postawiłem na jedną kartę: teraz albo nigdy. Dogoniłem ją, wziąłem pod ramię. Nie wyrwała mi się, zwolniła kroku. Szliśmy chwilę w milczeniu, czułem, jak krew uderza mi do głowy, słyszałem bicie własnego serca. Wreszcie zacząłem mówić, skarżąc się na swój los i jej obojętność. Hala cały czas milczała. Gdy wreszcie skończyłem, stanęła, obracając się twarzą do mnie i powiedziała: „Ja na pewno nie byłabym tak okrutna”. Okazało się, że była to żona znajomego adwokata, o sylwetce podobnej do Hali i w podobnym do jej futerka okryciu.

Zanim wyjechał do Szkoły Morskiej w Tczewie, a w tym czasie nadal pomagał jej w

nauce, gdyż o rok później kończyła maturę, wypisał w zeszycie pytanie, czy może mieć nadzieję, prosząc, by w tym samym zeszycie dała mu odpowiedź. Odpowiedzi tej nie znalazł. To przesądziło, że porzucił prawo i wyjechał do Tczewa.

Gdy poszedł się pożegnać, był zdecydowany powiedzieć jej, że kocha, ale ponieważ ona nie dała mu iskielki nadziei, jego życie traci sens. Dlatego musi wyjechać z Wilna i pójść na morze. Nie byli sami przy pożegnaniu, znalazła się w domu Hali Karolina Iwaszkiewiczówna, późniejsza jego żona. Nie doszło zatem do żadnych wyjaśnień. Pożegnał obydwie koleżanki, nie dając po sobie znać, co przeżywa. W tej obecności Karoliny widział później jakieś przeznaczenie.

Powiedział mi kiedyś:

- Po kilku latach, gdy już Danusia była na świecie i bawiła się tym właśnie, już nieco zniszczonym brulionem, wysunęła się z niego kartka, a ja przeczytałem wkomponowane w jakiś rysunek słowa wypisane ręką Hali: „Nadzieję trzeba mieć zawsze. Każda akcja wywołuje reakcję”. Było za późno. Gdyby była przy mnie, to bym ją chyba udusił.

Na tym nie kończy się historia tej miłości. Drogi Hali i Karola rozeszły się. Ona skończyła medycynę, wyszła za mąż. Na temat jej męża nic nie wiem, bo i Kapitan nie wiedział albo nie chciał mówić. W tym samym roku, 1928, w którym skończył Szkołę Morską, 28 grudnia Karol żeni się z Karoliną Iwaszkiewiczówną, koleżanką szkolną. Z powodu małżeństwa i chęci pomocy matce w odbudowie Żuraw podejmuje pracę w Wilnie. Zawsze uważał, że mężczyzna żonaty nie powinien pływać. Jednakże już w następnym roku wraca na morze.

W czasie wojny, gdy wojsko polskie było transportowane z terenów Związku Radzieckiego do Iraku, ojczym Kapitana, Witold Czyż, spotkał panią Halinę, a właściwie ona go rozpoznała wśród chorych, którymi opiekowała się jako lekarz. Witold Czyż utrzymywał z nią kontakt przez cały okres swego pobytu w Afryce Południowej, gdzie pani Halina osiedliła się, a potem - po jego wyjeździe do Anglii - znajomość była kontynuowana listownie. Pisała też do niego kilkunastoletnia córeczka Hali - Basia:

Dominican Convent

High School

P.O. Bose 101

Salisbury 241 50

Kochany Dziadku, czy można pana tak nazywać?

List Dziadka był bardzo miłą niespodzianką dla mnie. Gdy go otrzymałam, nie mogłam odgadnąć, od kogo może być. Bardzo przepraszam, że tak długo nie odpisywałam, ale były wakacje i w związku z tym przymierzanie sukieneczek, piżameczek itd. Jestem w pierwszej gimnazjalnej i już nie jestem tą maleńką Basią z Kigorny. Były to niezapomniane, miłe czasy, hasało się po obozie i było się pół dzikim stworzeniem.

Na urodziny mamusia dała mnie książkę pod tytułem „Wilk morski” Londona i dużo mi opowiadała o Panu Karolu. I ja go bardzo lubię, szkoda, że nie mogę go poznać osobiście...

Po jakimś czasie Basia ginie w wypadku samochodowym, a matka też wkrótce umiera. Zostawia testament, w którym swoim jedynym spadkobiercą czyni Karola Olgierda Borchardta. Kapitan nic o tym nie wie, dowiaduje się dopiero po latach, kiedy testament jest już przedawniony. Zresztą podobno już wcześniej rodzina Hali spowodowała unieważnienie testamentu. Znając tyle lat Kapitana, nie sądzę, by spadek przyjął, ale może przeznaczyłby na jakiś szlachetny cel?

Była jeszcze Maria F. - „Kasia” z „Krażownika spod Somosierry”. Pozostawał z nią w wielkiej przyjaźni i korespondował aż do jej śmierci w 1984 roku. W jej wypadku też się spóźnił. Zanim zdecydował się oświadczyć, zdążyła wyjść za mąż za profesora W.

Potem Elfy, primadonna opery tallińskiej. - Kochaliśmy się w niej obaj z Kotem Kowalskim. Każdy z nas myślał, że ona darzy uczuciem tego drugiego. Jak było naprawdę, nie zostało wyjaśnione nigdy. W 1980 roku Kapitan odnalazł Elfy dzięki pomocy pani Ingridy Grzymały-Siedleckiej, która na podstawie danych opery tallińskiej uzyskała jej aktualny adres w Australii, dokąd wyjechała po wojnie. Było kilka listów, Elfy proponowała spotkanie w Wenecji podczas wakacji 1980 roku, ale do rendez-vous nie doszło. Na przesłanym z Australii pięknym albumie Elfy napisała:

To Karol Olgierd!

„There are no rules to
Friendship, it must
be left to itself;
we cannot force it

any more than love!"

Hazlitt

That is we live and learn...

Elfy

Sydney, April 1980.

Wszystko to były kobiety, jak i on, z innej epoki, które żadnym słowem czy gestem nie dały do zrozumienia, że „tak”, że one też kochają.

Chociaż... Było to na „Rewie” w 1930 roku. Statek płynął do Stanów. Kapitan po krótkim pobycie na lądzie, gdzie wykonywał przeróżne zajęcia - m.in. miał przedstawicielstwo samochodowej firmy „Tatry”, w końcu zaś kierował zakładem instalacji elektrycznych, zatrudniającym około stu monterów - wraca na morze.

- Moi monterzy kupowali sobie fortepiany, bo stać ich było. Dobierałem samych najlepszych. Niektórzy pracowali przedtem u Siemens. Tłumaczyłem im, że ich byt zależy od bytu firmy. Dlatego robota musi być dobrze wykonana i w żadnym wypadku nie można dawać

drotu dzwonkowego tam, gdzie jest przewidziany dokumentacją porządnym materiałem.

Firma dobrze prosperowała, wygrywała wszystkie przetargi, a jednak zostawił wszystko i aby nie utracić wymarzonego zawodu, zaczął pracować w Polsko-Brytyjskim Towarzystwie Okrętowym jako starszy marynarz na „Rewie”. Za przyjemność harowania na statku, kiedy to, przy pełnieniu dwóch wacht, trzeba było niekiedy pracować po osiemnaście godzin na dobę, zapłacił nawet jakiemuś marynarzowi (ten poszedł na urlop, zwilniając mu miejsce).

- W tym czasie, pomimo niekiedy nadludzkiej pracy, czułem się jak młody bóg.

Pasażerką na „Rewie2 była młoda, ładna dziewczyna. Po jakimś czasie Karol zauważył, że pojawia się zawsze tam, gdzie on pracuje. Ale to go specjalnie nie dziwiło. Co może robić pasażerka na statku handlowym, jak nie obserwować załogę? Aż któregoś dnia podeszła do niego i poprosiła o chwilę rozmowy:

„Proszę pana, nazywam się tak, jak ten statek: Rewa. Janowicz. Ukończyłam filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim i teraz jadę do Stanów Zjednoczonych, gdzie odziedziczyłam majątek wartości miliona dolarów”.

„Bardzo się cieszę i życzę pani dużo szczęścia w Ameryce”.

„Proszę pana, tu są dokumenty, proszę obejrzeć. Jeżeli pan się zgodzi na ożenek ze mną, to w Nowym Jorku zaraz pójdziemy do adwokata i natychmiast przepiszę na pana pół

miliona”.

„Niestety, proszę pani. Wprawdzie nie noszę obrączki, ale jestem żonaty. Przykro mi bardzo”.

- Żał mi było ładnej Żydóweczki, która po moich słowach rozpląkała się serdecznie, ale na tym się skończyło.

Po wojnie sytuacja się zmieniła. Mężczyzna „w sile wieku”, przystojny, pełen humoru, a przy tym samotny.

- Znajomi myślą, że mam tu cały harem. Odpowiadam im: Koran twierdzi, że kobieta jest wielbłądem pomagającym mężczyźnie przejść przez pustynię życia. Do rzadkości jednak należy trafienie na tak cudownego wielbłąda, który by sam jeden potrafił spełnić to zadanie. Lepiej więc mieć kilka wielbłądów, jeśli się nie może bez nich obejść.

A tak naprawdę to jedyną ukochaną kobietą jego życia była matka. Wszystkie inne porównywał do niej i te porównania wypadały na ich niekorzyść. W jego kalendarzu pod datą śmierci matki, 10 października 1977 roku, znalazłam takie zdanie: „Samotność naszych uczuć i naszych myśli - takiej samotności może nas pozbawić tylko kobieta. Imię jej MATKA”. Zmarła w sędziwym wieku, mając dziewięćdziesiąt siedem lat, ale on nigdy nie mógł pogodzić się z jej odejściem.

- Gdyby nie doktor Maria Chodorowicz, która znalazła się na schodach w chwili, gdy po śmierci matki szedłem na dziewiąte piętro „Za Falochronem”, mógłbym skoczyć w dół. Byłem tak załamany.

Odtąd nic go już nie cieszyło, nie istniały święta, uroczystości. Stawał się coraz bardziej przygnębiony: - Wszyscy odchodzą. Już tak niewielu bliskich zostało wśród żywych. O kimkolwiek pomyślę - nie ma, nie ma.

Chcąc uwolnić się od męczących go wizyt przedstawiał czasem stan swego zdrowia znacznie gorzej, niż było istotnie. Z czasem ja również nie wiedziałam, jak naprawdę jest z jego zdrowiem, gdyż mnie z kolei oszczędzał i nie mówił prawdy, gdy rzeczywiście źle się czuł. Nie chciał mnie martwić.

Mimo to niektóre wielbicielki nie dawały się łatwo zwieść. Przychodziły osobiście sprawdzić, jak „kochany Kapitan” się czuje, przyprawdzały znajomych lekarzy, przynosiły lekarstwa, odżywki, domowe i zakupione specjały.

- Te wszystkie panie - mówił Kapitan - nie kochają mnie, ale bohatera i autora moich książek.

„Proszę pani - powiedział jednej, gdy zadeklarowała, że zamieszka w jakimś kąciku jego mieszkania i będzie się nim opiekowała. - Czy pani wie, ile ja mam lat? Co by pani

powiedziała o mnie, gdybym to ja zakochał się w osiemdziesięcioletniej staruszce?”

I by całkiem sprowadzić taką panią na ziemię, pokazywał fotografię przedstawiającą go nad grobem matki, z zarezerwowanym dla niego miejscem.

Listy jednak przychodziły niezależnie od wyraźnego i zdecydowanego stanowiska Kapitana. Gdy widział, że to poważna sprawa, zapraszał swoją korespondentkę na rozmowę i wyjaśniał do końca.

- Wiem, że sprawiłem jej tą rozmową ból, ale co mam robić? Jeżeli mimo to chce pisać, bo musi, niech pisze. Może z czasem jej to przejdzie.

Na ogół po paru miesiącach, niekiedy dopiero po latach, przechodziło. Rekord pobiła pani, która w ciągu trzech lat napisała pięćset sześćdziesiąt trzy listy. Czy chodziło tylko o wyrobienie swego pióra, czy może o wejście do historii literatury razem z Borchardtem, nie wiem. W każdym razie listy te trafiły wraz z wszystkimi innymi do Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku.

Jedna z pań była bardzo bezpośrednia. Przedstawiła się, że jest księżną X i oświadczyła, iż byłaby skłonna spędzić czas w towarzystwie Kapitana w podróży statkiem po Morzu Śródziemnym. Oczywiście sprawą było, kto miałby ponieść koszty tej wyprawy. Miała wprawdzie trochę niewyraźną minę, gdy zobaczyła, w jakich warunkach Kapitan mieszka, zapewne jednak liczyła, że żyjąc tak skromnie, wzbogaca swoje konto bankowe.

Były jednak i prawdziwe miłości. Bo czymże, jak nie gorącą miłością, tłumaczyć listy, niekiedy pięknie wierszowane, jakie przychodziły od Magdaleny. Pierwszy, jaki znalazłam, nosi datę XI 1956, ostatni - 17 VIII 1967. Przebija z nich nadzieja, uwielbienie, a później rozpacz i smutek:

Czemu chcesz być samotny?
Zawsze po przeciwnej stronie
Migotliwego jeziora moich pieśni?
Przepraw się na mój brzeg
Poprzez wezbrane fale strof
Albo rzuć kamieniem w tę głębię!
Niech pryśnie lustro moich marzeń!
Niszcząc swoje odbicie
Moje porazisz zmysły,
Ale będziesz wolny i bez winy,

Bo Twoje doskonałe sumienie
Nie może ofiarować nic, prócz prawdy.
Tylko że prócz Twojej
Jest jeszcze moja prawda.
Prawda Piękna! A moje wyzwolenie
W spełnieniu jest, nie w wyrzeczeniu.
Daj mi spacer sosnowy,
Bym Cię zawsze odnaleźć mogła
W zapachu sosen...
Daj mi spacer brzozowy,
By biały płat jej kory był mi zawsze
Tym nienapisanym przez Ciebie listem.
Daj mi promień słoneczny,
Który obdarzy mnie ciepłem Twego uśmiechu,
I srebrzystą smugę księżyca,
Po której przechadza się Twoje milczenie...
A jeśli to jest więcej, niż posiadasz,
Daj mi muszelkę wyrzuconą przez fale,
Zamknę w niej wszystkie pieśni
I rzucę w morze...

Po latach Magdalena traci wszelką nadzieję, czego wyrazem są słowa tego listu:

Drogi Panie Kapitanie,

Zdaje się, że kilkumiesięcznym milczeniem dowiodłam i sobie, i Panu możliwość ujarzżenia wewnętrznej potrzeby tworzenia mitu o miłości. Ale jakoś nie czuję się przez to ani bardziej godna szacunku, ani doskonalsza, raczej zubożona... Nigdy dotąd nie powiedział mi Pan jednego ciepłego słowa, więc i na przyszłość nie liczę na najmniejszy bodaj odruch serdeczności. Nigdy też - świadomie - nie zrobił mi Pan przykrości, jest Pan bowiem człowiekiem, który wydoskonalił się w nieczynieniu zła, a jednocześnie : zapomniał, co znaczy zwyczajnie, po ludzku być dobrym...

Uczuć nie można oceniać. Trzeba być wewnątrz człowieka, aby je zrozumieć.

Inna korespondentka przesłała list tej treści:

Szanowny Panie,

Wszystko jest w porządku. Mam 42 lata, jestem starą panną i czasem mam dużo kłopotów. Rodzina obdarza Pana rzeczywiście wyjątkową sympatią. Nie zna jednak treści moich listów ani różnych moich wyczynów, o których i Pan niewiele wie.

Pan był jedynym mężczyzną, na którego zwróciłam w moim życiu uwagę, pomimo tego, że czarny Pan jest jak karaluch i pisze Pan książki. Pan Bóg jednak Pana przede mną ustrzegł. Na pamiątkę sprawy Elżbieta... Karol Borchardt, którą Pan zna tylko fragmentarycznie, a która nie była ani brzydka, ani dla mnie nieprzyjemna, przesyłam swoją fotografię. Miałam wtedy 40 lat i piękny kok... Teraz zrobiła się ze mnie stara prukwa. Prukwa znaczy prawdopodobnie brukiew.

Życzę pomyślności Elżbieta.

Reakcja Kapitana na ten list świadczyła tylko o zrozumieniu człowieka i jego zachowań. Nie wyrzucił go, jak pewnie uczyniłby niejeden, i nie pozostawił bez odpowiedzi. Wywiązała się kilkuletnia korespondencja, z której wynika, że pani Elżbieta jest osobą inteligentną, o niekonwencjonalnych poglądach, ironizującą mocno ludzi i sprawy, a przy tym ciężko chorą. Być może takim oryginalnym listem chciała zwrócić na siebie uwagę. W następnych listach, też często kpiących ze wszystkiego i wszystkich, zupełnie inaczej zwraca się do Kapitana:

Do Pana Borchardta,

Napisał Pan długi list i było mi przyjemnie. Nie trzeba odpisywać na wszystkie. Jeżeli Pan nie będzie czytał moich listów, to też nic się nie stanie. Ja przecież dobrze rozumiem, że można nie mieć czasu...

Pan sprawił, że zaczęłam pisać. Poruszyły się jakieś zardzewiałe kółeczka i wyciągnięte sprężynki zaczęły pracować.

Czytając dzisiaj niektóre listy kobiet do Kapitana coraz bardziej rozumiem jego rezerwę i brak zaufania do wyrażanych przez nie uczuć. Podstawę do takiego stanowiska daje opisane przez Marię K. z Warszawy zdarzenie:

[...] Gdy prosiłam przyjaciółkę z Poznania o „Nurt” z artykułem KOB (tak podałam, tylko inicjały), domyśliła się natychmiast i napisała mi coś ciekawego: „Może gdzieś osobiście spotkałaś autora z »Nurtu« 3/74. Nie znam go, ale z lektury książek podziwiam i uważam go za szlachetnego człowieka. I wyobraź sobie, że w latach 1972 i 73 pewna pani redaktor prowadziła prawdziwą akcję usidlenia wobec KOB. Cieszyliśmy się szczerze, gdy (jak nam się wydawało), ta gra jej się nie powiodła”.

Kiedyś Kapitan zwierzył mi się: - Na całym moim życiu osobistym zaważyły dwie przysięgi. Jedna została na mnie wymuszona, ale to chyba ona była powodem, że nie mogłem być szczęśliwy. Druga zabrała mi kilkanaście lat mego życia. Złożyłem ją wobec samego siebie, nikt prócz mnie jej nie znał, nawet Karolina, której przysięga dotyczyła. Karolina też uwolniła mnie od niej, nie wiedząc o tym.

Ta druga przysięga niech zatem zostanie nadal w tajemnicy. Przysięga pierwsza została złożona przy łożu umierającej krewnej, a może tylko bliskiej znajomej. Stosując zasadę Kapitana, nigdy go o nic nie pytałam, jeśli sam czegoś nie powiedział. Nie zapamiętałam nazwiska tej osoby, ale nie jest ono ważne. Karol przyjechał wówczas na wakacje czy ferie do Wilna ze Szkoły Morskiej w Tczewie. Umierająca wymogła na nim w obecności innych osób przysięgę, że ożeni się z jej córką. Obecne przy tym ciotki przynaglały, aby zgodził się i potwierdził, że ożeni się z Wisienką, wówczas chora umrze spokojnie. Złożył taką obietnicę, wcale nie mając takiego zamiaru. Młodych nic ze sobą nie łączyło. Ona wkrótce wyszła za mąż za kogoś innego, nie mając pretensji o niedotrzymanie słowa. A on kochał Halę. Było to jedyne kłamstwo popełnione przez Kapitana.

Gdy poznałam Kapitana, jego dzień wyglądał tak, jak to przedstawił w jednym z listów do czytelniczki:

Wstaję o godzinie piątej rano. Do godziny siódmej mam czas zajęty doprowadzaniem swoich zwłok do stanu używalności, włącznie z półgodzinnym staniem na głowie. Pamiętam przy tym, że myśli człowieka ogolonego są zupełnie inne niż zarośniętego. Posiłki od dziewiętnastu lat jadam stojąc i sam je sobie gotuję. Nie zapominam przy tym o moich przyjaciółkach na dachu. W zależności od pory roku są to gawrony, wróble, sikorki. Od 8 do 9 oczekuję telefonów. Wszyscy znajomi dzwonią o tej porze, bo wiedzą, że jeżeli nie siedzę z uchem przyłożonym do aparatu, to mogę nie usłyszeć dzwonka.

Od 9-tej usiłuję przelać na papier to, co przemyślałem poprzedniego dnia od 15 do 19-tej. O 18-tej kładę się do łóżka, by wstać o 5 rano.

W nocy niekiedy budzę się, chwytam za ołówek i piszę, przekonany, że słowa te winienem ryc na marmurze. Niestety, rano często tracą swą genialność.

Od godziny 14-tej nie jestem w stanie pisać na maszynie. Stawiam wprowadzić wszystkie litery, ale w kolejności jak się uda i sam siebie nie mogę przeczytać.

Z upływem lat wstawał coraz później. Na dwa lata przed swoim odejściem rozpoczynał dzień o godzinie siódmej. Na głowie już nie stawał, z jogi uprawiał jedynie niektóre ćwiczenia oddechowe. Wypijał maleńką filiżankę „Neski”, karmił „swoje” ptaki, słuchał radia, a później czekał na telefony. Ja przychodziłam przed godziną dziewiątą. Zjadaliśmy razem śniadanie, które z punktu widzenia dietetyki wcale nie było zdrowe. - Cóż, kiedy smaczne - mawiał. Filiżanka mocnej kawy, parzonej już teraz przeze mnie, kawałek ciasta domowej roboty, kostka czekolady, jakiś sezonowy owoc.

Do godziny dwunastej, czasem do pierwszej, pracowaliśmy. Później ja wychodziłam, a Kapitan już sam przyrządzał sobie z przyniesionych przeze mnie produktów jakiś nieskomplikowany obiad.

Kolacja zawsze była przed godziną dziewiętnastą. Mleko „prosto od krowy” przywoziłam od zaprzyjaźnionych gospodarzy z Wielkiego Kacka (zanim udało mi się to załatwić, mleka ze sklepu nie brał do ust przez kilkanaście lat) i znów ciasto, niekiedy budyń. Mleko pomagać miało w zaśnięciu, ale niestety nie pomagało. Zbyt często ratował się pabialginą, która sprowadzała sen i koila nerwy, ale nie była obojętna dla zdrowia.

Jadłospis Kapitana ulegał różnym przeobrażeniom w różnych okresach jego życia. W czasie największej fascynacji jogą potrafił jadać sam ryż i pić czystą wodę. Ale prawdopodobnie tym jedzeniem bardzo obniżył sobie ciśnienie. Stąd ta późniejsza miłość do

kawy, której joga nie uznaje, podobnie jak wszelkich innych używek.

Gotować nauczył się w górach Szkocji, podczas samotnych wędrówek po wrzosowiskach. Nauka szła dość trudno. Najpierw gotował tylko ryż, stale przypalając. Ale już w parę lat później potrafił przyrządzać prawdziwe specjały, jak na przykład rodzaj bigosu o nazwie „kaczka na jabłoni”. Były to duszone w równych częściach: kapusta kiszona i słodka, kaczka wcześniej upieczona i pewna ilość winnych jabłek. Specjalnością Kapitana był ryż z pieczarkami i śmietaną, no i oczywiście kołduny litewskie, ale te przyrządzał przy szczególnych okazjach.

Tylko raz miałam możliwość jeść kołduny robione przez Kapitana według przepisu rodzinnego. Może ktoś miałby ochotę spróbować? Oto ten przepis:

Dla pięciu osób przygotowuje się 200 kołdunów - po 40 na osobę.

Nadzienie: mięso - 1,5 kg (3/4, czyli 0,75 kg, polędwicy lub młodej wołowiny - jasnoróżowej, 3/4 baraniny albo świniny - schab); łój od nerki lub wołowy, byle biały - 0,5 kg.

Można wziąć inną proporcję: 1/3 (0,5 kg) polędwicy, 1/3 baraniny, 1/3 łoju. To wersja kołdunów tłustych.

Albo: 2/3 (1 kg) polędwicy, 1/3 (0,5 kg) łoju. To wersja bez cebuli - kołduny chudsze.

Przyprawy: sól, pieprz, majeranek (z rynku - gałązki), 3 duże cebule.

Mięso siekamy nożem lub tasakiem (nie można przepuszczać przez maszynkę), solimy, pieprzymy, doprawiamy majerankiem, dajemy cebule tarte na tarce, dolewamy wody lub zimnego rosółu. Mieszymy dokładnie, nie dodając jajek.

Ciasto: 6 żółtek, 1,5-2 szklanki wody, mąki (najlepszej) tyle, żeby zagnieść niezbyt twarde ciasto. Nie solić.

Ciasto cienko rozwałkować, nie wykrawać szklanką, lecz zwijać małe wałeczki, odrywać je, rozgniatać w rękę (tak przygotowane ciasto nie pęka i nie jest twarde), nakładać po łyżeczce mięsa i formować małe pierożki lub uszka.

Gotować kołduny po kilka sztuk w rosole (z wołowego mięsa i kości szpikowych, bez cebuli i pora, tylko z marchwią, pietruszką i selerem) lub w osolonej wodzie - 5-8 minut. Wkładać na gotujący się rosół lub wodę tyle, by swobodnie pływały. Gdy się zagotują i pokaże się pianka lub ukażą rożki, przy tym wypłyną i zmarszczą się - wyjąć jeden, przeciąć i jeśli krwi nie będzie, są gotowe.

Zanim Kapitan poznał tajniki kuchni, był całkowicie uzależniony od umiejętności kobiet, co szczególnie w Anglii mocno dawało się we znaki. Jedną z pierwszych kwater Kapitana w Anglii był staroświecki, wygodny dom pod Londynem.

- Jako pierwsi z Polaków stacjonowali tam przed nami w liczbie zmiennej i nikomu nie znanej piloci eskadry 303, a następnie zawładnęli tym przybytkiem marynarze z Polish Merchant Navy, ściślej mówiąc, absolwenci Szkoły Morskiej w Tczewie i późniejsze roczniki gdyńskie - wspominał ten okres swego życia Kapitan.

Panią domu była wdowa, którą Kapitan określał jako średniego wzrostu „blondynkę, wolno oddalającą i zbliżającą się do trzydziestki”. Swój dom przystosowała do gustów i upodobań swoich polskich gości, przygotowując polskie potrawy według przekazywanych jej przepisów. Way wiedziała, jak zrobić kołduny i flaki z pulpetami i kiedy je podać. Jednym słowem, starała się, jak mogła, dogodzić każdemu, zanim kolejny gość pójdzie do nieba.

Zdarzyło się kiedyś, że jeden z „tczewiaków” zamierzał podjąć w domu pani Way dawno nie widzianego kolegę, polskiego dyplomata w którymś z małych państw Ameryki Środkowej. Kapitan Borchardt miał również uczestniczyć w tym „dyplomatycznym” przyjęciu, jako że kolega-dyplomata, zanim otrzymał to zaszczytne stanowisko, był uczniem tego samego kursu Szkoły Morskiej w Tczewie. Kulminacją spotkania miał być obiad, który jednak stwarzał nie lada problem. Mięso było racjonowane, z wyjątkiem zajęcy i wielorybów. Mięso wielorybie, niewłaściwie przyrządzone, zawsze czuć było tranem, co mało kto znosił, zatem nie wydawało się dostatecznie wytworne na tak uroczystą okazję. Po wielu naradach zapadła decyzja, że będzie zajęc.

- Problem polegał na tym - mówił Kapitan - że Way o wielorybie miała pojęcie, a o zajęc wiedziała tylko, że szybko ucieka goniony przez psy. Nawet pokrewnego królika w potrawce nigdy nie miała okazji skosztować, a teraz została zobowiązana do wykonania z zajęcą specjalnej potrawy („*favorit dish*”).

Obaj panowie zaczęli uczyć panią Way, jak przygotować tę potrawę, ale sami niewiele wiedzieli na temat jej przyrządzania, w dodatku dysponowali dość ubogim angielskim słownictwem kulinarnym. Trzeba było wytłumaczyć, że zajęc musi być kruchy i należy go dusić, ale zamiast „*to stew*”, mówili „*to strangle*” („zadusić”), a nawet użyli określenia „*to press hard*” („mocno przyciskać”). Way nie rozumiała, dlaczego nieżywego zajęcą musi jeszcze udusić. Oczekiwanie na dyplomata stawało się coraz bardziej nerwowe. Way nadal nie wiedziała, o co chodzi, i najchętniej zamieniłaby menu na wieloryba. Wówczas kapitanowie poddali jej myśl, że zajęc może być „*roasted*”, czyli pieczony, a niekoniecznie „*strangle*”, na co Way nieco się zniecierpliwiła i powiedziała, że trzeba było od razu tak mówić, że ma być pieczony, a nie zaduszony. Porozumienie jednak zapadło i nastąpiło ogólne odprężenie.

Gdy wreszcie nadeszła ta pamiętna niedziela i zjawił się oczekiwany kolega, po

dłuższej chwili wypełnionej rozmową na tematy mogące interesować dyplomatę pojawiła się Way z półmiskiem. Podany na nim zajac pokryty był jakąś nieznaną jarzynką, podobną do groszku, tyle że drobniejszą i w czarnym kolorze. Przy zachowaniu całego ceremoniału, jaki obowiązuje na przyjęciach dyplomatycznych, zabrano się do kosztowania tego specjału. I cóż się okazało? Zajac był przyrządzony z całą umiejętnością sztuki kulinarnej, tyle że jarzynką okazał się czarny pieprz.

„Przecież wyraźnie pan powiedział, że zajac ma być z pieprzem” - tłumaczyła się Way, zapytana przez Bogdana, skąd jej przyszło do głowy podać zajaca z pieprzem.

Po południu przychodziłam ponownie około godziny szesnastej, z tym że każdorazowo godzina mego przyjścia była bardzo dokładnie określana w zależności od tego, jakie zajęcia miałam przewidziane do wykonania poza domem Kapitana. Wiedziałam, że nie mogę się spóźnić. Już teraz nie dlatego, że Kapitan mógłby pomyśleć, że go lekceważę, ale dlatego, że się obawiał, by nie przydarzyło mi się coś złego. Gdy któregoś dnia, kiedy mieliśmy jechać na przejażdżkę samochodem, przyjechałam spóźniona około pół godziny, bo na trasie „złapałam gumę”, nasz wyjazd okazał się w ogóle niemożliwy. Kapitan, ze swą silnie rozbudowaną wyobraźnią i wrażliwością, czekał przy telefonie, ale nie na to, że zadzwonię, lecz na wiadomość ze szpitala o wypadku. Wolałam zatem, na wzór Japończyków, przyjeżdżać pięć, a nawet dziesięć minut wcześniej.

Z każdym rokiem wizyty gości były coraz rzadsze, a ja coraz częściej przebywałam na „kapitańskim mostku”. Nie pozwalał mi na wykonywanie żadnych prac gospodarczych w jego domu. Czasami przychodziła posprzątać mieszkanie pani Hele. Dwa razy w roku Kapitan mówił: „Jutro będę nosił węgiel”.

Polegało to na tym, że Kapitan cały dzień czekał na panią Hele, kiedy przyjedzie z Chylonii, a potem przez blisko cztery godziny przeżywał, jak ta kobieta przenosi po schodach z komórki na podwórzu po dwa wiadra węgla i wysypuje na dach przed oknem. Męczył się przez ten czas okrutnie. Gdy wreszcie kończyła, otrzymywała sowitą zapłatę, znacznie przekraczającą średnie tygodniowe wynagrodzenie wykwalifikowanego robotnika, zwiększające się za każdym razem wraz z postępującą inflacją złotych. Kończyło się to wielką radością pani Heli i całowaniem Kapitana przez obdarowaną w oba policzki.

Kiedyś, czekając na panią Hele, gdy jakieś zakłócenia komunikacyjne opóźniły jej przybycie, Kapitan przypomniał sobie dawne czasy i opowiedział mi następującą historię o „pomocy domowej”:

- U mego dziada Raczkiewicza długie lata służyła Marylka. Pochodziła ze wsi w pobliżu Żuraw, a gdy dziad owdowiał i przeniósł się na stałe do Wilna, Marylka dalej pełniła funkcję pomocy domowej i gospodyni. Dziad nazywał ją „czerwonooką”, chyba dlatego że była piegowata i miała rude włosy, a jej niebieskie oczy okalały rudawe rzęsy. Miała już wówczas pod czterdziestkę, była wesolutka, gadatliwa, prawie pyskata, ale uczciwa i szczerze przywiązana do rodziny. Matkę moją nazywała stale panienką, nawet gdy ja już byłem dorosły. Z dziadem o byle co się kłóciła, więc pomimo wierności i uczciwości musiał wreszcie się jej pozbyć. Przeszła do mego wuja, Wacława Wyszyńskiego, który wtedy był prezesem Sądu Okręgowego w Wilnie. Mieszkał przy ulicy Portowej, w kamienicy stanowiącej współwłasność doktora Safarewicza i Jana Piłsudskiego, brata Marszałka. Wuj Wacek miał tam komfortowe mieszkanie, a chciał przyjąć kogoś zaufanego, więc wybór padł na Marylkę. Ale i u wuja nie zmieniła swego charakteru. Śmiało wygłaszała swoje zdanie i prawiła morały, które znosił do czasu. Znała go od dziecka, więc przy najmniejszej okazji wypominała mu to, mówiąc: „Co dla mnie Wyszyński? Może i dla kogo wielka szyszka, pan prezes sądu, a dla mnie zawsze Waciuk i nic więcej, wot co!”

Z początku podobała się wujowi ta rezolucyjność i rozśmieszała ogromnie, sam ją wywoływał i prowokował, jeśli ktoś ze znajomych czy z rodziny znalazł się u niego, ale gdy już przekroczyła wszelką miarę, musiał z niej zrezygnować.

Zanim to nastąpiło, przyjechał do Wilna Marszałek Józef Piłsudski i zamieszkał u swego brata, czy tylko przyszedł go odwiedzić, nie pamiętam. Naturalnie, musiał być wystawny obiad i ulubiony przez Marszałka barszcz litewski. Do pomocy kucharce Jana Piłsudskiego poproszono Marylkę. Marszałek był w dobrym humorze, obiad doskonały. Wuj Wacek wspominał o Marylce, której główną zasługą był tak wspaniały obiad. Gdy zebrani pili zdrowie Marszałka, ten nalał pełen kieliszek likieru i powiedział, że musi wypić zdrowie tej osoby, która gotuje tak wyśmienity barszcz, i poszedł specjalnie do kuchni. To zdarzenie tak wyniosło Marylkę na wyżyny, że przy lada sposobności zaznaczała swoją ważność słowami: „Ja z samym Marszałkiem likwor piła i pochwały odbierała za smaczny borszcz litewski. Wot co!”

Po południu w zasadzie nie było już pracy. Ja zdawałam relację, gdzie byłam, co robiłam, co udało mi się załatwić. Kapitan bardzo drobiazgowo mówił mi, co się działo u niego na „kapitańskim mostku” przez te kilka godzin: jak zachowywały się dzisiaj ptaki, jak wyglądała wcześniej zaplanowana wizyta. Czasami była to wizyta nieoczekiwana. Martwiło mnie bardzo, że Kapitan wpuszcza do mieszkania nie znane mu osoby - jakiegoś chłopca, który właśnie przeczytał książkę i musi mieć autograf autora, panią, która przyjechała

specjalnie z Wielunia, aby obejrzeć „Dar Pomorza” i zobaczyć Borchardta. Ale były też osoby chcące wyludzić parę złotych. Nigdy nie odeszły z niczym. - Wolę sam dać im pieniądze, niż mieliby mnie zamordować. I nie chcę, by ktokolwiek słał pod moim adresem złe myśli.

Na dzień przed śmiercią Kapitana wysyłałam jeszcze kwotę dziesięciu tysięcy złotych osobie znanej mi i widzianej ostatni raz przed wojną, tylko dlatego że zwróciła się o taką kwotę, i to nie w formie pożyczki, lecz bezzwrotnej pomocy. Zresztą Kapitan i tak nigdy nikomu pieniędzy nie pożyczał. Jeżeli uznał, że istotnie jakiemuś człowiekowi trzeba pomóc, dawał tyle pieniędzy, ile go było stać. W różnych okresach swego życia miał zawsze kogoś, komu pomagał finansowo i robił to w sposób bardzo dyskretny i delikatny.

Kiedyś, przed laty, taka postawa Kapitana stała się powodem nieporozumienia. Idąc ulicą Świętojańską wstąpił do „zaprzyjaźnionego” sklepu, pomimo że na drzwiach była wywieszka „Remanent”. W środku zrozpaczona kierowniczką poinformowała go, że stwierdzono manko pięciu tysięcy złotych. Była to wówczas równowartość dwóch średnich pensji. Kapitan, nic nie mówiąc, wyszedł ze sklepu i poszedł dalej Świętojańską do PKO. Pobrał pięć tysięcy złotych ze swego konta, wrócił do sklepu i wręczył kierowniczkę. W niedługim czasie okazało się, że manko nie istnieje, a było wynikiem pomyłki. Pieniądze Kapitana wróciły do niego. Pani jednak opacznie zinterpretowała gest Kapitana, uznając że jest to niewątpliwy dowód miłości do niej. Trzeba było ją z tego błędu wyprowadzić.

„Pocztylion”, jak nazywał Kapitan listonosza (kilkunastu wydeptało schody do „Siódmego Nieba”), zawsze przynosił pocztę na samą górę i zostawiał z lewej strony drzwi za znajdującą się tam barierką. Zanim przyszedłam po południu, Kapitan zwykle znał już treść korespondencji i potem dawał mi do przeczytania, wprowadzając jednocześnie w temat, abym wiedziała, co odpisać.

Jednego pocztyliona Kapitan szczególnie zapamiętał.

- Panie kapitanie - mówił ten listonosz - pan nawet nie wie, ile ja mam z panem kłopotów.

- Bardzo mi przykro - odpowiedział Kapitan - że musi pan wchodzić tak wysoko i jestem panu niezmiernie wdzięczny, że nie wrzuca pan moich listów do skrzynki, tylko je wnosi aż na to trzecie piętro i w dodatku po tym „trapie”.

- Nie o to chodzi, panie kapitanie. Chodzenie to głupstwo. Ale jak ja idę przez Mickiewicza, to ludzie, czasami całe wycieczki, pytają mnie, gdzie pan mieszka. To co ja mam im odpowiadać? Że mieszka pan na dachu? Mówię wtedy: „O, tutaj” i pokazuję na willę. Niech myślą, że pan jest jej właścicielem i zajmuje całą.

Po południu były już same przyjemności. Siadaliśmy przy stole i po wyczerpaniu aktualnych wiadomości Kapitan zaczynał wspominać. Każda pora roku miała swój urok. Wiosną i latem stawały przed nami rzeźbione szklanki, wypełnione sokiem pomarańczowym czy ananasowym, jesienią i zimą filiżanki z gorącą czekoladą. Szczególny nastrój tworzył się w zimowe popołudnia i wieczory. Na dworze mróz, często zamieć, z okien widoczne światełka oczekujących na wejście do portu statków, a tutaj ciepło, przytulnie. Ogień w piecu trzaska - zimą trzeba było palić okrągłą dobę, aby utrzymać odpowiednią temperaturę. Wiedziałam, że Kapitan starał się umilić mi jak najbardziej te chwile, które spędzałam u niego, i chciał mnie jak najdłużej zatrzymać, aby po moim wyjściu już tylko sen pozostał mu do rana, kiedy znowu przyjdę. Dusznicza bolesna, na którą cierpiał od kilku lat, jest straszną chorobą. Nigdy nie wiadomo, kiedy zaatakuje, a ból, który jej towarzyszy, jest podobno nie do wytrzymania. Jeżeli nie jest to atak śmiertelny, ktoś musi natychmiast podać nitroglicerynę. Chory nie jest w stanie sam tego zrobić.

Dwa, trzy lata przed śmiercią siedzenie już bardzo męczyło Kapitana. Często zatem pozostawał w łóżku w pozycji półsiedzącej, w swoim granatowym wełnianym szlafroku, z czterema złotymi paskami i kołem sterowym wyszytym na górnej kieszeni. Nie wiem, skąd ten szlafrok znalazł się u Kapitana. Możliwe, że przywiózł go z Anglii.

- Mój dziadunio przewraca się w grobie, gdy widzi, jak ja zachowuję się w obecności kobiety - tłumaczył się niekiedy.

Ale mnie też było wygodnie. Siedziałam w fotelu, od czasu do czasu podrzucałam do pieca drewniak lub węgiel i słuchałam, słuchałam, słuchałam coraz to nowych opowieści „z tysiąca i jednej nocy”. Czasami Kapitan powtarzał się, ale nie przerywałam mu i tym sposobem niektóre jego opowiadania utrwaliły mi się tak mocno, że mam je zapisane w głowie niby na taśmie magnetofonowej. Nigdy nie było żadnych rozbieżności pomiędzy wersją słyszana pierwszy i kolejny raz. I bez tego wierzyłam we wszystko, co mówił, jednakże ten fakt jeszcze bardziej potwierdzał jego prawdomówność. Niektóre, często niewiarygodne historie, mogłam wręcz udokumentować już po odejściu Kapitana, gdy porządkując jego archiwum odnajdowałam stare listy, wycinki z gazet, urzędowe pisma, słowo w słowo zgodne z tym, co wcześniej usłyszałam.

Najchętniej w swoich wspomnieniach sięgał Kapitan do czasów młodości, a nawet dzieciństwa. Przed moimi oczami stawały wówczas biały dworek, suty ogień w kominku, światło świec w kandelabrach w staroświecko umeblowanych pokojach, zatopionych w wiejskiej ciszy przerywanej miarowym stukiem zegara.

- Pamiętam taką zimę w moim życiu, kiedy musiałem pojechać na stację kolejową na

drugą w nocy po wuja, mającego przyjechać z Wilna. Pojechałem w malutkich saneczkach. Przy lekko prószącym śniegu mój koń nagle utknął i nie chciał ruszyć. Wszedłem z sanek zobaczyć, co stoi na przeszkodzie. Przed głową konia zobaczyłem komin. Byłem na dachu jakiejś chałupy. Bez większych emocji wycofałem konia i ruszyliśmy dalej na stację kolejową. Byliśmy przyzwyczajeni do takich śniegów.

Czasami Kapitan zaznaczał: - Mówię ci to „pod białą różą”.

Gdy po raz pierwszy to usłyszałam, zapytał: - Czy wiesz, co znaczy mówić „pod białą różą”? W starożytnym Rzymie, gdy podczas jakiegoś spotkania miały być omawiane sprawy wymagające dyskrecji, zachowania tajemnicy, u sklepienia zawieszano białe róże. Czy widzisz tu tę różę?

Tak, widzę białą różę, ilekroć przyjdzie mi wspominać Kapitana. Widzę ją wszędzie tam, gdzie on ją umieścił, ale i sama niekiedy zawieszam.

Rozdział III. Wszystko okryje niepamięć

Wziąwszy się z Oszmiany na wschód, przez most na rzece w miejscu tem dość szerokiej, mimo huczącego i pluszczącego młyna [...] wydostajemy się z kotliny, w której leży Oszmiana, na tak zwany boruński trakt. Koła zaryły się w głęboki piasek, ciężko podsadziły się konie pod górę i wyjechaliśmy na rozległe, szerokie płaskowzgórze. Przed nami pola i łąki leżące zielonozłocistą szachownicą, usiane laskami i czubami drzew, upstrzone rzuconymi gdzieniegdzie na krajobraz kupkami chat, zamknięte, hen, na skraju horyzontu, siną, łamaną, gęsto poprzecinaną linią dalekich lasów. [...]

Na wprost Olan, po przeciwległej stronie boruńskiego traktu, dziedziczył do niedawna w dwóch niewielkich folwarkach Michałowszczyźnie i Skirdzimach staroświeckiej daty szlachcic Wincenty Raczkiewicz, uchodzący w okolicy, nie bez słuszności, za oryginała. W książkach zagrzebany siedział, podobno nad dziejami Litwy, ateuszem siebie zwał, a umierając pochować siebie kazał w szczerem polu w sklepie mogilnym *ad hoc* przez niego samego zbudowanym. Została po nim książka w niewielkiej liczbie egzemplarzy odbita, nie puszczona w handel księgarski, zagwoźdzona gdzieś na strychu w Skirdzimach. [...] Autorowi zdawało się, że spisuje własne myśli, tymczasem spisywał pamięciowe swoje reminiscencje; znać tylko pewną, wcale nie zaściankową erudycję, gorące i zaszczytne umiłowanie przedmiotu. Pełny tytuł dzieła brzmi: „Roztrząsania zasad historii północnej Europy przez Wincentego Raczkiewicza”. Wilno. Czcionkami A. Marcinkowskiego. 1860. Pisane w Skirdzimach, wydane oczywiście nakładem samego autora. - Skirdzimy są w chwili obecnej we władaniu syna s.p. Raczkiewicza.⁵

Już w czasie pierwszej wizyty u Kapitana usłyszałam: - Nie ma takiego drugiego powiatu w świecie, jak powiat oszmiański. Z niego wywodzi się siedmiu królów, dwie królowe i jeden święty.

Ja później dodawałam: - I kapitan Borchardt. Zetknęłam się już kiedyś z nazwą tego powiatu. Adam Mickiewicz coś o nim wspomina w „Panu Tadeuszu”. To była cała moja wiedza o tym najukochańszym skrawku ziemi Kapitana. Wkrótce dostałam od niego książkę, z której urywki zacytowałam.

⁵ Powiat oszmiański. Materiały do dziejów ziemi i ludzi. Zebrał i wydał Czesław Jankowski. Część pierwsza. Petersburg, Księgarnia K. Grendyszyńskiego. Kraków, C. Gebethner i Spółka. 1896, ss. 51, 57 (przyp. E.O.)

Wincenty Raczkiewicz, o którym pisze Czesław Jankowski, to w prostej linii pradziad Karola Olgierda Borchardta, a dziad jego matki Marii z Narwid-Raczkiewiczów.

Maryniu Droga, nieraz spać nocami nie mogę i różne myśli przychodzą do głowy. Otóż rozmyślałam ostatnio, dlaczego to Żurawy w takiej odległości były od Skirdzim Raczkiewiczowskich, czy to później kupiono? Wuj Raczkiewicz mówił kiedyś, że ojciec jego powiadał, że Skirdzimy będą dla tego syna, który będzie miał męskich potomków, a więc Leokadiusz miał dwóch synów i jemu należało się pozostać w Skirdzimach, a nie w Żurawach. [...] Bo starszy brat Witold Raczkiewicz miał tylko dwie córki: Witkę i Wandę Waligórską, czy tak? Ale w jaki sposób dostały się te Żurawy Raczkiewiczom? Czasami takie bzdurne pytania kołoczą się po głowie. I na co i po co? Wszystko okryje niepamięć, zapomnienie o nas i naszych sprawach - pisała w liście z 21 października 1966 roku do matki Kapitana jej kuzynka, Jadwiga Szczęsnowiczowa.

A stało się to, według słów Kapitana, w ten sposób, że drugi syn Wincentego Raczkiewicza, pozostający w dobrych stosunkach z dworem carskim, spowodował, iż wola ojca nie została zachowana. Skirdzimy i Michałowszczyznę odziedziczył Witold, a Leokadiuszowi przypadł jedynie niewielki folwark Żurawy.

Ukochany, najdroższy skrawek ziemi - Żurawy. Syn patrzy na niego oczami matki, bo przecież sam się tutaj nie urodził i spędził tu zaledwie niewielką część życia. Dopiero bowiem w latach trzydziestych matka wybudowała nowy dom i przeniosła się na stałe z Wilna. Stary dom został zniszczony podczas działań wojennych w I wojnie światowej.

Po śmierci matki w roku 1977 Kapitan, dręczony tęsknotą za nią, napisał w gwarze oszmiańskiej wierszowany utwór pt. „Adwertka”. Pisząc o dziewczynie imieniem Weronisia miał na myśli swoją matkę, gdy była młodą dziewczyną.

Przy trakcie krytym piaskami,
Gensto chronionym brzożami,
Od Wilna, blisko Oszmiany
Jest miejscowość, zwie Żurawy.
Była tam dziewczyneczka,

Nadtoż koni kochała,
Na każdym oklep jeździła
I każdego wyuczyła.
Z najbardziej charakternego
Zrobi sobie posłusznego.
Witko żadnego nie tknęła,
Na żadnego nie krzyknęła.
Najwiecej tym zadziwiła,
Że uzdy nie używała.
Czy w galopie, czy w klusie
Wszystkim ona oczy rwie.
A żywiła w domu jej
Cała zakochana w niej,
I oszmański powiat wie,
Że sień Weronisia zwie.
Weronisia to dziewczyna
Wszystko równo jak leszczyna,
Smukła, gientka i wysoka,
Niemożebnie wpada w oko.
Nie napasiesz oczu nio,
Choćbyś patrzył godzin sto.
Do pient długie włosy ma,
Wszystkich nimi zachwyca,
Czarne, długie, kręte też,
Cudne, nu jak tylko chcesz...
Jak malinki usta ma,
Foremne ponad życia.
Nadtoż piękny głos ma ona,
Lubi śpiewać roztańczona.
Zna sień ona i na miodach,
Na lodach i na jagodach.
W grzybach też rozbiera ona,
W piśmiennej części uczona.
Wie też dobrze, czego chce,

Co jest dobre i ładne...

Maria Małgorzata Raczkiewiczówna, *primo voto* Borchardtowa, *secundo voto* Czyżowa, urodziła się 13 stycznia 1881 roku w Żurawach na Oszmiańszczyźnie, z Leokadiusza Narwid-Raczkiewicza i Amelii Litawor-Aramowiczówny. Wielki był wpływ matki na syna i właściwie tylko ona go wychowywała. Małżeństwo Marii i Hilarego Borchardta nie było udane. Za tą niechęcią Maryni do Hilarego jeszcze w okresie narzeczeńskim miała się kryć jakaś romantyczna miłość do syna któregoś z magnatów litewskich. Młodzi byli w sobie zakochani, przysięgli czekać na siebie. On wyjechał na studia za granicę, ona czekała. Mijały lata i miała ich „już” dwadzieścia trzy, gdy Hilary Borchardt zaczął ubiegać się o jej rękę. Nie mając żadnych wieści od ukochanego, którego zresztą darzyła uczuciem skrywanym przed rodzicami, pozostając przy tym w niepewności, jak zostałaaby przyjęta w pałacu piękna, ale niezbyt majątna szlachcianka, zdecydowała się wyjść za Hilarego. Gdy ukochany wrócił, było już za późno.

Pod datą 7 czerwca 1904 roku Jadwiga Łukaszewiczówna (późniejsza Szczęsnowiczowa) zapisała w swoim pamiętniku:

Pojechałyśmy z mamą na ślub Maryni do Wilna. Zobaczyłam jej przyszłego męża, był przystojnym brunetem, miał czarny zarost, wydawał mi się za stary dla niej. Dziwiłam się w swej dziecinnej naiwności, jak ona mogła pokochać takiego brodatego pana. Marynia była śliczna w białej, powłóczystej sukni i leciutkim welonie na głowie. Brali ślub w kalwińskim kościele, bo on jest kalwinem. Czulałam się w tej pustyni jak drobniutki pyłek, niewidoczna i malutka.

Obie z mamą płakałyśmy na jej ślubie. Hilary Borchardt nie wzbudził we mnie sympatii ani zaufania, mówiąc, że zabiera Marynię do Moskwy. Zdało się mnie to tak daleko, jak na księżyc może.

Po roku małżeństwa rodzi się syn.

Po roku przyjechała do nas Marynia z małym synkiem - wspomina Jadwiga

Łukaszewiczówna - którego [...] później ochrzczono Karolem. W drodze wielkiej łaski dane mi było parokrotnie piastować tego jedynaczka na ręku. Młodszym Marynia go nie powierzała. Uważałam to za wielki zaszczyt dla siebie. A na świecie był rok 1905 i wojna rusko-japońska. Borchardt jako lekarz poszedł na wojnę. Marynia w ten czas hodowała u nas syneczka, był ładny - miał ogromne, myślące czarne oczy. Potem powróciła do męża, ale szczęścia tam nie było...

Marynia pod nieobecność męża zabiera dziecko i wyjeżdża do Paryża, zamieszkując tam u jego siostry.

Praktycznie Karol nie miał żadnego kontaktu z ojcem. Zwierzał mi się, że żałuje tego, bo jego ojciec był postacią nieprzeciętną. I jako lekarz, i jako człowiek. Zbierał informacje o swoim ojcu od osób z nim współpracujących, od pacjentów. Miał też wycinki z przedwojennych czasopism, które informowały o rewelacyjnej metodzie leczenia raka, stosowanej przez doktora Borchardta. Metodzie niezwykle prostej. Chodziło w niej o zapewnienie normalnego funkcjonowania organizmu przez dostęp odpowiedniej ilości tlenu i jonów (wraz z powietrzem) - jony uważał za szczególnie ważne, jako przychodzące w promieniach kosmicznych z najdalszych sfer kosmosu - przez dobrą przemianę materii dzięki uregulowaniu w organizmie procesu spalania (trawienie). Procesom gnilnym i złogom, wielce szkodliwym, sprzyja, twierdził, szybkie jedzenie, złe żucie pokarmów, niedostateczne przemieszanie ich ze śliną (zdaniem doktora, źle przeżuty pokarm daje tyle pożytku, co połknięty kawałek kalosza, z tym że kalosz nie gnije, a mięso tak).

Gazeta „Dzień Dobry” z 30 kwietnia 1937 roku na stronie 4 zamieszcza artykuł pt. „Leczenie raka według teorii dr. Borchardta”:

Rak jest chorobą całego organizmu, powstającą przy niedostatecznym utlenieniu jego tkanek, następstwem chorobliwego zastoju w spalaniu, do którego przede wszystkim powołany jest nasz organizm.

Komórka rakowa tworzy się z niespalonego białka zwierzęcego w atmosferze beztlenowej.

Oto krótkie streszczenie [...] teorii dr Borchardta, jedynego lekarza, skutecznie leczącego tę straszliwą chorobę. [...]

Ponieważ rak rozwija się przy niedostatecznym dostępie powietrza, logicznym

następstwem tego jest twierdzenie, że wzmożone oddychanie, a przez to samo silniejszy proces spaleniowy (przemiany materii) w organizmie powstrzymuje dalszy rozwój choroby.

Wszelkimi siłami więc dążyć należy do kilkakrotnego wzmocnienia procesu oddychania, a przez to samo pobudzenia organizmu do intensywniejszego spalania.

Osiąga to dr Borchartd przez zalecenie wszystkim chorym na raka pacjentom stałego przewietrzania mieszkań, snu przy bezwzględnie otwartych oknach.

Człowiek - twierdzi dr Borchartd - nie może oderwać się zupełnie i odosobnić od działających nań sił przyrody, mają one bowiem olbrzymi wpływ na organizm.

Poza tlenem - w powietrzu jest olbrzymia, niezbadana jeszcze dokładnie energia elektryczna. Energia ta - to jony, znajdujące się najobficiej w powietrzu wsi. Działanie ich fizjologiczne jest niezaprzeczone, jony odgrywają w organizmie rolę substancyj pobudzających samo spalanie.

Jest faktem stwierdzonym, że ilość jonów maleje wraz z zużywaniem się powietrza w ograniczonych przestrzeniach.

Jeśli stale pozostajemy przy zamkniętych oknach - dobrowolnie narażamy się na utratę tych olbrzymich sił, które są naturalnym regulatorem procesu spalania i nie dopuszczają nigdy do jego zastoju.

Stały dostęp powietrza jest więc pierwszym zasadniczym wskazaniem dr Borchartda przy leczeniu raka.

Poza powietrzem olbrzymie znaczenie dla przyspieszania procesu utleniania, a więc przemiany materii ma systematyczna praca mięśni.

Wiemy wszyscy, że przy pracy mięśniowej spożycie tlenu kilkakrotnie wzrasta i kilkakrotnie też wzrasta ilość wydzielanego przez organizm dwutlenku węgla.

Ten dwutlenek węgla z kolei wpływa w znacznym stopniu na obieg krwi i limfy, naturalnych źródeł pokarmu tkanek. Im bardziej krew jest nasycona dwutlenkiem węgla, tym silniej i szybciej krąży. Ponadto dwutlenek węgla wydzielany przez organizm jest najlepszym jego uodpornieniem przeciw chorobom zakaźnym.

Praca mięśni ma swoje i inne dobre strony. Wydzielają one bowiem produkty swej pracy, które idą na użytek całego organizmu, a przede wszystkim zasilają najważniejsze centra nerwowe człowieka - mózg i mlec pacierzowy.

Olbrzymie znaczenie dla przywrócenia chorego organizmu do zdrowia ma czystość kiszek. Nie powinny w nich pozostawać niestrawione resztki pokarmów, a przede wszystkim mięsa, rozkładają się bowiem i jadami zatrują cały organizm. Stąd szczególnie przy raku należy dbać o czystość kiszek i przewodu pokarmowego.

Osiąga to dr Borchardt przez stosowanie substancji regulujących trawienie i oczyszczających przewód pokarmowy. Są to zarówno zioła, jak i inne specyfiki.

Ponieważ tkanka rakowa tworzy się z niespalonego białka zwierzęcego, chory na raka nie może pod groźbą dalszego rozwoju choroby spożywać pokarmów zawierających białko.

Dieta dla rakowatych więc wyłącza mięso, mleko i jaja. Wyłącza na stałe, zawsze bowiem białko zwierzęce pozostanie nawet dla wyleczonego rakowatego niebezpieczne.

Poza tymi środkami stosuje dr Borchardt jeszcze jeden - sztuczne wzmocnienie procesu przemiany materii.

Chemia lekarska - stwierdza dr Borchardt - zna od dawna takie związki chemiczne, które przyspieszają spalanie nieutlenionych resztek pokarmów.

Środki te są związkami organicznymi - nazywają się one peroksydazy. [...]

Ta sama gazeta dnia 1 maja 1937 roku drukuje wywiad z dr. Borchardtem, zatytułowany „Dręcząca tajemnica strasznej choroby”:

Dr Hilary Borchardt - twórca rewelacyjnej metody leczenia raka [...] dziś jest doświadczonym 63-letnim lekarzem. [...]

Jak doszedł do poznania raka i pewności, że głoszona przez niego teoria istotnie przynosi niezwykle odkrycie?

- W 1904 roku - mówi nam dr Borchardt, gdy go o to zapytujemy - po skończeniu medycyny na Uniwersytecie w Moskwie, wstąpiłem na klinikę ginekologiczną. Już pierwsze spostrzeżenia w mej pierwszej praktyce lekarskiej wykazały, że raka - a przypadków tej choroby mieliśmy wówczas wiele - sposobem chirurgicznym nie da się uleczyć.

Gdy się w tym przekonaniu ugruntowałem, postanowiłem szukać innych sposobów leczenia tej strasznej choroby, której sama nazwa, chroniona zresztą ściśle przed chorymi, oznaczała zdecydowany wyrok śmierci.

W dwa lata więc później zmieniłem klinikę ginekologiczną na Instytut Rakowatych, również klinikę uniwersytecką.

Dyrektorem tego Instytutu był w owym czasie emerytowany profesor Uniwersytetu i tajny radca stanu Lew Lwowicz Lowszyn, j stary, doświadczony lekarz.

W Instytucie stosowano wówczas, jak zresztą i do tej pory w całym świecie, trzy sposoby leczenia raka: rentgen, rad i operację.

Dyrektor nie miał do żadnego z tych środków najmniejszego zaufania, widział, że mimo ich stosowania chorzy giną. [...]

Ponieważ pasjonowała mnie tajemnica raka, a zdawałem sobie sprawę, że praca nad nią będzie możliwa tylko w wypadku odcięcia się od interesującego mnie podówczas - byłem przecież bardzo młodym człowiekiem - zewnętrznego świata - postanowiłem wyjechać.

Poszukiwani wówczas byli młodzi lekarze do dalekich okręgów Rosji Centralnej i Dalekiego Wschodu na samodzielną pracę. Wybrałem Daleki Wschód - otrzymałem olbrzymi okręg lekarski o setki wiorst od Władywostoku.

W niedługim czasie byłem na miejscu. Do mego okręgu należał dość duży szpital na 30 łóżek oraz obszar zajmujący przestrzeń naszych trzech województw.

Jeden lekarz na takim obszarze! Oczywiście, że pomoc lekarska była tylko w okręgu najbliższym mego miejsca zamieszkania, na urzędowe prace w odleglejszych miejscowościach jechałem statkiem... 2 tygodnie.

Pracy miałem dużo. Dużo także miałem czasu do rozmyślań, zużytkowywałem bowiem na to wszelkie podróże, a przy samodzielnym stanowisku okręgowego lekarza było ich dużo.

Zacząłem pracować nad Pasteurem i Miecznikowem. Prace francuskiego geniusza myśli lekarskiej otworzyły mi oczy na sens leczenia w ogóle, wykazując, że tylko czystość komórki tkankowej i prawidłowe jej odżywianie, przy normalnej ilości tlenu, zapewnić mogą zdrowie organizmowi.

Praca okazywała się w miarę poznawania badań, metod i wyników Pasteura i Miecznikowa coraz ciekawsza: praktyka codziennie potwierdzała słuszność tez wielkich uczonych.

Przez Miecznikowa poznałem życie żywej komórki i jej właściwości, przez Pasteura - bakterie...

I oto dalsza praktyka utrwaliła mnie w przekonaniu, zresztą Pasteurowskim, że zwolnienie organizmu z bakterij gnilnych ma olbrzymie znaczenie przy każdym, najbłahszym nawet schorzeniu. Procesy spalania zaś, odgrywające w przemianie materii kolosalną rolę, uzależnione są od ilości dostarczanego przez płuca tlenu.

Nic w tym dziwnego. Ilości tlenu, które potrzebne są organizmowi dla dokonywania jego pracy, dadzą się przecież obliczyć z ołówkiem w rękę.

Mgliste pojęcie o układzie reakcyj chemicznych, zachodzących w organizmie, przeradzało się z wolna u mnie w coś zupełnie konkretnego - świadomość buchalterii procesów chemicznych...

Dalszy postęp jest zasługą znakomitego fizjologa angielskiego prof. Haldane'a. Dzięki niemu, a właściwie jego pracom, utrwaliło się we mnie przekonanie, że procesy chemiczne organizmu są odwracalne. Skoro więc tak jest - muszą być odwracalne też i te procesy chemiczne, które doprowadzają do powstania choroby, nieszczęśliwie nazwanej przez medycynę rakiem...

I oto doszedłem do historii pierwszego wyleczenia chorej na raka kobiety...

W artykule: „Nowe wypadki uleczenia raka metodą leczniczą dr. Borchardta” („Dzień Dobry”, 23 maja 1937) napisano:

Przed dwoma tygodniami opisaliśmy w całym cyklu artykułów sensacyjną metodę leczenia raka, stosowaną przez lekarza warszawskiego, dr. Hilarego Borchardta.

Dr Borchardt w wyniku 30-letniej przeszło pracy badawczej nad istotą i przyczynami chorób nowotworowych doszedł do rewelacyjnego wniosku, że rak jest chorobą całego organizmu, powstającą przy niedostatecznym jego utlenianiu. [...]

Opisując nową metodę leczenia raka, zamieściliśmy szereg, rozmów z osobami, których dr Borchardt uleczył całkowicie z raka. Uleczenie to tym większej wagi nabierało w ustach samych uleczonych, że zgłaszali się oni do dr. Borchardta już po leczeniu przez innych lekarzy, a lekarze ci oświadczyli, że nie ma dla chorych ratunku i dni ich są policzone.

W kilku wypadkach oświadczenia te były poparte dowodami, wszyscy zaś uleczeni posiadali wystawione przez poważnych lekarzy i instytucje zaświadczenia, stwierdzające, że cierpieli na raka. [...]

Jedną z chorych p. Z. z Łucka znajdujemy w niewielkiej prywatnej lecznicy przy ul. Hożej. Pani Z. 35-letnia, młoda jeszcze kobieta od 3 lat cierpiała na raka żołądka. Ponieważ miejscowi lekarze z Łucka zalecili jej operację - chora przed pół rokiem jej się poddała. Odtąd stan p. Z. pogarszał się stale, choroba przykuła ją zupełnie do łóżka. Lekarze orzekli, że dalsze leczenie jest bezcelowe, chora bowiem i tak umrze. Pani Z. przyjechała do Warszawy i poddała się kuracji dr. Borchardta.

- Czuję się tak, jak za czasów zupełnego zdrowia - mówi w rozmowie z nami chora. - Jem wszystko, obrzęklizna żołądka i wątroby zmniejsza się stale, mam znowu apetyt...

P.K.R. z Warszawy zgłosiła się z guzem rakowym na piersi do dr. Borchardta zaledwie przed dwoma tygodniami. Przyszła, jak sama mówi, a raczej wyrwała się spod noża,

w przeddzień operacji, na którą skierował chorą jeden z wybitnych medyków warszawskich. Dr Borchardt podjął się kuracji pod warunkiem, że p. R. z operacji zrezygnuje. Chora usłuchała i rozpoczęła intensywną kurację w myśl wskazań dr. Borchardta. Dziś, po dwu tygodniach jej trwania złośliwy nowotwór na piersi zmniejszył się do jednej trzeciej poprzedniej wielkości i zmniejsza się z dnia na dzień. [...]

Sam dr Hilary Borchardt wspomina historię pierwszego wypadku wyleczenia chorej na raka kobiety w gazecie „Dzień Dobry” z dnia 3 maja 1937 roku, str. 5:

Było to w roku 1916, w czasie wojny światowej. Jako obywatel rosyjski wcielony zostałem do armii carskiej w charakterze lekarza pułkowego. Zdarzyło się, że stacjonowaliśmy przez szereg tygodni w małej osadzie, w czernihowskiej guberni - Kleńcach.

Pewnego dnia zgłosił się do mnie jeden z miejscowych kupców nazwiskiem Raskin, prosząc o udanie się na wizytę do jego chorej żony. Cierpiała ona na raka odbytnicy już od szeregu miesięcy, ostatnio zaś była po operacji wycięcia tkanki rakowej. Operacja dokonana była w mieście gubernialnym.

Jak to zwykle bywa, rana po operacji się nie goiła, nowotwór zaś zaczął z powrotem się rozrastać. Przewlekła choroba wyniszczyła zupełnie organizm - chora przedstawiała prawdziwy szkielet człowieka. Leczący ją poprzednio jeden z lekarzy oświadczył wprost mężowi rakowatej, że stan jej jest beznadziejny i pozostał jej najwyżej miesiąc życia. Lekarz ten był konsekwentny. Nie znajdując dla chorej żadnego ratunku, już od szeregu tygodni zapisywał jej tylko narkotyki, aby, nie mogąc pomóc w chorobie, przynajmniej śmierć uczynić lżejszą.

Obejrzawszy chorą, z mężem jej przeprowadziłem następującą rozmowę:

- Szansa wyleczenia żony - powiedziałem mu wówczas - jest 1 na tysiąc. Ponieważ jednak istnieje isierka nadziei, kuracji się podejmę. Stawiam jednak warunek: nikt oprócz najbliższej rodziny nie będzie do chorej dopuszczony, poprzedni zaś lekarz nie dowie się o tym, jaką kurację stosuję.

Wyjaśnić muszę, że nie chodziło bynajmniej o zazdrosne strzeżenie tajemnicy, ale po prostu o to, by zdziwiony odmiennością stosowanej przeze mnie metody leczenia lekarz ten mi nie przeszkadzał.

Wziąłem się do pracy. Najpierw, pamiętając o znaczeniu uwolnienia organizmu od

zalegających bakterij gnilnych w przewodzie pokarmowym, dałem chorej silne środki przeczyszczające. Następnie kazałem pootwierać okna, zaleciłem częste ćwiczenia, choćby nawet króciutkie, użyłem środków przyspieszających sam proces spalania w organizmie.

I o dziwo! Chora zaczęła powoli przychodzić do zdrowia, w cztery dni po rozpoczęciu kuracji zapytała mnie, czy mogłaby zjeść kawałek chleba! Chora, która nie jadła już od miesięcy, a żyła tylko narkotykami.

W miarę zdrowienia Raskinowej utrwaląłem się w przekonaniu, że metoda moja jest skuteczna.

W trzy tygodnie po rozpoczęciu kuracji chora jadła już rybę i śledzie (była to Żydówka), w pięć tygodni zaproszony zostałem już po jej kompletnym wyzdrowieniu na „szabes”, na szklanekę wina.

Raskinowa była zdrowa. Gdy następnego dnia potem, kiedy pierwszy raz jadła wszystko i chodziła po mieszkaniu, wyjechała z mężem dorożką na spacer po miasteczku - zjawienie się jej wywołało sensację. Wszyscy, było to przecież małe miasteczko, wiedzieli dokładnie o jej chorobie i policzonych dniach - nikt nie przypuszczał, że Raskinowa kiedykolwiek zjawi się między żywymi.

Werandę mego mieszkania zapełniły wieczorem tego samego dnia gromady Żydów.

W kilka lat później znalazłem się w towarzystwie lekarzy. Rozmawialiśmy o specjalnościach każdego z nas. Gdy mnie o moją zapytano, odpowiedziałem - rak.

- A wiecie, kolego - powiedział mi wówczas jeden lekarz - znam wypadek kompletnego uleczenia raka i to przez lekarza wojskowego...

- Gdzież to było? - zapytałem.

- W osadzie Kleńce, guberni czernihowskiej...

- Czy chora nie mieszkała na ulicy Puszkinińskiej i nie nazywała się Raskinowa?

- Tak jest, oczywiście, ale skąd pan o tym wie?

- Tym lekarzem wojskowym, który ją uleczył - byłem ja...

Po wyleczeniu Raskinowej, gdy potwierdziły się praktycznie studiowane z zapalem przeze mnie prace geniuszów medycyny - wiedziałem już z całą pewnością, że nie ma chorób - są tylko chore organizmy.

Wiedziałem też, że nie ma żadnego sensu leczenia poszczególnego organu - w oderwaniu od całości, że leczenie takie nie daje w ogóle skutków. [...] że rak jest chorobą całego organizmu, powstającą wskutek niedostatecznego utlenienia, że komórka rakowa żyje w atmosferze beztlenowej i rozwija się dzięki nagromadzeniu białka zwierzęcego, że rak jest chorobą uleczalną. [...]

Wszystkie te jednak osiągnięcia Hilarego Borchardta nie znalazły uznania w świecie medycznym, który w owych czasach jeszcze bardzo sceptycznie podchodził do niekonwencjonalnych metod leczenia.

Wracając do Karola Olgierda Borchardta - urodził się on 25 marca, według starego stylu, według nowego - 7 kwietnia 1905 roku w Moskwie. Po krótkim pożyciu z mężem Maria Borchardtowa decyduje się na wyjazd z trzynastomiesięcznym synem do Paryża. Tam przebywa pięć lat (1906-1911). Maria podjęła w Paryżu pracę w magazynie mód. Prawie każdy wieczór spędzała w teatrze lub operetce, aby podpatrywać, jakie kreacje mają największe paryskie elegantki, i odrysowywać je, żeby już po paru dniach elegantki o mniej zasobnych kieszeniach mogły nosić kopie wspaniałych sukien. Karol do trzech lat przebywał w domu pod opieką służącej, później był odprowadzany do „frebla”.

W tym miejscu pozwolę sobie na pewną dygresję, nie odbiegającą zbyt od tematu. Otóż bodajże w roku 1980 zwrócili się do Kapitana przedstawiciele księgarzy polskich z prośbą, aby spisał swoje wspomnienia związane z jednym z najstarszych polskich bibliofilów, Aleksandrem Krawczyńskim. W Gdańsku miała powstać księgarnia jego imienia. Kapitan stworzył wówczas szkic opowiadania, które odtwarzam na podstawie zebranych notatek, zatytułowując „Kuzyn Krawczyński”:

Gdy w poszukiwaniu potrzebnych mi książek zaszedłem do jednej z księgarń, poradzono mi, żebym spotkał się w tej sprawie z panem Aleksandrem Krawczyńskim, najstarszym bibliofilem. Spotkanie doszło do skutku w tej samej księgarni. Zjawił się wysoki pan, o pół głowy wyższy ode mnie, barczysty, mówiący zajmująco. Wymieniwszy swoje imię i nazwisko, w rozmowie wspomniiał potem, że podczas pierwszej wojny światowej, jako zmobilizowany do armii austriackiej, dostał się do niewoli rosyjskiej i trafił na Syberię, gdzie stał się właścicielem nie tylko olbrzymich stad bydła, ale nawet wspaniałej autentycznej angielskiej dubeltówki, bez której w parę lat później znalazł się w Paryżu i tam zarabiał na życie prowadząc własną małą księgarnię przy Rue Vignon.

Na dźwięk tej nazwy mimo woli wyrwał mi się okrzyk. Wyjaśniłem, że z tej ulicy wyniosłem pewne wspomnienie i gdy słyszę VIGNON, odczuwam jakby silne ukłucia pod wszystkimi paznokciami obu rąk. To z tego powodu ten okrzyk. Wobec zainteresowania pana Krawczyńskiego wydarzeniem z ulicy Vignon wyjaśniłem - możliwie streszczając swój

pięcioletni pobyt w Paryżu, od pierwszego do szóstego roku życia - że w mieszkaniu przy Rue Vignon, gdy w domu nie było nikogo ze starszych, dwie moje prawie rówieśniczki ćwiczyły się w obcinaniu moich paznokci u rąk. Celowała w tym starsza Jadzia. Po tych Jadziowych ćwiczeniach wszystkie moje palce ociekały krwią i po dziś dzień nikomu nie pozwalam zbliżyć się do siebie z nożyczkami, a na dźwięk Rue Vignon doznaję tak silnego klucia pod paznokciami rąk, że niekiedy nie mogę się powstrzymać od okrzyku, jak właśnie było teraz.

W wyrazie twarzy słuchającego mnie pana Krawczyńskiego pojawiło się tak wielkie zdumienie, że zaskoczony zapytałem:

- Co się panu stało?

- Panie - wyszeptał pan Krawczyński - jak nazwisko tych panienek?

- Rusieckie - odpowiedziałem.

- Panie - zawołał pełnym głosem - Jadzia to moja żona!

- Nic na to nie poradzę - powiedziałem. - Jest pan w takim razie moim kuzynem, bo Jadzia i Janinka, a po nich Żiletka i Mariszetka to moje siostry cioteczne. - I rzuciliśmy się sobie w ramiona. - Nigdy moich kuzynek więcej już nie spotkałem - dorzuciłem - ale były tak ładne, że na spacerze w Tuileries lub Trocadero mijający nas ludzie zatrzymywali się, przyglądając się im z zachwytem.

- Ba, były piękne - potwierdził pan Krawczyński. - Zwłaszcza Janinka. W czasie gdy pobraliśmy się z Jadzią, przyjechał do Paryża dyplomata z Włoch, kolega naszego ambasadora w Paryżu. Przy załatwianiu spraw wynikła konieczność przetłumaczenia z włoskiego na francuski jakiegoś dokumentu. Ambasador powiedział koledze, żeby poszedł do sali w końcu korytarza, ostatnie drzwi na lewo i zwrócił się do panny Rusieckiej, która siedzi z prawej strony od wejścia i która świetnie zna włoski. Dyplomata poszedł, ale gdy wrócił, miał już tego dnia wyłącznie pytania na temat panny Rusieckiej:

„Czy jest zaręczona?”

„Nie wiem, chyba nie. Ale kręci się koło niej sporo młodych ludzi”.

„Czy znasz jej rodzinę, bywasz u nich w domu?”

„Bywam”.

„Pójdziemy do nich dziś wieczorem” - oznajmił ambasadorowi dyplomata z Włoch.

„Dobrze, pójdziemy”.

W domu postawił pannę w sytuacji z jednym tylko wyjściem: za niego za męża.

Pierwsze pytanie postawione Jance brzmiało: „Czy jest pani, zakochana?”

„Nie”.

„Czy ktoś się pani specjalnie podoba?”

„Nie”.

„W takim razie zostanie pani moją żoną, a jeśli pani się w tej chwili nie zdecyduje, to się zastrzelę”.

Janka nie miała innego wyjścia. Byli bardzo szczęśliwi. Podczas wojny znalazła się wraz ze swoją matką w obozie w Ravensbriick. Matka tam zmarła.

Umówiliśmy się z KUZYNEM, że się spotkamy ponownie. Wracając do chronologii zdarzeń: w 1911 roku Maria Borchardtowa decyduje się na powrót do Polski, by -jak mówił Kapitan - syn jej nie stał się Francuzem. Długa podróż koleją z Paryża do Warszawy, a potem do Wilna zrobiła na nim wielkie wrażenie. Na ten temat zanotował:

Najpierw zamieszkaliśmy w domu księdza Bajki, w mieszkani cioci Józi. Nie bardzo mogłem porozumieć się z kimkolwiek, tylko po francusku albo na migi. Ciągle niepokoiłem się, że mamy nie będzie, a ja zostanę sam w obcym domu. Wieczorem, gdy mama położyła mnie spać, zabezpieczyłem się na wypadek, gdybym został sam, kładąc pod poduszkę olbrzymi kapelusz ze strusim piórami. Mama była zdumiona, gdy następnego dnia rano zobaczyła wysunięte spod poduszki strusie pióra. Wytłumaczyłem jej jednak, jaki był powód tego postępu.

Mama szybko znalazła pracę jako nauczycielka francuskiego. Przenieśliśmy się na ulicę Botaniczną, kilka kroków od Ogrodu Bernardyńskiego i usytuowanego w nim Teatru Letniego. Przed wyjściem na lekcje mama chowała zapalki i nożyczki, a mnie zamykała na klucz.

Mama przywykła w Paryżu prawie co dzień być w operze lub w teatrze. Teraz też kupiła abonament do operetki w Teatrze Letnim. Po obiedzie, wychodząc na lekcje, kładła mnie spać, a wróciwszy, zabierała na operetkę. Siedząc u mamy na kolanach chłonałem niezliczone melodie i postaci wesołych wdówek, baronów cygańskich i leśniczanek. Chodziliśmy co dzień, znałem na pamięć wszystkie melodie.

Na pierwsze wakacje Karol zostaje odwiedzony do swojej ciotecznej babki, Michaliny Łukaszewiczowej, obecnie seniorki rodu. Dla atmosfery, w jakiej przebywał w Bykowce, używał słowa, którym określano olbrzymi las, nie tknięty toporem - matecznik. W prawdziwym mateczniku rosły nigdzie już nie spotykane storczyki i wspaniałe drzewa. Babka

nie pozwalala na wycięcie choćby jednego, twierdząc, że każde z nich może posłużyć jako tarcza dla powstańca.

- Gdy już nauczyłem się mówić, a potem czytać po polsku, nazwę majątku Bykówka zmieniłem na Soplicowo. Największym kultem u babki cieszyli się szwoleżerowie, a Jacek Soplica, jako szwoleżer, szczególnie zasłużył na pamięć. Jedno miejsce w brzeźniaku mogło uchodzić za mogiłę. W mojej wyobraźni był to grób Jacka Soplicy.

Ten sam okres w swoim pamiętniku wspomina Jadwiga Łukaszewiczówna:

Po skończeniu szkoły z żalem rzucałam stare Wilno. Najpiękniejsze dni młodości wiążą się z tym kochanym miastem. Na każde wakacje wracaliśmy do Bykówki, a razem z nami Karol B., bo Marynia pracowała, a dziecku potrzebne było słońce i powietrze. Rósł z nami, uważaliśmy go jako młodszego braciszka. Miał śliczne oczy i piękne loki, które mu ścięto, jak podrósł, a których szczerze żałowałam. Nasza matka bardzo ga kochała. Kazała mu pić świeże mleko, dużo jeść, aby się na wsi poprawił. I on to słysząc, uważał na siebie, badając, czy przybywa mu na wadze. Mówi pewnego razu, siedząc nad dużym kubkiem mleka i pajdą razowca z masłem: - Jadziu, spróbuj, moje czoło już bardzo potłuściło. I trzyma w palcach skórę na czole z poważną miną.

Gdy go ząb zabolął, mama nalala trochę wódki do kieliszka, podała mu i mówi: - Potrzyj na ząbku, to cię przestanie boleć. - A sama wyszła. On cierpliwie przyłożył buzię do kieliszka i trzyma, ale mu się znudziło. Jak mama weszła, prędko wstaje i mówi: -Już mnie ząb nie boli. - Babunia dopytuje, jak trzymał, a on mówi: - Przyłożyłem buzię do kieliszka, jak babunia kazała.

Majątek Bykówka leżał przy oszmiańskim trakcie, wysadzonym starymi brzożami - jakże częsty widok na Wileńszczyźnie. Był to szlak wiodący z Wilna na Mińsk i dalej ku Moskwie, szlak Napoleona i innych wypraw wojennych, a przy tym handlowy. Ciągnęły tędy na podboje zbrojne oddziały i wracały - czasem jako zwycięzcy, niekiedy jako rozbitki. Jedni i drudzy tak samo zmęczeni i głodni, rabujący po drodze co się da. Miała Bykówka tych gości niemało. W czasie pokoju bliskie położenie przy wielkim trakcie było rzeczą dogodną, lecz podczas wojny przywilej ten stawał się nader uciążliwy, a nawet tragiczny. Leżąca nie opodal wieś Kurhany miała prawdziwe kurhany - mogiły poległych - pozostałość po przejściu wojsk napoleońskich. W latach 1911-1912 archeolodzy robili poszukiwania w tych kopcach.

Wszystko to wywarło ogromny wpływ na małego Karola. Była to prawdziwie żywa lekcja historii.

I znów wróć do wspomnień Jadwigi Łukaszewiczówny:

Żywa była pamięć wielkiego wodza i jego walecznych rycerz w tych rodzinach, które oddały swych synów na służbę wielkiego cesarza. Tak było w rodzinie Raczkiewiczów, gdzie któryś z dziadów czy stryjów odbył sławną kampanię i pamięć jego czczono, a pamiątki po nim przechowywano pieczołowicie. Staroświecki, ciężki kuferek ciotki Amelii Raczkiewiczowej [babki Karola — E.O.] po jej śmierci trafił do nas na przechowanie i tam między poduszkami i bielizną pościelową znalazł się mundur i kapelusz woja napoleońskiego. Dwa razy w roku, wczesną wiosną i jesienią przewietrzano i suszono kufry. Gdy było słonecznie i pogodnie, wyciągano wszystko z kufrów naszych i Raczkiewiczów, rozwieszano na płotach i sznurach. Dzień taki dla nas, dzieci był pełen niespodzianek, tajemniczych wydarzeń i zabaw... Skradaliśmy się cichaczem, aby matka zajęta w kuchni koło obiadu niczego nie zauważyła, i w przyjemnym podnieceniu wkładaliśmy na siebie mundur. Był ciepły, wygrzany słońcem, pachnący nieco stęchlizną i naftaliną. Ponieważ byłam najstarsza i najwyższa, więc mnie przypadł zaszczyt przyodziania się w ten mundur historyczny. Psy zoczywszy nieznaną figurę w podwórzu podnosiły niesamowity hałas, który powodował pojawienie się matki na ganku, a ona widząc nasze figle, rozkazywała stanowczym głosem natychmiastowe zaprzestanie zabawy, zdjęcie szacownego munduru, udzielając przy tym odpowiedniej nagany...

Po pewnym czasie kufer z pamiątkami i wyprawnymi poduszkami Maryni powędrował do właściciela, wuja Raczkiewicza, który miał pewnie i inne pamiątki. Pamiętam, gdy mieszkał na Bonifraterskiej w domu Wojewódkich, miał u siebie kilka obrazów olejnych, poczerniałych ze starości, były to portrety rodzinne, a na jednym ukazywał mi woja w takimże mundurze, tłumacząc, że był to właśnie ten, co nosił mundur przechowywany u nas. Ale ponieważ za młodu najczęściej lekceważy się takie sprawy, nie zapamiętałam ani imienia, ani stopnia pokrewieństwa, ani też rangi owego rycerza.

Z wielkim sentymentem wspominał Kapitan babunie Michasie i swoje dziecięce lata spędzone w Bykowce:

- Był tam dom staroświecki o dziesięciu pokojach, z gankiem z dwoma bielonymi

kolumnami. Stał frontem ku zachodniej stronie, poza sobą miał od wschodu duży sad ze wspinałymi gatunkami owoców, zacisznymi altankami, klombami kwiatów i niezmiernie smutną aleją jodłową. Ciągnęła się ona przez całą długość ogrodu aż do wjazdowej bramy. Jodły podchodziły aż pod same okna bawialnego pokoju. Nawet w słoneczne dni lata było w niej mroczno, a cóż mówić jesienią, gdy czarne jodły stały jedna za drugą, jak smutne płaczki na pogrzebie. Aleja druga, z brzoź, wesola i jasna, kończyła się kępą leszczyn, kolisto rozsiadłych, kryjących ławeczki i stolik.

Czasami sięgał w swych wspomnieniach dalej, do rodu Litawor-Aramowiczów, z których wywodziła się zarówno babunia Michasia, jak i jej siostra, nieżyjąca i nie znana Karolowi jego rodzona babka Amelia:

- Bardzo lubiłem jeździć w rodzinne strony mojej babki. Piękny trakt oszmiański, po drodze spotykało się wiele przepięknych dworów i dworków nad brzegami Berezyny, ruiny zamku, jeśli jechało się na Krewo, lub stare kościoły i klasztory, gdy droga wiodła przez Boruny.

Zachwycający był dla mnie środek lokomocji - stara wygodna bryczka parokonna, z zapasami obroku i siana dla koni, a także obfitym prowiantem dla podróżnych. Zdawało się, że jedziemy na koniec świata. Nieraz z noclegiem w Oszmianie, a wyjazdem z niej o świcie, aby o zmierzchu stanąć na miejscu. Drogi piaszczyste, jechaliśmy wolno, by koni nie przemęczyć. Koła po osie grzęzły w piachu. Te siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów wymagało doby jazdy, by tę odległość przemierzyć stępa. Jeżeli jechaliśmy przez Krewo, gdzie widoczne były ruiny zamku, mijaliśmy Bohdanów Ruszcyców. Rodzina moja często wspominała, że Ferdynand Ruszczyk, będąc jeszcze stanu wolnego, częstym gościem był w Żurawach, czego powodem była Marynia. Sama moja matka żywo jednak temu zaprzeczała.

Wreszcie o zmierzchu, czasami o zachodzie zajeżdżaliśmy przed ganek staropolskiego dworu w Różysławiu. Dwór był drewniany, modrzewiowy, podmurowany, z podjazdem. Pokoje duże, przestrzenne. Babunia Michasia opowiadała, że za życia jej ojca, Ignacego Aramowicza, dwór był znacznie zasobniejszy niż w czasie, gdy ja tam przyjeżdżałem. Mieli kucharza, który do pomocy oprócz kuchcików miał oswojonego niedźwiedzia. Rodzice mojej babki mieli siedmioro dzieci: cztery córki i trzech synów. Najstarszy z synów - Urban - pracował na kolei, długi czas przebywał w Rosji w Farmie, gdzie miał dobrą posadę i dopiero gdy przeszedł na emeryturę, wrócił do Różysławia. Dwóch młodszych braci: Erazm i Jan całe życie spędzili w Różysławiu. Jan - cichy i spokojny - zapoznany, przewegetował swój żywot w czterech ścianach kawalerskiego pokoju i podczas wojny zmarł prawie z głodu. Erazm,

gwałtowny, niespokojnego charakteru, zarządzał majątkami po śmierci ojca (mieli jeszcze Moszki blisko Różysławia), ale nie był tęgim gospodarzem i majątek znacznie podupadł.

Najstarsza z dzieci, Aniela, jeszcze za dobrych czasów przed powstaniem, wyszła za mąż w sąsiedztwie za Joachima Niekraszewicza, do dworu Siedliszcze. Był tam dobrobyt i dostatek. Joachim był wzorem gospodarza. Druga z kolei córka - Jadwiga - wyszła za Wyszyńskiego. Zmarła młodo z suchot, mąż także na gruźlicę, zostawili dwóch synków - trzyletniego Stanisława i Wacława liczącego zaledwie trzy miesiące.

Trzecia, właśnie moja babka, wyszła za mąż za Leokadiusza Raczkiewicza z Żuraw. W szczególny sposób, choć na owe czasy może i typowy, doszło do tego zamążpójścia. Otóż Leokadiusz Raczkiewicz odwiedził kiedyś dwór w Różysławiu. Prababka moja zapytała go, czemuż to nie zeni się mimo bardzo dojrzałego wieku. Okazało się, że nie znalazł do tej pory odpowiedniej kandydatki na żonę. Prababka zaprowadziła go wówczas do salonu i wskazując ręką na siedzące tam trzy panny zapytała, którą z nich wybiera. Amelia siedziała przy fortepianie i tę dziad mój wybrał. Miała czternaście lat, gdy odbyła się ta rozmowa i ona dała słowo. Dziad mój przyrzekł wrócić za dwa lata. Po upływie tego terminu, będąc człowiekiem szlachetnym, proponował jej, że jeśli ona uważa to małżeństwo za nieodpowiednie, on się usunie i zwalnia ją z przyrzeczenia, ale dziewczę było stanowcze i chociaż mdlała i płakała idąc do ślubu, nie cofnęła się. Ona miała szesnaście lat, on czterdzieści. Zmarła młodo, zostawiając troje dzieci: Olgierda, Marię i Mieczysława. Nazwa majątku od róż wzięła miano. Podobno kiedyś było tu różane królestwo. Piękne krzaki wysokopienne i wijące się po ścianach. Widać dawni dziedzice zaczęli od hodowli róż i taką nazwę dali swej sadybie.

Najmłodsza córka Litawor-Aramowiczów, babunia Michasia, wyszła za mąż za Antoniego Łukaszewicza z Bykówki. Miała z nim troje dzieci: Jadwigę, z której wspomnień korzystam, Kazie i Ignacego.

Beztroski okres w życiu Karola został brutalnie przerwany. Pierwsza wojna światowa. Nie było skrawka ziemi, gdzie by nie dotarła wieść o wojnie. Do Bykówki, podobnie jak na całą Wileńszczyznę, dotarł nie tylko głód, ale i wojska niemieckie. Nastąpiły lata, gdy od każdej kury i każdej krowy należało przynieść na miejsce odbioru wyznaczony kontyngent jajek i mleka. „Germańcy” byli wszechwiedzący. Wiadomo im było doskonale, ile w każdej zagrodzie przed rozpoczęciem wojny było kur i gęsi, kaczek, krów i koni. Ta ich wszechwiedza miała podobno swe źródło w skrzętnej pracy wielkiej liczby kataryniarzy, wędrujących po tych ziemiach przed wybuchem wojny. Grając na katarynkach, rozdając wyciągane przez towarzyszące im małpki wróżby na przyszłość, spisywali jednocześnie inwentarz każdego gospodarstwa i rysowali mapy dla sztabu generalnego. W związku z tą

akcją miało powstać powiedzenie: „*Samyj chitryj etot Giermaniec, on dażę abieżjanu wydu mał*”.

W Bykowce pozostał jeden konik, jedna krowa, od której codziennie należało odstawić do wyznaczonego punktu trzy litry mleka. Troska o uprawę roli spadła na głowę wuja Ignacego, starszego od Karola o sześć lat.

Mały Karol spędzał kolejne wakacje w Bykowce. W notatkach wspominał:

O świtaniu ładowaliśmy pług na drabinę i jechaliśmy w pole orać. Już wcześniej chciałem zostać oraczem. Pragnienie to zrodziło się we mnie podczas zabaw z młodszym ode mnie o dwa lata Bronisem, wiejskim chłopcem, którego nie udało mi się nauczyć po francusku, natomiast on bardzo szybko nauczył mnie i swojej gwary dziecięcej o dużej zawartości białorusycyzmów. Kiedyś znalazłem się z Bronisem w polu, na którym orano wołami. Broniś szybko wdrapał się na grzbiet jednego z nich. Zdawało mi się, że woły są zachwycone jego obecnością. Ja, paryżanin, poczułem się wobec Bronisia niczym. Włokąc się za tą parą zadowolonych wołów, postanowiłem dokonać czegoś, żeby choć w części dorównać Bronisiowi. Podczas postoju zwierzyłem się częściowo na migi, częściowo w mowie francuskiej oraczowi ze swego zamiaru. Zrozumiał, uśmiechnął się i ułożył mi odpowiednio dłonie na rączkach sochy, a potem pogonił woły. Ostrze sochy, nie utrzymane na odpowiednim poziomie, natychmiast zaryło głęboko w ziemię, a woły stanęły. Następną próba z podnoszeniem sochy do góry spowodowała przechylenie się jej i wyjście ostrza z bruzdy. Przygnębiony, zrezygnowany i obolały poniesioną porażką oddałem rączki sochy oraczowi.

Pan Bronisław odwiedził Kapitana w latach sześćdziesiątych. Padli sobie wówczas w ramiona, z rozrzewnieniem wspominając „zabawy, spory w one lata”.

W 1915 roku wojska rosyjskie opuszczają Wilno. Miasto zostaje pozbawione jakiegokolwiek władzy i ochrony. Ojczym Karola, Witold Mintowt Czyż, działacz PPS, organizuje milicję obywatelską, głównie z PPS-owców, by zapewnić porządek w mieście. Wyjeżdża konno na spotkanie mającym wkroczyć do Wilna wojskom niemieckim i aby uniknąć nieporozumienia, uprzedza je o istnieniu obywatelskiej służby porządkowej. Pierwsi nadeszli „huzarzy śmierci”. W mieście na każdym rogu ulicy stał milicjant z biało-czerwoną opaską na ramieniu i odbitą na niej pieczętką komitetu ochrony miasta. Milicjanci uzbrojeni

byli w krótkie palki, obciążone ołowiem, na rzemiennych pętłach. Każdy miał gwizdek i byli tak ustawieni, że zawsze trzech z nich widziało się wzajemnie. Niemcom organizacja ta zaimponowała, zatrzymali cały skład milicji, a Witolda Czyża, występującego pod pseudonimem Jan Jeleński, mianowali inspektorem.

Wkrótce dom Karola zaczął żyć sprawami spisu ludności, organizowanego przez Niemców. Wyniki tego spisu miały być pomocne w proklamowaniu państwa litewskiego pod protektoratem niemieckim. W tym celu Niemcy rozpoczęli akcję propagandy separatystycznej, faworyzując tych, którzy podawali się za Litwinów. Wywołało to kontrakcję ze strony Polaków.

Zarządzony przez Niemców spis miał się odbyć w komisariatach milicji, w których urzędnikami byli znajomi domu Karola, a w jednym z nich pracowała jego matka. Ona też opracowała i wydała książeczkę „Czy wiesz, kim jesteś?” Pieczęcie we wszystkich komisariatach posłużyły jako skrytki na przechowywanie tej książeczki, a otrzymywali ją wszyscy, którzy stawili się w oznaczonym dniu do spisu.

Sprawa wkrótce wyszła na jaw. Matka i ojczym zostali aresztowani i osadzeni w wileńskim więzieniu na Łukiszkach - 19 czerwca 1916 roku.

- Żandarmeria niemiecka przyprowadziła matkę z komisariatu do domu. Ojczyma zabrali wcześniej bezpośrednio z komisariatu do więzienia. Zrewidowali szczegółowo mieszkanie. Odprowadziłem matkę aż do bramy więziennej. Gdy zatrzaśnięto przede mną bramę, tak długo tłukłem w nią, aż wyszedł żandarm, złapał mnie za kołnierz i kopniakiem wyrzucił na środek ulicy. Zostałem sam, bez opieki, bez środków do życia, ale z tysiącem Konradów Wallenrodów w myślach.

Ojczyma wywieziono do obozu w Niemczech. Po wielu latach, w 1968 roku, przeczytał Kapitan w „Mówią kamienie Wilna”, tytule wydanym przez Książkę i Wiedzę autorstwa Jonasa Karosasa, że jego ojczym „wysługiwał się Niemcom”.

W mieszkaniu zamieszkał niemiecki agent o nazwisku Matysiak. Znajomi i krewni bali się jakiegokolwiek styczności z chłopcem. Została z nim tylko służąca, pomimo że wiedziała, iż nie otrzyma żadnej zapłaty, i pies seter.

Skończyły się zajęcia w szkole, a tym samym skończyło się skromne dożywianie, jakie organizował komitet rodzicielski, w postaci kromki chleba i cienkiej zupki. Chłopcu groziła śmierć głodowa, był to bowiem okres wielkiego głodu w Wilnie. Jadwiga Łukaszewiczówna pisze pod datą 10 listopada 1916 roku: „Byłam w Wilnie, o jakże tam smutno, ludzie głodni, aż mnie wstyd i niepokój mam w sumieniu, że na wsi mam jeszcze znośne wyżywienie”.

W tej sytuacji, zdawałoby się bez wyjścia, zjawił się brat-„Indianin”, Unkas-Antoś, rówieśnik. Przyniósł w podarunku bardzo ładny sztylet korsykański, w okutej srebrem pochwie, z pięknie inkrustowaną rękojeścią i wygrawerowanym na klindze napisem: VENDETTA. Obiecał pomoc. „Wiem o wszystkim, co ciebie spotkało - rzekł. - Nie mam Indian, ale mam oddział z pięćdziesięciu ludzi. Odbieramy Niemcom to, co oni nakradli, a nam jest niezbędne do życia. Nie bój się, jestem przy tobie. Howgh!”

- Miałem zawsze soczewicę, czarny groch, czasami fasolę na obiad. By zdobyć tłuszcz, zabieraliśmy z mego domu jakieś palto czy ubranie i przedostając się z miasta strzeżonego przez Niemców nam tylko znajomymi przejściami, na wsi otrzymywaliśmy niewielkie ilości słoniny. Najniebezpieczniejszy był powrót. By nie stracić zdobytej żywności, należało wracać po godzinie policyjnej, opłotkami i przez zaplecza domów.

Jesienią znów zaczął chodzić do szkoły, a po roku wróciła matka. Syn stał się bardzo samodzielny, rok samotnego bytowania w tak ekstremalnych warunkach zmienił charakter chłopca.

- Następne klasy przerabiałem bez entuzjazmu. Nauczyciele, którzy pochopnie stawiali dwójki, wydawali mi się głupcami. Po tych wszystkich przeżyciach, jakich doznałem, lekceważyłem „blade twarze”. Jakże bezsensowne było ukaranie mnie przez jednego z nauczycieli pozostawieniem po lekcjach za to, że według niego za szybko biegłem po korytarzu, na którym ON pełnił dyżur. Miałem ochotę skalpować tę „bladą twarz”. Była to moja pierwsza kara w życiu. To wszystko prowadziło, że zamiast do szkoły, uciekałem do lasu, znacznie więcej korzystając z bezpośrednich obserwacji przyrody niż podczas lekcji, kiedy to nauczycielka jednego dnia mówiła o wróbelku, a następnego o lokomotywie. Więcej radości i wiedzy dawało mi obserwowanie wiewiórki w lesie, ptaków i motyli.

17 maja 1918 roku uciekł z domu do wojska Dowbor-Muśnickiego, ale...

- Zostałem zdradzony przez kolegę i oficer niemiecki, który mieszkał w naszym domu, na prośbę matki zarządził pościg. W lasach, w Rukojnach, około piętnastu kilometrów od Wilna Niemcy mnie złapali. Mój powrót do szkoły był podobnie triumfalny jak cesarów rzymskich.

Matka nie miała pretensji do syna o tę ucieczkę, przecież mimo zaledwie trzynastu lat chciał walczyć za wolną ojczyznę. Ze szkoły jednak musiał odejść. W sumie trzykrotnie zmieniał gimnazjum z powodu swego niespokojnego charakteru. Wuj Mieczysław Raczkiewicz tak to podsumował: „Gdyby cię więcej w skórę prali, nie byłoby z tobą tyle kłopotów”.

Wkrótce jednak zaczął pracować nad sobą.

Rozdział IV. Kapitan własnej duszy

Nadszedł kwiecień 1919 roku, a wraz z nim wyzwolenie Wilna. „Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu” - wspominał ten okres Kapitan. Wkrótce, w roku 1920, znowu Wilno znalazło się wobec wielkiego zagrożenia. Piętnastoletni Karol zgłosił się na ochotnika do szóstego pułku piechoty i walczył w obronie miasta z bolszewikami. Przeżył cały odwrót polskiej armii, w czasie którego zachorował na dyzenterię i w ciężkim stanie znalazł się w warszawskim szpitalu tuż przed bitwą 15 sierpnia.

Po tych przejściach wrócił na ławę szkolną. Był wciąż niesfornym chłopcem, przysparzającym matce wielu kłopotów. I oto jeden człowiek jednym zdaniem wpływa na zasadniczą zmianę jego postępowania. Karol jest wówczas uczniem Gimnazjum Koedukacyjnego im. Adama Mickiewicza. Początkowo były to kursy dla przerośniętych z powodu wojny różnych uczniów. Wtedy też im niższa była klasa, tym starsi uczniowie, niekiedy z doświadczeniem wojennym, nierzadko odznaczeni orderami.

- Stałem na korytarzu z grupą kolegów i bawiłem się wraz z nimi, wydając nieartykułowane dźwięki za przechodzącymi osobami. Jedną z nich był nauczyciel matematyki, Edward Biegański. Stanął, popatrzył na mnie i powiedział: „Dziwię się, że pan także bierze udział w tej zabawie”. Słowa te mnie poraziły. Jeżeli profesor Biegański stawia mnie wyżej od innych, to znaczy, że nie jest ze mną tak źle. To natychmiast spowodowało zmianę mego kursu.

Zaczął pracować nad swoim charakterem. Poznał prawie całą literaturę rosyjską i francuską, nie znajdując w nich wzorca do naśladowania. - Nie doznawałem najmniejszego zainteresowania losami ludzi ulegających bezmyślnie każdej swojej zachciance. Zabawy w ognisku harcerskim i tańce nie wchodziły w grę. Odstraszała sama myśl, że mam podskakiwać w takt muzyki, i to razem z dziewczynką. Z biegiem lat zyskałem sławę wroga kobiet. Wolałem też samotność od kolegów. Wolałem myśleć i robić, co sam chcę, nie zaś, co narzuca mi koledzy, według mnie marnujący jedynie czas.

Zaczął uprawiać wszelkie możliwe rodzaje gimnastyki, akrobatykę, a nawet kąpiel zimową w przerębli w rzece Wilii. Zrodziła się wówczas bezsensowna chęć występowania w cyrku. Zrezygnował z realizacji tego pomysłu na prośbę matki, by odłożył swoje zamiary do czasu zdania matury.

Doskonale wysportowany, zahartowany, wzbudzał podziw swą charakterystyczną sylwetką, kiedy wędrował ulicami Wilna bez czapki i rękawiczek, często bez szalika, z wyłożonym à la Słowacki kołnierzykiem.

- Codziennie idąc do szkoły spotykałem w tym samym miejscu dwie małe Żydóweczki, które zadzierając głowę do góry zadawały mi niezmiennie to samo pytanie: „Czy me jest panu zimno tak wysoko w górze? Czy nie jest panu smutno tak wysoko samemu tam w górze?”

Aż wreszcie ojczym, sprawujący wówczas urząd wiceprezydenta Wilna, oświadczył któregoś dnia kategorycznie: „Dosyć tego, nie możesz mnie narażać na posądzenia, że oszczędzam na ubraniu swego pasierba. Idziemy do sklepu!”

„Dobrze - odpowiedział Karol - tylko gdy już się ubiorę, przejdiesz się ze mną ulicą i posłuchasz, co wtedy będą mówili”.

Poszli zrobić zakupy, a gdy już ubrany ciepło Karol wracał z ojczymem, usłyszeli: „Popatrz, wariat nareszcie zmarzył i ubrał się jak człowiek”.

Bez obcych wpływów w wieku szesnastu lat doszedł wreszcie do przekonania, że ON to jedno, a jego ciało to co innego.

- Moje ciało jest tylko moim mieszkaniem, bo... ja chcę się uczyć francuskiego, a moje ciało w tym czasie chce kąpać się w rzece. Musiałem opanować swoje ciało. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że jakiś gruczoł miałby mną rządzić, abym to ja sam nie mógł decydować o swoim postępowaniu.

Wielki przełom w życiu Karok nastąpił w roku 1922, kiedy to natrafił na dwie książki: „Hatha Yoga” autorstwa joga Rama Czaraki i „Na ścieżkach jogów” Paula Bruntona.

- Zrozumiałem cały bezsens swych dotychczasowych poczynań. Rozpocząłem pracę nad sobą według filozofii jogi, pozbyłem się wszelkich ambicji, z nikim nie chciałem konkurować, nikomu nie chciałem dorównać ani przegonić swymi sukcesami. Pracowałem jedynie nad doskonaleniem samego siebie. Z nauki jogi przyswoiłem jedną z najważniejszych maksym życiowych: „Ci, którzy nie wykonują dobrowolnie przyjętych obowiązków jak mogą najlepiej, to znaczy na ile ich stać fizycznie i duchowo - niszczą sami siebie”. W tym upatruje, nazwijmy to, swoje sukcesy życiowe.

W tym czasie zaprzyjaźnił się z nowym kolegą gimnazjalnym, Józefem Reuttem, późniejszym profesorem Uniwersytetu Lubelskiego. - Wymyśliliśmy nie nazwę, bo przed nami znali ją już Anglicy, tylko system, w jaki sposób zostać KAPITANEM WŁASNEJ DUSZY, to znaczy jak zapanować nad sobą samym, abym to ja decydował o sobie i swoim

postępowaniu, a nie moje ciało. Gdy już postanowię, że mam się uczyć matematyki czy francuskiego, moje ciało nie będzie decydowało, że lepiej byłoby wykąpać się w rzece czy spędzić czas z kolegami.

Na czym polegał ten system? Należało wieczorem napisać bardzo dokładny rozkład dnia następnego, przewidzieć wszelkie możliwe pokusy do opanowania i następnie bardzo dokładnie zrealizować. Nie znaczy to wcale, że nie mogły znaleźć się w planie przyjemności i rozrywki. Po dwóch latach nieprzerwanej realizacji programu można nazwać się „kapitanem własnej duszy”. W wypadku jakiegokolwiek załamania należy cały program powtórzyć od początku przez dwa lata.

Walka o czas stała się dla Karola najważniejsza. Jak najszybciej nauczyć się słówek, najszybciej rozwiązać zadanie. Czasu było ciągle mało.

Pomimo że był jednym z młodszych uczniów, został wybrany prezesem Bratniej Pomocy. Pieniądze na wyżywienie i pomoc materialną dla kolegów zdobywał poprzez zakup i sprzedaż różnych artykułów, wykorzystując różnice cen, urządzenie bali połączonych z loterią. Gdy organizował pierwszą loterię, uzyskał zgodę dyrektora gimnazjum, Bronisława Zapaśnika, pod warunkiem że wszystkie losy będą wygrane. Dostosował się do tego polecenia, sam jednak nie wygrał żadnej nagrody, jego bilet przez pomyłkę nie otrzymał numeru.

Po pisemnych egzaminach maturalnych obaj z Reuttem zostali zwolnieni z egzaminów ustnych.

- Gdy usłyszeliśmy tę nowinę, zrobiło się nam bardzo żal, że skończyło się w naszym życiu coś bardzo pięknego.

Tytuł „kapitana własnej duszy” zawdzięczał Kapitan wielkiej, systematycznej pracy nad sobą, lecz także mądrej opiece i wychowaniu swojej matki. Przeglądając i porządkując już po śmierci Kapitana jego notatki, na jednej z kartek znalazłam zapisane jego ręką słowa:

Mamo moja kochana

Dziś piękność Twą

W całej ozdobie

Widzę i opisuję,

Bo tęsknię po Tobie.

Za co Ci jestem szczególnie wdzięczny? Za to, że w swoim życiorysie mogę napisać: Nigdy nie karany, od najmłodszych lat.

I rzeczywiście, nie słyszał nawet podniesionego głosu swojej matki. Podobny styl, samoistnie czy też podporządkowując się woli żony, przyjął ojczym Witold Czyż.

- Gdy inne dzieci kłóciły się, nie rozumiałem tego i usuwałem się od nich. Nie rozumiałem, dlaczego dzieci boją się własnych rodziców. W mej wyobraźni nie istniało nieposłuszeństwo, pomimo że byłem „Indianinem”.

Przez parę lat po powrocie z Paryża matka Karola zarabiała na życie lekcjami francuskiego. - Wychodząc z domu zamykała mnie samego w pokoju. Skutki tych samotnych zabaw odbiły się na całym moim życiu. Najlepiej czułem się w swoim własnym towarzystwie, układając ze szpilek do włosów szyny kolejowe, a z pudełek od zapalek wagony. - Był to efekt wielkiego wrażenia, jakie wywarła długa podróż z Paryża do Warszawy.

Największe osiągnięcie w życiu wiązało się w ocenie Kapitana z wydarzeniem z czasów dzieciństwa, jeszcze w Paryżu, gdzie jako trzy i półlatek zaczął chodzić do „frebla”, ówczesnego przedszkola. Tam w piątki gotowano zupę z chleba, którego dzieci nie zjadły w ciągu tygodnia. On tej zupy nie cierpiał. - Robiłem wszystko, aby w piątek nie iść do frebla, chowałem się pod fotele, za portiery.

Fochy, łyżki nad zupą dawały niepożądany przykład innym dzieciom. W rezultacie *madame* przekazała przez służącą, że chce porozmawiać z matką na ten temat. Po drodze do „frebla” w piątek matka tłumaczyła synowi, że jest Polakiem, a Polacy zawsze byli bohaterami. Inne dzieci jedzą zupę i on musi ją jeść. Przyrzekł matce, że zje zupę i słowa dotrzymał. I właśnie tego dnia nastąpiło owo decydujące wydarzenie. Przed odejściem do domu *madame* ustawiła dzieci w szeregu i w obecności *mademoiselle* oraz kucharki nadała małemu Karolowi odznaczenie Legii Honorowej *Au mérite* (Zasłużonemu). Nadawano je dzieciom we Francji do pierwszej wojny światowej.

Pod koniec swego życia zupełnie poważnie Kapitan prosił mnie, bym przyszyła mu do munduru baretkę tego odznaczenia, ale nie zdążyłam. Zawsze miałam kłopoty z igłą.

- Ciekaw jestem, jakie wrażenie wywarłaby na ludziach ta baretka - mówił.

Takie samo odznaczenie przesłała Kapitanowi (jego własne oryginalne zaginęło) w latach siedemdziesiątych z Paryża pani Joanna Baranowska, z którą do czasu swojej śmierci prowadził serdeczną korespondencję.

Później, pod wpływem lektur, stał się „Indianinem” i chciał koniecznie lecieć do swoich „czerwonych braci”, by nieść im pomoc, rojąc o budowie balonu i podróży nim.

W trzydzieści pięć lat później, pływając przez dwa lata (1947-1949) na angielskim statku „Sheridan”, poznał życie i kulturę Indian oraz wspaniałą przyrodę dorzecza Amazonki. Było wtedy, jak określał, „ekstraordynario i fantastico”. Posiadał z tego okresu sporo wykonanych przez siebie zdjęć, a także zakupionych od seniora Silvina Saulisa, fotografa ekspedycji Theodora Roosevelta z lat 1913-1914.

Podróż do Nowego Jorku odbył z Londynu samolotem pasażerskim „Speedbird”. Była to pierwsza i ostatnia podróż Kapitana samolotem. W rozmowie telefonicznej agent poinformował, że wyleci z Londynu dzień później, niż to faktycznie miało miejsce. Gdy się bowiem zgłosił w biurze agenta po odbiór biletu, dowiedział się, że musi lecieć tego samego dnia, gdyż statek już czeka na oficera nawigacyjnego. Kapitan sam tak opisał tę podróż:

Z Londynu wyleciałem samolotem typu Constellation o godzinie 16. Przed odlotem zaszczepiono mi wszelkie możliwe choroby tropikalne, ponieważ motorowiec, na którym miałem pływać, obsługiwał porty Amazonki od Belèm do Iquitos. Po zmianie samolotu w Szkocji w nocy znalazłem się nad Atlantykiem. Dziecinne marzenia ożyły tak silnie, że ośmieliłem się przez stewardesę poprosić kapitana samolotu, by mi pozwolił zaznajomić się z prowadzeniem nawigacji w samolocie. Dodałem przy tym, że jestem z zawodu nawigatorem. Kapitan Bryn natychmiast zaprosił mnie do kabiny nawigacyjnej. Na widok tarcz ze wskaźnikami, niezliczonej liczby przyrządów przypomniałem sobie, jaki to prymitywny przyrząd nawigacyjny planowałem zabrać w swoją niespełnioną podróż.

Po zapoznaniu mnie z prowadzeniem nawigacji na tego typu samolocie kapitan Bryn okazał się wspaniałym gospodarzem i najwdzięczniejszym słuchaczem. Przy filiżance kawy, przekonany że nie zabieram mu czasu, usiłowałem wytłumaczyć moje narzucenie się i opowiedziałem dokładnie, co mnie do tego skłoniło. Podczas rozmowy początkowo nie mogłem odgadnąć, czy jest więcej ubawiony, czy zachwycony moją niedoszlą podróżą. Interesował go każdy szczegół projektowanej budowy mego powietrznego statku. Nie mógł się nadziwić, że coś podobnego mogło przyjść do głowy tak małemu chłopcu. Powiedziałem, że nie uważałem tego nigdy za coś nadzwyczajnego i nikomu o tym nie opowiadałem, sądząc, że nikogo tak bardzo dziecinne sprawy nie interesują. Z wielką serdecznością spytał, czy może mnie nazywać starszym kolegą w zawodzie lotniczym.

Nie zauważyliśmy, jak minęła noc. Na pożegnanie uroczo mnie przeprosił, że nie może, niestety, wylądować tam, gdzie sobie przed trzydziestu pięciu laty jako kapitan balonu zaplanowałem. A więc nie w Quebec, lecz na przylądku Race. Był Nowozelandczykiem.

Podczas wojny latał na bombowcach dalekiego zasięgu. Przez cały czas mej służby na motorowcu „Sheridan” korespondowałem z nim jako z bardzo bliską i pokrewną mi duszą. Po moim powrocie do kraju korespondencja się urwała, z wiadomych przyczyn.

Zanim wypłynął w morze, dotarła do niego wiadomość, że samolot, którym pierwotnie miał lecieć z Anglii do Ameryki, uległ katastrofie nad Atlantykiem. Wszyscy pasażerowie i członkowie załogi zginęli. Uznał ten wypadek za kolejne swoje cudowne ocalenie. Odtąd nigdy już nie wsiadł do samolotu.

Nie pamiętam dokładnie, ale być może jedno z tych wydarzeń miało miejsce w Mykenach, gdzie podczas samotnej wędrówki oglądał bramę lwów, zastanawiając się, czy ten sam widok roztaczał się przed tysiącami lat i czy to samo, co on w tej chwili, widziała piękna przyczyna wojny trojańskiej. I oto za bramą, u podnóża zamku ujrzał wieśniaka. Ubiorem nie różnił się zbyt od tych, których mogła widzieć Helena. Okopywał motyką cebulę na wysuszonym słońcem poletku. Widok ten sam i czynność ta sama, wykonywana w identyczny sposób, co przed wiekami. Tylko czy myśli i uczucia niewolnika pozbawionego wszelkich praw i współczesnego chłopca greckiego mogły być takie same? Zadumał się Karol nad minioną epoką, nad przemianami i jednoczesną kontynuacją, a gdy wreszcie wrócił do współczesności, okazało się, że musi się bardzo śpieszyć, by zdążyć na autobus. W drodze powrotnej spotkał kolegę i razem prawie bieгли do ruszającego już pojazdu. Zdawało się, że to pech nie dopuścił, aby zdążyli - Karolowi rozwiązało się sznurowadło i zdecydował, że musi je porządnie zawiązać, najwyżej poczeka na następny. Kolega nieco się tym zdenerwował, ale machnął ręką na autobus i dotrzymał mu towarzystwa.

Gdy wreszcie pojechali, zauważyli, że policjant kieruje wszystkie pojazdy na boczną drogę. Okazało się, że istotnie trzeba jechać drogą okrężną, bo wcześniejszy autobus, na który nie zdążyli, spadł do przepaści i ruch na tym odcinku jest zamknięty.

Inne „cudowne” ocalenie spotkało Kapitana wkrótce po zakończeniu wojny. Jechał wraz z żoną na wycieczkę poza Londyn. Oboje siedzieli na przednich siedzeniach. Gdy na kolejnym przystanku wsiadła do autobusu grupa młodzieży, Kapitan zaproponował żonie, aby przesiedli się do tyłu i ustąpili młodym miejsca, z których można znacznie lepiej oglądać mijane okolice. W chwilę potem autobus zderzył się czołowo z pojazdem jadącym z przeciwka. Żadna z osób siedzących z przodu nie wyszła z wypadku cało.

Z bardzo dobrymi ocenami na świadectwie maturalnym i w doskonałej kondycji fizycznej, ale ze złamanym sercem wyruszył Karol do Tczewa. Niestety, komisja lekarska orzekła, że ma skłonność do reumatyzmu i nie może zostać uczniem Szkoły Morskiej. W podobny sposób został odprawiony Waław Korabiewicz, późniejszy lekarz na „Darze Pomorza”. Inspektor Gustaw Kański, widząc doskonałe oceny na świadectwie maturalnym, radził obydwóm chłopcom, aby skończyli medycynę i w ten sposób dostali się na statek. Z tej rady skorzystał jedynie Waław Korabiewicz.

- Po latach dowiedziałem się, że przyjaciel mego ojczyma z obozu niemieckiego, admirał Borowski, nie wierząc w sukcesy naszej Marynarki Handlowej, „załatwił” mi ten reumatyzm. Gdy się dowiedział, że nie idę do marynarki francuskiej, jak to było wcześniej planowane, tylko do Tczewa, powiedział: „Rejtana ci nie zrobię, ale po moim trupie tam pójdiesz”.

Szkoła Morska w latach dwudziestych była traktowana jako szkoła produkująca bezrobotnych. Jej absolwenci nie mieli żadnych szans na podjęcie pracy na statkach polskich, których było niewiele.

Po nie zakwalifikowaniu do Szkoły Morskiej Karol wraca do Wilna i przez jeden rok jest studentem prawa na Uniwersytecie im. Stefana Batorego. Odżywa miłość do Hali, ale brak z jej strony jasnej odpowiedzi powoduje, że ponownie wraca do Tczewa, tym razem korzystając z pomocy generała Zaruskiego, także przyjaciela ojczyma. Generał kieruje go na wojskową komisję lekarską. Skłonności do reumatyzmu nie stwierdzono, wprost przeciwnie - komisja, zachwycona jego kondycją fizyczną, proponuje wstąpienie do Szkoły Marynarki

Wojennej w Toruniu. Karol jednak odmawia i zgodnie ze swoim pierwotnym planem rozpoczyna naukę w Tczewie w roku 1925. Kończy i; w 1928 roku. Żeni się. Niewiele ponad rok pracuje na lądzie, ale już w 1929 roku wraca na morze. Służbę w Marynarce Handlowej rozpoczyna jako starszy marynarz na parowcu „Rewa”, potem pływa jako asystent, a następnie oficer nawigacyjny na parowcach „Polonia”, „Pułaski”, „Kościuszko”, motorowcu „Piłsudski”, wreszcie jako starszy oficer na fregacie szkolnej „Dar Pomorza”. Potem na „Piłsudskim” jest starszym oficerem do czasu jego storpedowania 26 listopada 1939 roku.

Odniesione podczas katastrofy na „Piłsudskim” kontuzje z punktu widzenia komisji lekarskiej nie pozwalają na dalszą pracę na morzu. Otrzymuje dożywotnią komandorską rentę w wysokości dwudziestu ośmiu funtów. (Podobno za dwa funty w tym czasie można było w Anglii żyć). Zrzeka się jednak renty i bez zgody komisji lekarskiej obejmuje w marcu 1940 roku stanowisko starszego oficera na motorowcu „Chrobry” do czasu zbombardowania 15 maja 1940 roku. Później ma jeszcze propozycję objęcia stanowiska kapitana na parowcu

„Wigry” (dyplom kapitana żeglugi wielkiej uzyskał w 1936 roku), ale nie czuje się na siłach. Na „Wigry” idzie jego kolega ze Szkoły Morskiej w Tczewie, Władysław Grabowski. Statek wraz z załogą tonie. Uratowały się tylko dwie osoby.

Nie skorzystał także z propozycji objęcia stanowiska kapitana na statku angielskim, gdy mu postawiono warunek przyjęcia obywatelstwa angielskiego. Wróci jeszcze na morze na angielskim statku „Sheridan” w latach 1947-1949 jako drugi oficer nawigacyjny i p.o. pierwszy oficer.

Po powrocie do kraju o pływaniu nie może być mowy. Dopiero w latach 1959-1962 na stanowisku kapitana wyprowadza podczas letnich wakacji na pierwsze pływanie statki ze Stoczni „Komuny Paryskiej”.

Nie silę się nawet na opisywanie życia Karola Olgierda Borchardta w Szkole Morskiej w Tczewie oraz jego przeżyć na morzu. Wszystko, co było możliwe do napisania o tym, on sam przedstawił w swoich książkach najpiękniej, jak było można. To, czego nie napisał, niech zostanie „pod białą różą”. A poza tym nie chcę, by ktokolwiek mógł mi powiedzieć: „Musisz pani zrozumieć, że są sprawy, których pani nie zrozumie”.

„Jeśli wierzyć, że zbrodnia sprowadza zbrodniarza na miejsce jej popełnienia i jeśli przyjąć szkołę za miejsce mych zbrodni, to kilkakrotnie z niej usuwany, wróciłem do szkolnictwa na wiele lat, a moje zbrodnie polegały na głoszeniu swych przekonań, często niezgodnych z prawami, jakie wymyślili SIWI, ŁYSI I BRODACI” - powiedział kiedyś Kapitan na jednym ze swoich spotkań autorskich.

W 1974 roku Ministerstwo Oświaty zaprosiło Kapitana do wyrażenia swojej opinii na temat, jaki powinien być nauczyciel. Jego wypowiedź została opublikowana w numerze 3 „Nurtu” z 1974 roku, a przytaczam ją w całości:

Pierwszym nauczycielem-CZŁOWIEKIEM, którego spotkałem, był prof. Stanisław Kościółkowski, o jasnych niebieskich oczach, w których nigdy nie dostrzeżliśmy cienia zniecierpliwienia, gdy jako dyrektor Gimnazjum Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego w Wilnie w latach 1915-1918 przyjmował do wiadomości nasze wykroczenia przeciwko przepisom szkolnym. Najmłodszy z nas potrafił wyczytać w jego oczach wielkie zrozumienie dla naszych trudności borykania się z sobą samym. Inni nauczyciele karali za byle co, bezrozumnie, nie zdając sobie sprawy, że: „arbitralnie i każdorazowo wymierzona kara

uczyniła ludziom więcej zła niż wszystkie najsrozsze i najstraszliwsze klęski i katastrofy od początków wieków”.

Drugim nauczycielem-CZŁOWIEKIEM był Bronisław Zapaśnik, który w roku 1921 zebrał w Wilnie wszystkich „przerośniętych” i „niedouczonych” skutkiem wojny i umożliwił im kontynuowanie nauki. Były to początkowo kursy, przekształcone w Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Dyrektor ten rozumiał, że kara nie wychowuje, tylko wyzwala myśli złe i destrukcyjne. Nie stosował żadnych kar. Pierwsza szkoła, w której poczuliśmy się swobodni, radośni, pełni uznania dla tych, którzy nas uczyli. W szkole tej nauczono nas, że ojczyzna to nie żaden abstrakt, to nie coś obiektywnie istniejącego poza nami, jako podmiotami, ale to my sami. To w niej, w tej szkole nie mieliśmy sposobności omijania zakazów, bo ich nie było, ale rozumieliśmy, że najwyższą nagrodą za wolność jest poczucie odpowiedzialności za czyn wykonany w absolutnej swobodzie.

W dwadzieścia lat potem w Anglii podczas wojny, gdy byłem j dyrektorem Gimnazjum i Liceum Morskiego w Landywood, miałem tam 400 chłopców, których, jak stwierdziłem, żadna kara zadziwić nie mogła, gdyż przedtem stale ich karano. Zniosłem więc kary zupełnie. Skutek? Uczeń Waszczuk, jeden z najtrudniejszych z tych czterech setek, słuchając pouczeń nauczyciela i nie widząc mnie stojącego za drzwiami, powiedział: „Mnie żywego z tej szkoły nie wyniosą”. Zaciekawiony tym oświadczeniem, podszedłem do niego i spytałem, co jest powodem takiego postanowienia.

Odpowiedział: „Bo tutaj, w tej szkole, po raz pierwszy poczułem się człowiekiem”.

Edward Biegański był trzecim CZŁOWIEKIEM, którego wykładów z matematyki słuchałem w Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Wilnie. Przez trzy lata nie widzieliśmy na jego twarzy zniecierpliwienia, gdy czegoś nie zrozumieliśmy przez naszą nieuwagę. My, uczniowie, zbieranina „z całego świata”, nazwaliśmy go JASNY PAN - w owe czasy był to tytuł bez precedensu. W ciągu tych trzech lat Jasny Pan raz tylko spóźnił się na lekcję. Ponieważ zawsze dokładnie wiedzieliśmy, co będzie tematem następnej lekcji, poprosiliśmy najlepszego w klasie matematyka, naszego kolegę (Wilanowskiego), by tłumaczył następną lekcję, byle nie tracić drogiego dla nas czasu. Gdy kolega nasz już dziesięć minut prowadził wykład, wszedł pan Biegański. Przeprósł za spóźnienie i poprosił, by kolega nasz kontynuował wykład, a sam zajął jego miejsce w ławce. Gdy kolega nasz skończył wykład, usłyszeliśmy od Jasnego Pana, że był to najpiękniejszy dzień w jego życiu.

Ze sposobu bycia tych trzech nauczycieli zrozumiałem, że największym złem w szkole jest nauczyciel, który z tytułu swych (niestety) uprawnień, powodowany najczęściej gniewem, „bez sądu, dochodzenia słuszności, świadków, całej procedury sądowej” wydaje

wyroki, sprawiające mu zadowolenie. W jego pojęciu jest to rzetelna praca wychowawcza - a w istocie zabija w oddanych jego opiece dzieciach poczucie godności własnej. W wiele lat potem znalazłem potwierdzenie mych wniosków w Anglii. Jeden z najlepszych dyrektorów szkół angielskich wyraził ten pogląd w zdaniu: „Nauczyciel, który nie jest zdolny zrozumieć, że prawem ucznia jest nazwać nauczyciela starym osłem, najlepiej zrobi, jeśli zawód ten zostawi w spokoju”.

Największym wrogiem nauczyciela jest jego gniew. Widoma oznaka jego słabości, braku godności własnej, oznaka niewiedzy w dziedzinie wychowawczej oraz braku umiejętności najważniejszej, którą Rzymianie określali mianem najbardziej BOSKIEJ - RZĄDZENIA LUDŹMI - którą to właśnie niektórzy nauczyciele szafując bezmyślnie i pochopnie, zamiast DOBRZE UCZYĆ - co jest zadaniem nauczyciela - ŹLE WYCHOWUJĄ, „obdarowując” uczniów niezliczoną ilością kar, które jątrzą, a nie czynią lepszymi, zabijając ambicję i godność osobistą.

To bezmyślne szafowanie władzą przez nauczyciela znajduje wyraz u niektórych w stałym zwracaniu się do uczniów, szczególnie najmłodszych, w trybie rozkazującym: powiedz, wykonaj, zrób, rozwiąż - a przecież brak odpowiedzi ze strony ucznia, nierozwiązanie zadania są jednoznaczne z niewykonaniem rozkazu. W ten sposób prowadzi się do chronicznego niekiedy przyzwyczajenia do niewykonywania poleceń, i jest wyjątkowo szkodliwe w kształtowaniu obowiązkowości ucznia. Słowo „proszę” skierowane do ucznia radykalnie zmienia całą sytuację. W ten sposób zwracali się do nas ci trzej wymienieni.

Nie mniej ważną w ich postępowaniu z nami była włożona przez nich praca we wnikliwe poznanie nas i przyczyn, dlaczego niekiedy lekcji nie umiemy. Nauczyciele, którzy się tą sprawą nie interesowali, stawiali często oceny „na oślep”, przeważnie niedostateczne - nie rozumieli, że na skutek nieznamomości uczniów i popełnianych przez to niesprawiedliwości powodują zniechęcenie do swego przedmiotu i jego wykładowcy. Masowe stawianie ocen niedostatecznych zawsze świadczyło o nieprzydatności nauczyciela do tego zawodu.

Oceny dobre i złe, pochwały i nagany na niewiele się zdadzą wychowawczo, jeśli uczniowie nie rozumieją, że nie wykonując swych obowiązków jak mogą najlepiej - to znaczy na ile ich na to stać fizycznie i duchowo - niszczą sami siebie. Właśnie na co ucznia stać, powinno być znane nauczającemu. Metoda kar i nagród jest tylko tresurą, nigdy wychowaniem. Trudności w realizowaniu właściwego systemu są zrozumiałe, ponieważ uczyć może nauczyciel, ale wychowywać tylko nauczyciel-człowiek.

Każda nasza myśl, każde nasze słowo i czyn wyzwalają cząsteczki energii DOBRE

lub ZŁE, a każda AKCJA wywołuje REAKCJĘ. Dla malca z przedszkola istnieje tylko pojęcie kary i nie widzi różnicy pomiędzy odsiadaniem jej w więzieniu czy odstaniem w kącie, a dotknięta ambicja, zanim zostanie zniweczona, buntuje się.

To co posiejemy, zmienia się w DOBRE lub ZŁE - to znaczy otrzymujemy od ludzi, od każdej istoty żyjącej POMNOŻONE DOBRO lub ZŁO. SIEWCĄ z zawodu jest NAUCZYCIEL.

Najważniejszą rzeczą jest to, by każda jego myśl, od której zależne są jego słowa i czyny, była DOBRA, bo jak myślimy, takimi jesteśmy.

Słowa zawarte w tym artykule Karol Olgierd Borchardt zawsze stosował w praktyce.

- Tylko raz postawiłem uczniowi ocenę niedostateczną. Było to wydarzenie tak niezwykle, że jeden z chłopców wyciągnął aparat fotograficzny i uwiecznił ten moment. Powiedziałem przy tym: „Mam dwa wyjścia: albo postawię tobie dwójkę, bo nic nie robisz i nie chcesz się uczyć, albo popełnię harakiri. Wybieram to pierwsze, bo nie widzę powodów, dla których miałbym pozbawić się życia z twojej przyczyny”.

Wszystkie sposoby były dobre, by zachęcić uczniów do nauki. Jego wychowankowie pamiętają do tej pory zasadę głoszoną przez Kapitana: „Ocena dostateczna z mego przedmiotu już zezwala ci na topienie statków i ludzi. Wolę, żebyś to robił, mając ocenę bardzo dobrą”.

Czasami udzielał porad młodym adeptom zawodu nauczycielskiego: „Musisz poznać swoich uczniów. Na początku roku szkolnego zrób sobie z nimi fotografię zbiorową. Na odwrocie zdjęcia wypisz wszystkie nazwiska - (sam dodawał jeszcze datę urodzenia, aby wiedzieć, pod jakim znakiem zodiaku uczeń jest urodzony). - Rada pedagogiczna nie będzie wówczas seansem spirytystycznym, podczas którego wywołują nie znane ci duchy. Z każdym uczniem musisz przeprowadzić rozmowę indywidualną. Zaczynaj od uczniów dobrych, nie stwarzających kłopotów, aby rozmowa z tobą nie była rodzajem kary czy ostrzeżenia za niewłaściwe postępowanie. Rozmawiaj na wesoło, bez zbytniego dystansu. Twój autorytet tworzy nie dystans dzielący ucznia od »profesora«, ale twoja wiedza. Uczeń zupełnie inaczej zachowuje się w grupie, a inaczej sam na sam z nauczycielem. Nigdy nie rób uwag w obecności innych, to godzi w ambicję i wywołuje niekorzystną reakcję. Uczeń po zakończeniu lekcji musi wiedzieć, czego się nauczył. Przed przystąpieniem do lekcji poświęć piętnaście minut na sprawdzenie materiału I z lekcji poprzedniej, jeśli możesz, to u wszystkich uczniów. Nie trzymaj j klasy w napięciu przez całe czterdzieści pięć minut. Po kilkunastu minutach wykładu dobrze jest powiedzieć coś wesołego, aby uczniowie odprężyli

się. Nie stawiaj stopni od razu do dziennika, tylko notuj swoje i uwagi do notesu i obserwuj pracę ucznia nad sobą. Dopiero gdy masz wyrobione zdanie, wpisz ocenę. Stopień nie może być uzależniony od przypadku czy humoru nauczyciela, musi odzwierciedlać rzeczywistą wiedzę ucznia i jego pracę”.

Sam Kapitan znał swoich uczniów doskonale. Po trzydziestu latach, j gdy któryś się zjawił w jego mieszkaniu, mógł usłyszeć opinię o sobie na podstawie notatek starannie przechowywanych. Kiedyś do Szkoły Rybołówstwa w Gdyni przyszło pismo z Wietnamu, z prośbą, aby szkoła przedstawiła opinię o absolwentach Wietnamczykach, z podaniem, na jakie stanowiska można postawić poszczególnych chłopców (jak się później okazało, ci „chłopcy” byli zawodowymi oficerami). Rada pedagogiczna bardzo się ubawiła treścią tego pisma. A Kapitan spokojnie zabrał głos i powiedział, że on spełni prośbę Wietnamczyków. W Anglii nie było niczym nadzwyczajnym opiniowanie uczniów pod kątem ich przydatności zawodowej, predyspozycji kierowniczych. Toteż miał w swoich notesach sporządzane również z tą myślą notatki.

Kapitan z zegarkiem w ręku przygotowywał się do wykładów. W jego maleńkim mieszkaniu znalazło się miejsce na tablicę, z której korzystał często przy robieniu rysunków, pomagających w wykładzie. Uważał, że rysunek jest wręcz niezbędny dla uczniów bez dostatecznie wyrobionej wyobraźni. Podczas każdego wykładu był czas na sprawdzenie wiadomości, wyłożenie nowego materiału, a także na humor. Najbardziej lubił swoje dwa „szkolne” dowcipy:

„Mark Twain zamieszkał u bardzo oszczędnej gospodyni. Gdy któregoś razu na śniadanie otrzymał nader skromną porcję owsianki, po jej zjedzeniu poprosił: »Czy może mi pani podać znaczek pocztowy, to sobie poczytam?«”

I drugi: „Nauczyciel, zdenerwowany, przychodzi do dyrektora szkoły i mówi: »W czwartej klasie młodzież zapytana, kto zburzył Bastylie, zaklina się, że to nie oni. Kazałem przyprowadzić rodziców, a ci mówią, że oni zapłacą, byleby tylko nie robić z tego sprawy«. Na to dyrektor: »A która to klasa: czwarta A czy B?« Nauczyciel: »Czwarta B«. Dyrektor: »O, ci na pewno nie zapłacą, ja ich znam!«”

Bardzo poważnie traktował Kapitan młodzież, a nawet dzieci.

- Wszyscy się dziwią, gdy całuję w rękę czteroletnią „damę”. Mówię im wówczas: „Być może z tej małej damy wyrośnie druga Curie-Skłodowska, podczas gdy o starszych paniach już wszystko wiadomo”.

Uważał za bardzo niewłaściwe stawianie nauczycieli o niskich kwalifikacjach czy bardzo młodych, bez odpowiedniego doświadczenia, do nauki dzieci najmłodszych, które

właśnie powinny być nauczane przez pedagogów najwyższej klasy, bo pierwszy kontakt dziecka ze szkołą może potem decydować o całej dalszej nauce ucznia.

W swoim stosunku do świata Karol Olgierd Borchardt był w jakimś stopniu agnostykiem. Borchardtowie, wywodzący się z Kurlandii, byli wyznania ewangelickiego. W wileńskim kościele ewangelicko-reformowanym od wieków zajmowali wysokie urzędy świeckie.

- Mój chrzest odbył się na wsi, w majątku moich krewnych Niekraszewiczów, w Siedliszczu. Specjalnie na tę uroczystość przyjechał z Wilna ewangelicki biskup, Jastrzębski. W momencie chrztu, w środku lipcowego, upalnego dnia, zrobiło się zupełnie ciemno i rozpętała się burza z piorunami. Ksiądz biskup Jastrzębski miał wówczas powiedzieć: „To chyba jakiś znak niebios, będzie to wielki i niespokojny człowiek”.

Matka i jej rodzina była katolicka, a Karol miał sam dokonać wyboru wiary, gdy stanie się pełnoletni. Już wcześniej jednak służył do mszy świętej w kościele katolickim i śpiewał w chórze. W szkołach, do jakich uczęszczał, była bogata mozaika wyznaniowa: katolicy, prawosławni, żydzi, mahometanie, karaimi, ewangelicy. Karol uczęszczał na lekcje religii katolickiej. Wspominał czasem księdza Kazimierza Kiersnowskiego, który uczył go religii w pierwszym gimnazjum polskim w Wilnie w roku 1915. Zamierzał napisać opowiadanie o tym księdzu, który, jak się później okazało, był stryjem najmłodszego i najmilszego pasażera na parowcu „Kościuszko” w podróży do Buenos Aires w roku 1937 - Kazia, tytułowego bohatera z opowiadania w „Krażowniku spod Somosierry”. Ksiądz prefekt Kiersnowski przypominał mu zawsze młodego, wysmukłego księżyka z rumieńcami na twarzy, przedstawionego przez Sienkiewicza w opisie obrony Częstochowy.

- Ksiądz Kiersnowski uczył nas bardzo obrazowo i gdy chciał zaakcentować coś, co było bardzo ważne, przemawiał „wielkim głosem”: „Nic się nie uczysz”, besztął tego, który zapytany gubił się wśród biblijnych postaci. Oznaczało to, że postawi czwórkę. Ofiarami stawali się uczniowie siedzący w pobliżu katedry. Przezornie na lekcje religii przenosiłem się do ostatniej ławki. Będąc w dobrym humorze, nasz „księżyk” po wejściu do klasy rzucał z hukiem dziennik klasowy na katedrę. Dla mnie był to sygnał, że mogę przenieść się do pierwszej ławki, ponieważ ksiądz będzie nas bawił opowiadaniem o biblijnych Machabeuszach, a był bardzo zadowolony, jeżeli udało mu się nas rozweselić. Któregoś dnia wszystkie znaki wskazywały, że mogę przejść do pierwszej ławki. Wpatrzony w księdza, wybuchnąłem niepowstrzymanym śmiechem, ledwie usłyszałem wymówione przez niego pierwsze zdanie: „Po drodze pełnej pyłu idzie...” Moje „HA! HA! HA!” zagłuszyło dalsze słowa księdza.

„Dlaczego się śmiejesz?” - spytał, zaskoczony.

„Idzie Machabeusz” - odpowiedziałem.

„Głupi jesteś! Nic nie rozumiesz! Idzie święty Jan Kanty”.

„Przepraszam - wyszeptalem przerażony. - Zaczęło się wszystko jak z Machabeuszami” - broniłem się i wołałem uciekać na ostatnie miejsce. Czułem się nieutulony w bólu po piątce, której teraz nie mogłem się już spodziewać z powodu tej pomyłki.

Wkrótce nowe wypadki zaćmiły to straszne nieporozumienie. W kilka dni potem ksiądz wszedł do klasy bez uśmiechu na twarzy i zaraz po sprawdzeniu obecności wielkim głosem zawołał:

„KARCZEWSKI! Jak mogłeś coś podobnego uczynić?!”

Kolega Cześ Karczewski wstał. Był bliski omdlenia. Cała klasa wstrzymała oddech, czekając, co teraz nastąpi. Tymczasem ja także wstałem i głośno powiedziałem: „To nie Karczewski. To JA, proszę księdza prefekta. Karczewski jest bardzo grzecznym chłopcem”.

„TY?! - zagrzemiał ksiądz. - A skąd wiesz, co ja chcę powiedzieć?”

„Co Karczewski może? - ciągnąłem swoje zeznanie. - Karczewski mieszka w tym samym podwórku co i ja. A Józef mnie lubi, bo mu czytuję Maien Reeda”.

„Co to za Józef? Mów jaśniej” - ksiądz prefekt był coraz bardziej zniecierpliwiony.

„Józef to jest stróż naszego domu, proszę księdza prefekta. On bardzo lubi książki o Indianach i jak nie ma jego żony, to ja przychodzę i mu czytam. A jeśli ja coś zmałuję, a Józef się pomiarkuje, że ja to zbroilem, to gdy ktoś pyta o dziesięcioletniego chłopca z czarnymi włosami, Józef zawsze wtedy mówi, że to Karczewski. On też ma czarne włosy i lat jedenaście. Mieszka w oficynie, a ja na czwartym piętrze - jest to taki duży dom przy ulicy Zawalnej pod numerem siódmym. Każdemu, kto wpadnie do tej bramy i pyta o takiego chłopca, Józef mówi, że to Karczewski. Ale jak Cześ wyjdzie ze swoim ojcem, to się okazuje, że to nie ten, którego gonił i wcale nie chce rozmawiać z panem Karczewskim, tylko wychodzi zły. Tym razem to jednak wszystkiemu był winien ksiądz prefekt”.

„Co ty pleciesz? Porozmawiamy po lekcji, a teraz siadaj!” - Ksiądz prefekt, zniecierpliwiony przydługą i jak mu się zdawało, bezsensowną moją wypowiedzią, machnął ręką i rozpoczął kolejny wykład.

Na przerwie poszedłem pod pokój nauczycielski i czekałem, kiedy ksiądz wyjdzie na korytarz. Klasa patrzyła na mnie jak na bohatera. Po chwili wszedł ksiądz zamaszystym krokiem i spokojnie położył mi rękę na głowie.

„No a teraz wyjaśnij mi, co właściwie wydarzyło się wczoraj i dlaczego to niby mam być wszystkiemu winien?”

„Ksiądz prefekt przecież kazał nam kłaniać się księżom” - rozpocząłem swoją spowiedź.

„No, owszem, powiedziałem, że jak spotkacie księdza, to będzie ładnie z waszej strony, jeśli mu się uklonicie”.

„Otóż właśnie ja tak zrobiłem, jak ksiądz prefekt kazał. Na Małej Pohulance, na tym kawałku ulicy pomiędzy Zawalną a Wileńską, koło zakładów ogrodniczych Moczulaka, gdzie jest bardzo wąski chodnik i może nim przejść tylko jedna osoba. Właśnie tym chodnikiem szedł jakiś ksiądz. Więc ja zszedłem z trotuaru i ukloniłem się mu już z daleka. Ten ksiądz tylko na mnie popatrzył i szedł sobie dalej. Wobec tego stanąłem i gdy znalazł się przy mnie, zapytałem, dlaczego to taki pomidor nie może odkłonić się dziecku, które mu się grzecznie kłania? Ten ksiądz poczerwieniał i chciał mnie chwycić za kołnierz, ale ja na nic nie czekałem i zacząłem uciekać w kierunku Zawalnej. Do tej pory nigdy nie gonila mnie żadna osoba duchowna, więc straciłem głowę i zamiast wbiec do przechodniej bramy domu Karasika, wpakowałem się na własne podwórko i schowałem w mieszkaniu Józefa. Józef w tym czasie zamiatał podwórko i gdy zobaczył, co się dzieje, jak zwykle mnie wybronił i powiedział goniącemu mnie księdzu, że biegł tędy Czeška Karczewski. Ksiądz zapisał coś sobie w notesie i poszedł”.

Pomimo że wyraz twarzy księdza prefekta był bardzo surowy, czułem, że moje opowiadanie raczej go rozbawiło, niż zasmuciło. Grzmiącym głosem zapytał:

„A wiesz ty, kto to był? To był sam biskup M. W domu powiesz, że jutro przyjdiesz o godzinę później ze szkoły”.

Gdy całe wydarzenie opowiedziałem swojemu ojczymowi, bo byłem przyzwyczajony do mówienia prawdy, dowiedziałem się, że ten biskup był bardzo niepopularny wśród wileńskiego duchowieństwa z powodu swych zapatrywań politycznych (a działo się to podczas okupacji Wilna przez Niemców).

Nazajutrz zapowiedziana kara godzinnego siedzenia po lekcjach została znacznie złagodzona, bo już po piętnastu minutach ksiądz prefekt wszedł do klasy i wywołał mnie. Odtąd stale miałem piątkę z religii, pomimo że przestałem być pierwszym entuzjastą opowieści o Machabeuszach.

W majątku babki Michaliny Łukaszewiczowej niedziele były zawsze poświęcone ojczyźnie i religii, nieodłącznie z ojczyzną związanej. Wyprawy do kościoła odbywały się jedynie przy szczególnych okazjach. Odległość mierzono w owe czasy wiorstami „z hakiem”, przy czym „hak” bywał niekiedy dłuższy od podawanej liczby wiorst. Latem koła grzęzły po osie w piachu, a podczas ulewy w błocie. Koni, tak zwanych cugowych, już dawno w

Bykowiec nie było, tylko „Orzeł” i „Sokół” na tabliczkach w stajniach świadczyły o niegdysiejszym ich istnieniu. Roboczych, spracowanych nie chciano męczyć. Zamiast wielkich wypraw do kościoła, w niedziele rodzina zbierała się przed olbrzymim żelaznym krucyfiksem, stojącym na staroświeckiej komodzie, udekorowanym świeżymi kwiatami. Dzieci powtarzały za babką słowa litanii czy różańca, modlitwę za tych, co polegli w powstaniu 1863 roku i tych, co zginęli pod Napoleonem. A pod wieczór, przy ładnej pogodzie, babunia z dziewczętami siadała na ganku i wówczas wśród „tych pagórków leśnych” i „tych łąk zielonych” niosła się pieśń patriotyczna i religijna. Gdy było chłodno lub padał deszcz, śpiewy odbywały się w salonie do wtóru akompaniującej na fortepianie babuni. Takie chwile pozostają w człowieku niezatarte przez całe życie.

Karol jednak miał niespokojny umysł i trudno mu było przyjąć wiarę tak, jak ją podaje Kościół. Starał się zrozumieć sprawy, które nie są do zrozumienia. Kiedyś powiedział mi: - Nie jestem w stanie ogarnąć swoim umysłem tego wszystkiego. Moja matulka była szczęśliwa, nie mając żadnych problemów w kwestiach wiary. Rozum tutaj na nic, można zdać się wyłącznie na wiarę. Pewne wytłumaczenie znajduję tylko w związanej z osobą świętego Augustyna legendzie, która mówi o chłopcu przelewającym wodę z oceanu do wykopanego przez siebie dołka. Pierwej ten chłopiec przeleje tam wodę, nim my poznamy tajemnicę wiary i życia. - Szczególny zamęt w jego głowie zasiała astronomia. W swojej bibliotece miał czternastotomową Encyklopedię Kościelną, wydaną przez X. Michała Nowodworskiego w Warszawie w roku 1874. Sięgał do niej bardzo często.

- Niemożliwością jest, by ludzkość znała ten cały ogrom literatury o tematyce religijnej, filozoficznej i prawnej, która reguluje postępowanie, a żyć musi. Rządzą zatem nami prawa nie tak zawile, jak to napisano na miliardach kartek, często bez efektów. Człowiek jest wprawdzie istotą skomplikowaną, lecz sam nie może żyć według tak skomplikowanych praw, jakie miałyby go obowiązywać.

Jakoś Kapitan zapomniał o prostocie Dekalogu.

W swoich poszukiwaniach dotarł do hatha-jogi. Hatha-joga niczego nie narzuca. Twierdzi, że człowiek wszystko ma sam w sobie. Zatracił to, słuchając innych, zamiast szukać odpowiedzi i doświadczenia w sobie. Był taki okres w życiu Kapitana, w którym na pytanie, kim jest: katolikiem czy ewangelikiem - odpowiadał: „Jestem jogiem”.

Na półce przy jego łóżku obok książki „Znaczy Kapitan”, do której sięgał, gdy mu było smutno, obok poezji Mickiewicza i „Potopu” Sienkiewicza leżała „Ania z Zielonego Wzgórza”, ulubiona książka jego matki, i kilka egzemplarzy „National Geographic”. Ale na pierwszym miejscu była zawsze zniszczona już bardzo stara książeczka do nabożeństwa

matki. Każdego wieczora czytał kilka stron, dla uspokojenia w chwilach, gdy myśli same cisną się do głowy i nie znajdują odpowiedzi, szukając w ten nadprzyrodzony sposób kontaktu ze swoją matką.

W testamencie swym zastrzegł, by pogrzeb odbył się według obrządku katolickiego, co zostało spełnione. A książeczkę do nabożeństwa matki zabrał do grobu.

„Człowiek bez religii to koń bez uzdy” - mawiał. Sam stosował się do jej prawideł w sposób najprostszy, realizując zasadę: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe”. A odnosił tę zasadę nie tylko do czynu, lecz nawet do myśli i słowa. „Kamieniem możesz rozbić głowę, słowem złamać serce, a złą myślą zniszczyć całe życie”.

Wyrozumiały dla ludzi, usprawiedliwiał ich postępowanie, doceniając ludzkie prawo do ułomności. Przyjaciół wprawdzie też tłumaczył, ale na ogół przyjaźnie takie kończyły się, gdy ktoś nadużył jego zaufania. Mówił wtedy: „Miłość ci wszystko wybaczy, przyjaźń nie”.

Rozdział V. Horoskop Kapitana

Wiele niecodziennych pasji pochłaniało Kapitana. Pochłaniało w sensie dosłownym, ponieważ czymkolwiek się zajmował, robił to zawsze z wielkim przekonaniem i oddaniem.

O jodze już wspominałam, ale było także wielkie zainteresowanie starożytnym Egiptem. - Gdybym urodził się jeszcze raz, z pewnością życie swoje poświęciłbym szczegółowym studiom nad historią i kulturą starożytnego Egiptu. Powinno się mówić: „Wszystkie drogi prowadzą do Egiptu”, a nie do Rzymu.

W rezultacie w ciągu kilkunastu lat poznał, jedynie z dostępnej literatury - głównie rosyjskiej - hieroglify egipskie i wkrótce sam zaczął tworzyć słownik polski egipskich hieroglifów morskich.

Uparcie twierdził i starał się to udowodnić w opowiadaniu z cyklu „Galiony”, że zarówno Mieszko I, jak i Bolesław Chrobry posługiwali się hieroglifami egipskimi na swoich denarach. „Na denarze Mieszka I, na głównej stronie monety jest krzyż, a pod nim hieroglif egipski oznaczający NIEBO. Dookoła krzyża na niebie odczytać można z trudem i nie na wszystkich denarach imię Mieszka jako MISICO. Na stronie odwrotnej - krzyż ze znanymi nam już z denara rzymskiego punktami oznaczającymi, że wyznawcami krzyża w państwie Mieszka jest MNÓSTWO jego poddanych - z tą różnicą, że na denarach rzymskich były, prawidłowo, tylko trzy punkty, a na denarze Mieszka - cztery. (Podobno pisarze egipscy, przekładając piękno nad prawdę, stawiali zupełnie inny hieroglif, byle było PIĘKNIE)”.

Grafologia, frenologia też nie były obce Kapitanowi. Wróżenia z kart nie znał, a jednak... zmuszony przez uczennice szkoły pielęgniarstwa, odbywające praktykę wakacyjną w szpitalu - wróżył. Opisał to zabawne wydarzenie w opowiadaniu „Suchy dok” w „Kolebce nawigatorów”:

- W takim razie umówmy się - zaproponowałem. - Co dziennie dwie panie, które będą wolne od zajęć, przyjdą do mnie na salę.

- Ach, jaki pan miły! - zapadł wyrok, który mnie skazywał na zawodową pracę „fortune-tellera”.

Byłem już nim dwa tygodnie, bo licząc pośpiesznie, nie policzyłem tych przyszłych siostr, których nie było na sali i nie wziąłem pod uwagę, a raczej nie przeszło mi przez myśl,

że będą przychodziły nie tylko przyszłe siostry, ale i aktualne z innych pawilonów, a w dzień dla odwiedzających - krewne lub znajome siostr przebrane w ich stroje. W niedziele też nie miałem wypoczynku. Liczba dwóch pacjentek dziennie była najbardziej niedorzeczna, jaką mogłem wymyślić. Zaczęło ich przychodzić znacznie więcej. Za to po pewnym czasie o przyszłości moich pacjentek mówiłem już więcej niż płynnie. Znałem wady i zalety królów, dam i waletów, jak gdyby to była moja najbliższa rodzina, z którą nie rozstawałem się nigdy. Żonglowałem znaczeniem asów, dziesiątek i dziewiątek bez namyślenia się i zająknięcia. Stawałem się powoli ciotką Funią, potem ją przerosłem. Natchnienie dodatkowo zacząłem czerpać z wyglądu swych klientek, z ich zachowania, mimiki, gestów. Połączone to jednak było z męczącą koniecznością błyskawicznej orientacji i decyzji.

Podobnie jak niejeden nawigator, lubiący astronawigację, z dużym przekonaniem i zamiłowaniem Kapitan interesował się astrologią. I to najpoważniej w świecie. Miał na jej temat własną teorię, której nie zdążył uporządkować i spisać. Pozostały jedynie notatki, z których trudno cokolwiek ułożyć, szczególnie jeśli się nie jest wytrawnym znawcą przedmiotu.

Początki swego zainteresowania astrologią Kapitan wywodził w sposób wesoły i dość oryginalny:

Z astrologią spotkałem się dosyć wcześnie, bo w roku 1918. W spotkaniu tym odegrałem główną rolę, połączoną z „uwiedzeniem” najładniejszej nauczycielki. Byłem wówczas uczniem Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Dyrektorem gimnazjum był profesor Ignacy Popławski o patriarchalnym wyglądzie. Wielki matematyk, a jeszcze większy człowiek, rzadko spotykanej dobroci. Jego dobroć i wyrozumiałość nie pomogła jednak, gdy zostałem „wylany” z tegoż gimnazjum po swojej ucieczce do wojska, ale to inna, późniejsza nieco historia.

Geografii w tej szkole uczyła nas pani Maria Stabińska. Była to pani urodziwa, pięknie zbudowana - jak gdyby wytoczona, to znaczy wszędzie tam gdzie trzeba bardzo dobrze zaokrąglona. Tak twierdzili koledzy o kilka lat starsi ode mnie, z wielkim już pod tym względem doświadczeniem życiowym. Tych zalet pani Stabińskiej, jako najmłodszy wiekiem, jakoś wówczas nie dostrzegałem czy nie rozumiałem. Miała złote włosy i oczy niebieskie. Krótko mówiąc, była ładna. Pomimo że za najmniejszy błąd w odpowiedzi

bezlitośnie stawiała nam stopnie niedostateczne, cieszyła się nieustającą sympatią i opinią sprawiedliwej. Jeden z kolegów zajmujący się astrologią i mający biegłego na ten temat w rodzinie, zaciekał się, pod jaką gwiazdą urodziła się ta piękność. Mając znajomości w sekretariacie dowiedział się, że przyszła na świat trzeciego maja, a zatem urodziła się pod gwiazdą Byka. Nie bardzo wówczas rozumiałem, o co właściwie chodzi, ale porwany entuzjazmem kolegów, cieszyłem się razem z nimi. Okazało się bowiem, że wobec naszej pięknej i bezwzględnej pani można zastosować pełną gradację określić urody kobiecej: ŁADNA! PIĘKNA! BYCZA!

Pani Stabińska została zatem BYCZĄ w naszej uczniowskiej gwarze. Powstał projekt, aby ją o tym w jakiś sposób zawiadomić. Z pewnością będzie zadowolona z faktu, że uzyskała najwyższy stopień piękności. Nie wiedzieć czemu ten zaszczyt uświadomienia pani Stabińskiej, jak została oceniona przez klasę, przypadł właśnie mnie. Chyba dlatego, że byłem najmłodszy i nie rozumiałem istoty sprawy.

Miało się to odbyć w ten sposób, że w momencie gdy pani Stabińska stanie w drzwiach klasy, ja siedząc w pierwszej ławce na znak dany przez kolegę pilnującego drzwi, nie patrząc w tamtym kierunku, by uniknąć rozpoznania, krzyknę ile sił w płucach: BYYYCZA!

Nastroiłem się, jak mogłem najlepiej, do wykonania polecenia klasy i na dany mi znak ryknąłem: „BYYYCZA!” W chwilę potem oniemiałem i na moment utraciłem przytomność. Otóż, gdy głoska „A” zamarła na mych ustach, zobaczyłem, że cały zapas wypuszczonego powietrza wpakowałem nieomal bezpośrednio w ciało tuż przede mną stojącej pani Stabińskiej. Czy się kolega zagapił, czy źle zrozumiał. Stało się!

W wyrazie twarzy pani Stabińskiej nie wyczytałem gniewu, lecz zdumienie. Gdy tylko odzyskałem przytomność umysłu, natychmiast wstałem, zanim ona usiadła, ukloniłem się i powiedziałem: „Bardzo panią przepraszam, na zlecenie klasy miałem krzyknąć »bycza« w momencie, gdy pani będzie wchodziła. Bardzo panią przepraszam!” Gdy to mówiłem, wszyscy koledzy wstali, akcentując w ten sposób, że cała klasa jest odpowiedzialna za to wydarzenie.

Pani Stabińska wysłuchiwała moich przeprosin stojąc, a następnie, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, powiedziała do klasy miłym tonem: „Proszę siadać”. I ani słowa więcej na ten temat.

Grupa kolegów, tzw. „jurystów”, zainteresowała się na swój sposób słowem „bycza”. Określało ono w prawie z XVI i XVII wieku piękną dziewczynę uwiedzioną przez adoratora, który musiał za swój czyn zapłacić karę zwaną „bykowe”.

Nasze „bykowe” miałyby polegać na jeszcze dłuższym ślęczeniu nad geografią. Zdawałem sobie sprawę, że ja szczególnie jestem narażony. Z takim skutkiem zacząłem uczyć się nazw jezior, rzek, zamków obronnych, że po dziś dzień obudzony w środku nocy potrafię wyrecytować na pamięć: Przemsza, Prądnik, Szreniawa, Nida, Kamienna, Pilica, Bzura, Brda...

Czy rzeczywiście umieliśmy tak dobrze geografię, czy zadanie uwiedzenia przez klasę pani Stabińskiej zostało tak dobrze wykonane - dość że pani Stabińska nie postawiła nam więcej ani jednej dwójki. Od tej chwili stałem się wielkim miłośnikiem astrologii.

Tak naprawdę jednak początki zainteresowania astrologią sięgają pobytu Kapitana w Anglii podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu do roku 1947. Po swojej rezygnacji ze stanowiska dyrektora Gimnazjum i Liceum Morskiego w Landywood, kiedy uniemożliwiono mu prowadzenie szkoły według własnej koncepcji oraz nie dano możliwości doboru kadry pedagogicznej, przez okres dwóch lat pozostawał bezrobotnym.

- Dopiero wtedy poczułem się wolnym człowiekiem. Cały swój czas mogłem poświęcić na zwiedzanie muzeów, wystaw, uczęszczałem na koncerty. Zająłem się rysunkiem i rzeźbą. W tym czasie przestudiowałem dość pilnie książki pana Potta, który uważał siebie za Mendelejewa astrologii. Według jego wskazówek zacząłem ćwiczyć się w rozpoznawaniu, pod jakim znakiem jest urodzona dana osoba. Pan Pott twierdził, że jeśli mu się coś nie zgadza, znaczy to, że została sfalszowana metryka urodzenia. Miałem kiedyś po powrocie do kraju, jadąc pociągiem do Warszawy, takie zdarzenie. Zwykle podczas podróży zajmowałem się zgadywaniem, w jakim miesiącu są urodzeni współpasażerowie z mego przedziału. W związku z tym ośmieliłem się zapytać jedną z pań, której pomogłem nałożyć płaszcz przy wysiadaniu, czy jest urodzona w pierwszych dniach lipca. Pani potwierdziła to skwapliwie, a potem nagle złapała swoje walizki i z okrzykiem „Panie, pan jest niebezpieczny człowiek!” uciekła szybko, myśląc pewnie, że będę ją gonił.

Wiele osób posiada horoskop postawiony przez Kapitana. Tyle tylko że nikt nie jest w stanie rozszyfrować tych rysunków gwiazd i planet i ich wzajemnego układu wobec siebie bez opisu, który był w stanie sporządzić sam Kapitan na podstawie odpowiednich książek.

Postawił Kapitan również swój horoskop i twierdził, że zgadza mu się w najdrobniejszych szczegółach. Nie mogę jednak go przytoczyć, pozostał bowiem tylko rysunek, bez opisu słownego. Zapamiętałam to, co często powtarzał, zresztą nie bez przyczyny:

- W moim horoskopie mam zapisane, że do śmierci nie wygrzebię się spod papierów.

To zdanie okazało się najprawdziwsze, a przekonałam się o tym, gdy przyszło mi porządkować archiwum Kapitana po jego odejściu.

Podczas pobytu w górach Szkocji, kiedy to po trzech bezsennych miesiącach spędzonych w szpitalu otrzymał dożywotnią komandorską rentę oraz dwie rady na drogę: „*Enjoy the life*” i „*Help yourself*”, przyszło Kapitanowi nie spać jeszcze dalszych osiem miesięcy. Jego system nerwowy był w gruzach (jak to określał), zatruty środkami chemicznymi, jakimi najpierw uspiono go na dwa tygodnie, by zapomnieć o nękających go bólach głowy, a potem sztucznie obudzono i następnie znów usiłowano sprowadzić sen. Niewskazane były kontakty z ludźmi. Potrafił spędzać na samotnej wędrówce wśród szkockich wrzosowisk po dwa tygodnie, gotując na ognisku nieskomplikowane potrawy, głównie ryż, i śpiąc w zbudowanym przez siebie szałasie. Ożyły wspomnienia o zabawach w Indian. Tenanga leczył się sam stosując system hatha-joga. Dysponując dwudziestoma czterema godzinami na dobę, zajął się obserwowaniem przyrody i malarstwem. Napisał o swych przeżyciach związanych z tym okresem w opowiadaniu „Suchy dok” przeznaczonym do „Kolebki nawigatorów”.

Trzymając się rad lekarzy niczego nie postanawiałem, nie układałem programu zajęć. Nocami wpatrywałem się w płonące na kominku „wieki”. Wiadomości o nich mogłem streścić w kilku zdaniach, a właściwie nie miałem żadnego pojęcia. Te moje rozmyślenia sprawił, że poczułem się zagubiony w nieznanym otaczającym świecie, którego największą zagadką stanów; *homo sapiens*, a w szczególności gatunek „blade twarze”.

Chcąc zmienić kierunek myśli, rozpakowałem mikroskop i wszedłem w nowy świat. Wkrótce mikroskop stał się częścią mnie. Zacząłem zabierać go ze sobą na wędrówki, by odpoczywając po wysiłku fizycznym móc przenieść się w niewidoczny nieuzbrojonym okiem świat, jakiego nie wymyśliłaby żadna fantazja.

Powstało wówczas wiele rysunków i akwarel, które rozdał znajomym i przyjaciołom. Już wcześniej, podczas podróży na Linii Palestyńskiej, dużo rysował. Zachowały się z tego okresu, gdy pływał na parowcu „Kościszko”, rysunki i szkice przedstawiające typy arabskie i żydowskie oraz koloryt tych ziem. Bardzo lubił tę formę wyrażania uczuć: - Pisanie wymaga niesłychanej liczby i doboru słów na wyrażenie jakiejś konkretnej tezy. Obraz czy rzeźba

mogą być nawet nieudolne, ale potrafią szybciej przekazać myśl autora.

Będąc na emigracji brał udział w wystawach organizowanych w Waszyngtonie i w Nowym Jorku, podczas których wszystkie jego prace zostały sprzedane. Zachęciło go to i zaczął rzeźbić w plastelinie małe formy, następnie odlewał w metalu, uzyskując go z tubek od pasty do zębów. Później nauczył się sztuki elektrolizy i stosując tę metodę, srebrzył swoje prace.

- Najwięcej emocji doznawałem przy otwieraniu gipsowej formy, z której wyjmowałem nowo narodzone dziecko.

Przed odlotem na Amazonkę udał się do sklepu zajmującego się sprzedażą tego rodzaju wyrobów w Londynie, by się dowiedzieć, czy takie figurki znajdują nabywców i jaka jest ich wartość. Za część tych prac oferowano po funcie, za inne pół funta. Obliczył, że po wydoskonaleniu warsztatu mógłby wytwarzać dziesięć figurek dziennie. Wybrał Amazonkę.

Pierworodną rzeźbą Kapitana była „Dusza marynarza”, a uosabiała ją postać syrenki dmuchającej w zziębnięte ręce, bo na morzu jej zimno, tęskni za lądem, ale po lądzie też chodzić nie może, będąc w stanie poruszać się jedynie w wodzie.

Następnym dzieckiem była „Ludzkość” - matka na Golgocie z trupich czaszek. Przed matką dzieci objęte jej ramionami, nieświadome tego, co je czeka. Wszystkie - starsze i młodsze - jednakowo uśmiechnięte.

„Kłamstwo” - upostaciowane w kształtach kobiety czy czarownicy, która za pomocą maski oraz odpowiedniego ustawienia z jednej strony przedstawia odrażającą czarownicę, z drugiej piękną kobietę.

Wykonał Kapitan także głowę Marszałka Piłsudskiego i darzył tę rzeźbę szczególnym sentymentem, nie wyłącznie dlatego, że była bardzo udana.

Ostatnia figurka pozostała tylko w plastelinie. Była wykonana po powrocie do kraju, podczas seansów, jakie spędził z panią Moniką

Żeromską, malującą jego portret. W ten sposób urodziła się ostatnia rzeźba Kapitana - „Pani Monika”.

Horoskop Kapitana mówił głównie o literaturze.

- Widać takie było moje przeznaczenie, a tym przeznaczeniem była Hala, która nie udzielając mi pozytywnej odpowiedzi sprawiła, że wyruszyłem na morze. Gdyby nie to, z pewnością zostałbym adwokatem w Wilnie i mógłbym spisać pitaval - kto wie, czy nie chętniej czytany niż te moje opowieści myszką tracące.

Wbrew temu, co mówił Kapitan, a i sam o tym wiedział, książki jego były chętnie czytane. Świadczyły o tym tysiące listów od czytelników. Księgarze życzyli sobie, aby w

górnjej części obwoluty widniały zawsze wyraźnie uwidocznione imiona i nazwisko autora, wówczas książki znikają z półek natychmiast. W czasach gdy oficjalna cena „Znaczy Kapitana” wynosiła sześćdziesiąt złotych, na giełdzie osiągała pięćset.

W dużym stopniu na popularność książek Karola Olgierda Borchardta wpływała ich atmosfera, tworzona przy zastosowaniu zasady „nie pomnażaj zła”, a przy tym nie bez znaczenia był jego subtelny, „dickensowski”, jak ktoś określił, a ja powiedziałabym „borchardtowski”, humor, nieodłączny też w życiu codziennym.

Kilka razy w roku Kapitan występował w pełnej gali, w mundurze: w Wigilię Bożego Narodzenia, pierwszego dnia Wielkanocy, 11 Listopada. Przyjmując gości czy podczas naszych „wyjść” z domu zakładał ciemny garnitur - czarny lub granatowy, białą koszulę i obowiązkowo czarny krawat. Innych krawatów w jego mieszkaniu nie było.

Kiedyś, bez żadnego oczywistego powodu, zobaczyłam już w drzwiach stojącego i witającego mnie Kapitana ubranego w mundur. Trochę mnie to zdenerwowało i zaniepokoiło, że jakąś ważną wizytę Kapitan właśnie zakończył albo oczekuje kogoś ważnego, co go bardzo męczyło. Kto mógł spowodować włożenie munduru, myślałam, wspinając się po schodach na górę. Kapitan, przewidując moje myśli, już od progu zaczął:

- Nic się nie stało. Wiesz, dlaczego jestem w mundurze?

- Pojęcia nie mam, chyba ktoś był albo będzie z wizytą?

- Nic podobnego. Przypomniałem sobie tylko powiastkę o abisyńskim generale, zwanym „rasa”, który przyszedł do miejscowego szamana i mówi: „Moja żona nie ma dla mnie należytego szacunku, jaki wiąże się z moją pozycją i stanowiskiem. Co mam robić?” Szaman na to: „A czy ty chodzisz przy niej w mundurze?” „Nie zawsze” - odpowiedział rasa. „No widzisz - szaman na to - tu leży przyczyna”.

Humor Kapitana zjednywał mu i czytelników, i przyjaciół.

Nie wiem, w jakim stopniu jest oryginalny „Wykład anatomii”, słyszany przeze mnie od Kapitana, przeważnie we fragmentach, ale warto chyba przedstawić go w całości:

Słowo „anatomia” powstało, gdy ojciec wchodząc do pokoju, w którym jego dwunastoletni syn badał swoją młodszą kuzynkę, powiedział: „A na tom ja przyszedł”.

Anatomia jest nauką o człowieku. Człowiek składa się z kościo-trupka, kadłubka, głowy i kończyn.

O kościotrupku lepiej nie mówić, bo jedna pani tak się przestraszyła, że nie mogła wrócić do siebie i... poszła do jednego pana. Zacznijmy od głowy, od której zaczyna się

człowiek. O niektórych ludziach, u których widać, że mają głowę, mówi się, że mają głowę i to jest zrozumiałe. U innych ludzi, pomimo że widać, iż mają głowę, mówi się, że nie mają głowy - i to jest niezrozumiałe. Głowa może być pusta, ale też może zastępować stodołę, gdy jest w niej siano i siewka, czasami groch z kapustą. U głupich do głowy uderza woda sodowa. W czasie wojny ludzie dzielą się na takich, którzy tracą głowę, i na takich, którzy nie wiedzą, gdzie ją położyć. Używa głowy wyłącznie do noszenia kapelusza 99 procent ludzi, a 1 procent do myślenia i wówczas, jeżeli ktoś zrobi coś niewłaściwego, to mówi: „Ja myślałem”.

Na szczycie głowy rosną włosy. Włosy bywają blond, czarne, ryże, siwe i łyse. Jeden włos siwy jest więcej wart niż dwa łyse. Włosy służą do strzyżenia, wrywania z rozpacz i do znajdowania w zupie.

Pod czołem umieszczone są oczy, ażeby można było odróżnić, gdzie głowa ma przód. Oczy bywają piwne, szare, niebieskie, zielone, kaprawe i zezowate. Czasami oczami się mierzy, strzela, a nawet rzuca. U kobiet oczy nazywają się gwiazdami, ale tylko u niektórych. Często się mówi, że oczy są zwierciadłem duszy. Jeżeli jest ciemno, to wtedy się mówi: „Choć oko wykol!” i wtedy wszystko w oczy kole.

Pod oczami umieszczony jest nos, za który człowiek daje się j wodzić. Jeżeli ktoś ma czerwony nos, to wtedy lubi wypić i jest alkoholikiem. Naukowo biorąc, jest to wpływ własności fizycz-nych na skłonności i upodobania.

U ludzi wielkich nos służy za schronienie dla much. Niekiedy! nos zastępuje inną część ciała. Mówi się wtedy: „Mam cię w nosie” lub: „Pocałuj mnie w nos”.

Nos może być dobry - ktoś ma dobrego nosa albo wcale go nie j ma i mówi się: „Nie ma nosa”.

Pod nosem rozlega się gęba czy inaczej mówiąc, buzia, która j rozdziera się od ucha do ucha. W buzi są zęby. Zęby bywają przednie, tylne, mleczne, słoniowe, czyli kły, i sztuczne. Sztucznych zębów nie należy nosić w tylnej kieszeni, by siadając nie ugryźć samego siebie. Zęby służą do zgrzytania lub do szczyrzenia. A jeżeli kto oddaje ząb za ząb, to znaczy że zgubił ząb mądrości.

W gębie obraca się język, który służy do pokazywania doktorom i wrogom. Językiem człowiek się podlizuje. Jeżeli ktoś ma piękny język, to pisze wiersze. W okolicach, gdzie nie ma młynów, mielą językami. Język trzeba trzymać za zębami nawet wtedy, jeżeli zębów się nie ma.

Uszy są przytwierdzone na stałe po obu stronach głowy. Są organem pomocniczym wzroku, gdy kupi się za duży kapelusz i nic nie widać. Uszy służą do ciągnięcia w młodszych klasach. Do ucha mówi się rzeczy, których mówić do czego innego jest nieprzyzwoicie.

Przechodząc do kadłubka, pomijamy szyję, jak zwykle przy myciu. Służy ona głównie do wieszania.

Kadłubek od frontu sianowi klatkę, zwaną piersiową, a od tyłu plecy. Wygodnie jest mieć plecy szerokie. W klatce bije serce, a żeby było weselej - kiszki grają marsza i wtedy serce bije w takt.

W kadłubku istnieje cały zakład gastronomiczny. Są tam płucka, śledziowa (żona śledzia), cymes nad cymes - wątróbka z cebulką, a także kiszka wchodowa i odchodowa, jest też zrobaczywiała kiszka z niewidomym robaczkiem.

Po bokach kadłubka wyrastają ręce. Czasami są to brudne łapy, które biorą łapówki lub łapią. Chociaż człowiek ma dwie dłonie, prosi o rękę. Przyjaciele mówią wtedy, że dotknęła go ręka losu. Toteż biorąc kobietę w ramiona, należy uważać, by nie wpaść jej w ręce. Odnóża służą do kopania. Zaczynają się w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Kończą się stopami. Przeważnie człowiek ma dwie stopy. Niektórzy mają szeroką stopę i inaczej nie umieją żyć. Nogi łatwo odróżnić. Jeżeli jest prawe kolano, to jest prawa noga, jeżeli lewe kolano, to jest lewa noga. Jeżeli nie ma kolana, to nie jest noga.

Człowiek używa wszystkich części swego człowieczeństwa, by związać koniec z końcem. Gdy z tego nic nie wychodzi, wówczas człowiek wychodzi z siebie i już nie wraca. Jest wtedy trup i jest skostniały. Takiego trzeba czym prędzej zakopać i wysłać na wieczny spoczynek. Raz na rok trzeba zakopanego odwiedzić i wtedy mówi się: „Jedziemy do Zakopanego”.

Ludzie chętnie przebywali w towarzystwie Kapitana. Później, gdy już nie miał sił, by „się wyrabiać”, jak mówił z oszmiańska, czasami twierdził: - Mój humor jest tylko wytworną formą rozpacz. - Wypowiadał te słowa z uśmiechem, ale była w nich pewna doza prawdy. Jego życie osobiste było smutne, niekiedy tragiczne. Szukał zapomnienia, opowiadając dowcipy lub tworząc humorystyczne powiedzonka czy sytuacje. Do końca najbardziej cenił poczucie humoru u siebie i u innych. A wszystko zaczęło się od Napoleona:

- W Bykowce u mojej babki Michasi dostałem do przejrzania „Wieczory Rodzinne”. Pod podobizną Napoleona przeczytałem głośno, w obecności licznie zebranych gości: NAPOLEON PODPARTY. (Miałem wówczas sześć lat). Wybuch śmiechu zgromadzonego towarzystwa zrobił na mnie olbrzymie wrażenie. Powiedziałem coś takiego, że nawet babunia śmiała się długo i głośno. Zrozumiałem, że zrobiłem wszystkim wielką przyjemność, ale czym? Od tej chwili starałem się już świadomie robić przyjemność innym, mówiąc coś

takiego, by wszyscy się śmiali.

Jego humor był bardzo subtelny, żadnych sprośności, żadnego prostactwa. Jeżeli frywolność, to bardzo delikatnie podana. Można się o tym przekonać, czytając książki Kapitana. Tę swoją umiejętność stosował w pracy pedagogicznej.

- Gdy zacząłem wyklądać, by nie być *baby sitters*, usiłowałem co kilkanaście minut wprowadzić trochę humoru.

Skutek był taki, że na jego wykłady przychodziła nadprogramowa liczba słuchaczy. Po sprawdzeniu raz tego faktu okazało się, że poza przyszłymi nawigatorami znaleźli się na wykładzie mechanicy. Na pytanie „dlaczego?” Kapitan dowiedział się: „Słyszeliśmy, że wykłady są straszne, ale jest bardzo wesoło. Chcieliśmy to sprawdzić”.

Chcąc się dowiedzieć, czy jego opowiadania zawierają dostateczną dawkę humoru, opowiadał je przy różnych okazjach i patrzył, jaka jest reakcja słuchaczy. Wysyłał je też czytelnikom zamiast listów i czekał na ocenę.

Początki swoich związków z pisarstwem wywodził Kapitan od redagowania szkolnego tygodnika pod nazwą „Róg”, w czasie gdy w wieku jedenastu lat pozostał bez jakiegokolwiek opieki. Był najmłodszym wiekiem w trzeciej klasie Gimnazjum Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego. Starsi koledzy zainteresowali się jego losem. Któregoś dnia narysował na tablicy orła i orzeł ten sprawił, że został ilustratorem powstającego piśmiennictwa. Później doszły obowiązki „młodszego redaktora”. W domu posiadał niemało literatury i artykuły matki, co pozwoliło mu prowadzić rubrykę pt. „Łaszka synowa”. Zarówno matka, jak i później syn starali się wykazać, w jaki to sposób Litwini od czasów Mendoga podczas najazdów na Polskę zagarniali jeńców, w tym także „Łaszki synowe”, tak romantycznie przedstawione przez Mickiewicza.

Była też „działalność teatralna”. Wkrótce po wyjściu matki z niemieckiego więzienia zmarł dziadek Karola. W dniu pogrzebu jego dziadka odbył się drugi pogrzeb - rodziców trzech panien Leszczyńskich: Marii, Janki i Zosi. Dziewczynki pozostały bez środków do życia. Matka Karola zabrała je do swego domu. Brat panien Leszczyńskich, aktor, wyjeżdżając do Rosji, zostawił dużo rekwizytów teatralnych, wśród nich mundury ułanów polskich. Wszystkie rekwizyty, wraz z dziewczynkami, trafiły do domu pani Borchardt-Czyżowej. Korzystając z tak wspaniałej okazji, Karol ułożył scenariusz dramatu pt. „Książę Józef pod Raszynem”. Było to kilka scen nazwanych przez autora aktami. Aktorami byli koledzy-żywicieli, którzy pomagali Karolowi przetrwać trudny okres bez matki.

- Wierzyłem, że książę Józef mi wybaczy pozbawienie go konia i danie karabinu do ręki, gdy idąc z odsieczą w dniu 19 kwietnia 1809 roku prowadził pod Falentami wśród gradu

kuł batalion pierwszego pułku.

Bohaterska walka żołnierza polskiego z trzykrotnie silniejszymi Austriakami została przez niego wybrana za temat głównie z tego powodu, że w tej bitwie można było obejść się bez koni.

Karol Olgierd Borchardt dosyć humorystycznie traktował te swoje pierwsze próby działalności twórczej, chociaż wtedy, gdy to robił, podchodził do nich z całą powagą i zapałem. Opisał je w opowiadaniu „Narodziny Szamana Morskiego”.

W starszych klasach gimnazjalnych, gdy zaczął pracować nad doskonaleniem swego charakteru, jego ideałem, zwłaszcza w zakresie zwięzłości wypowiedzi, stał się Cezar wraz ze słynnym „*veni, vidi, vici*”. To co stosował w praktyce, określał jako wado-zaletę, a polegała ona na maksymalnym streszczaniu swych wypowiedzi. Nauczyciel języka polskiego akurat uznawał to za zaletę i stawiał ocenę bardzo dobrą, inni przeważnie obniżali stopień za „telegraficzny” styl.

Ten styl jednak pozostał mu na zawsze. Stąd też się wzięła tak charakterystyczna dla Borcharda forma krótkich opowiadań.

Debiutem wydawniczym z prawdziwego zdarzenia był podręcznik „Astronawigacja”, wydany w roku 1954 przez Wydawnictwa Komunikacyjne.

Zanim doszło do wydania tej książki, zanim powstała książka życia Kapitana, „Znaczy Kapitan”, przeżył katastrofę na motorowcu „Piłsudski”. Przeżycie, jakiego doznał wówczas, miało ogromny wpływ na dalsze koleje jego życia. Utrata zdrowia fizycznego to jeszcze nie wszystko. Powiedział mi kiedyś: - Miałem połamany cały system nerwowy. Wyobraź sobie żywego człowieka zamkniętego w tonącej metalowej trumnie, w której powoli będzie coraz mniej powietrza, wypieranego przez wodę, i znikąd pomocy. Mogłem liczyć tylko na siłę swych mięśni.

Nadludzka siła, nadludzki wysiłek, spotęgowany strachem, by nie doszło do tak straszliwego konania, sprawił, że uwolnił się z zablokowanej kabiny. - Gdy znalazłem się na pokładzie, nic nie było dla mnie straszne.

Pomagał kapitanowi Stankiewiczowi w ratowaniu ludzi pozostałych na statku, spuszczał łódzie. Wreszcie sam zdecydował się opuścić statek, zsuwając się po drągu zwisającym za burtą. Kapitan Stankiewicz wołał tratwę. Drąg dla Borcharda okazał się nieszczęśliwy, przygniótł go do burty, powodując liczne kontuzje, niemniej jednak Borchardt zachował życie, które Stankiewicz utracił.

Kapitan nieczęsto wspominał ten moment, dlatego posłużę się fragmentem z jego książki:

W chwili gdy już zamierzałem stanąć na relingu i skoczyć, dojrzałem zwisającą przyporę - drąg służący do mocowania szalupy na żurawikach, by ją zabezpieczyć od silnych przechyłów w czasie dużej fali. Teraz jeden koniec przypory zamocowany był u góry, drugi zwisał pionowo za burką. Zdecydowałem się zsunąć po nim do wody, by uniknąć nurkowania.

Szalupa była w pobliżu, sądziłem, że do niej z łatwością dopłynę mimo dużej fali. Wszystko na razie wydawało się proste i łatwe. Należało się tylko pośpieszyć, by dostać się do łodzi, zanim statek się przewróci. Za chwilę byłem już na zewnątrz burty, obejmując drąg nogami. Naraz poczułem, że przygniata mnie on do burty i miażdży. Tracąc przytomność uczułem, że lecę w dół. Coś uderzyło mnie w głowę. Zrobiło się cicho i ciemno.

Właśnie najbliższa łódź, rzucona przez falę na drąg, spowodowała przygnięcie Kapitana, który spadł prosto na jej dziób, uderzając głową o burkę. W następstwie tego uderzenia powstał prawdopodobnie skrzep, który powodował szalone bóle głowy.

- Czuję się, jak gdyby w moją głowę wbijano rozżarzony metalowy pręt. Nie mogę się opanować, krzychałem z bólu.

W szpitalu zastosowano leczenie snem. W następstwie tego po przebudzeniu nie mogłem spać w ogóle. Po trzech bezsennych miesiącach opuścił szpital i jak już była mowa, wyjechał w góry Szkocji i tam w naturalnych warunkach - po dalszych ośmiu bezsennych miesiącach - udało mu się zasnąć, przy zastosowaniu zasad hatha-jogi.

- Ślubowanie złożone na grobie kapitana Mamerta Stankiewicza, że napiszę o nim książkę, nie dawało mi spokoju. O pisaniu książek nie miałem pojęcia. Hołdowałem niezłomie zasadzie, że największą niemoralnością jest wykonywanie zawodu, którego się nie umie. Musiałem nauczyć się sztuki pisania książek. Moja zwięzłość wyrażania myśli tym razem była niewątpliwie moją największą wadą. W pokoju, w którym mieszkałem w Szkocji, znalazłem samouczek języka włoskiego z bezcenną dla mnie wskazówką, że pisząc należy tak dobrać wyrazy, aby było ładnie. Innych zasad dotyczących „pisarstwa” nie było.

W 1941 roku podejmuje Kapitan pracę próbną - na niby pisze książkę o kapitanie Eustazym Borkowskim, o którym krążyło po mesach najwięcej mniej lub bardziej prawdopodobnych wieści. Nazywa kapitana Borkowskiego „Szamanem Morskim” i taki tytuł nadaje książce, mającej zawierać siedemnaście opowiadań. - Nie zamierzając wydawać tej książki, nie liczyłem się ze ścisłością. Jednego byłem pewien: czego bym nie wymyślił i tak

nie prześcignę kapitana Borkowskiego w jego pomysłach na zdobywanie popularności. Przypominał mi on zegarek ze znanego dowcipu: „Popatrz pan, ten zegarek bez nakręcania chodzi trzydzieści sześć godzin!” „Co pan powiesz? To ile on by chodził, gdyby go nakręcić?”

Jedną z najbardziej uciążliwych funkcji kapitana statku jest podobno bawienie pasażerów. Dobrze, jeśli jest mgła, bo wtedy kapitan cały czas musi stać na mostku. Ale w innym wypadku pasażerowie są bardzo wymagający - wszystko musi być nadzwyczajne, odmienne od tego, co spotyka się na lądzie. Szaman był w tej samej sytuacji, co inni kapitanowie, ale on musiał wszystkich przewyższać swoimi umiejętnościami zadziwiania i czarowania pasażerów, jako że innych umiejętności kapitańskich nie posiadał. W kabinie panował nad sytuacją bez większego trudu i kierował rozmowę na tory, które sam wybrał. Na pokładzie było inaczej. Tyle rzeczy rzucało się tutaj w oczy, ale przedmioty codziennego użytku nie stwarzały jakichś niezwykłości. Łódź, wiosło są znane każdemu. Sztuka nawigowania, owszem, ciekawa, ale zbyt zawiła, jak na towarzyskie rozmowy. Czasami jednak zdarzała się nadzwyczajna, wymarzona dla Szamana okazja.

Gdy doborowe towarzystwo wraz z kapitanem przechodziło na mostek, po wyczerpaniu wszystkich wiadomości o sekstantach, kompasach, pelengatorach, zjawiała się mewa, a działo się to w czasie, gdy statek od paru dni był w drodze, po minięciu ostatniego lądu. Pasażerowie zdziwieni, skąd na oceanie, tak daleko od brzegu, raptem wziął się ptak. Czy to może mewa?

Szaman gonił ptaka jakiś czas oczami, a potem mówił: „To już nie jest mewa”.

Skąd Szaman doszedł do tego opowiadania, nigdy nikt z nas nie zapytał, ale za każdym razem, gdy trafiła się samotna mewa, Szaman mówił: „Proszę przypatrzeć się temu ptakowi. To była mewa. Mewa jak każda inna. Ale ta mewa przeżyła w swoim życiu wielką tragedię, przeżyła zawód miłosny. Jest to ptak, którego serce i życie zostało na zawsze złamane. Ten ptak już nigdy nie powróci do kraju rodzinnego i nie zobaczy swoich współtowarzyszy. Na zawsze pozostanie nad głębinami oceanów i nigdy nawet nie zapragnie wrócić do stron rodzinnych. Będzie wśród największych sztormów krążyć nad wodami. Ten ptak nie jest już mewą. To jest BURIEWIESTNIK, zwiastujący burzę. Proszę popatrzeć na jego smutny wzrok. Unika on wszelkiej styczności z innymi mewami i pozostaje sam ze swoją boleścią”.

Przeważnie wszyscy pasażerowie byli przejęci tą opowieścią i starali się wyczytać ze

wzroku „buriewiestnika” choć część tragedii. Oficerowie zawsze mieli nadzieję, że nadleci druga mewa i że obie będą zgodnie wypatrywać odpadków za statkiem, obracając w niwecz całą opowieść. Ale Szaman miał zawsze szczęście, druga mewa nigdy nie nadleciała. A może to on miał rację?

Były przedziwne zdarzenia i z innymi kapitanami. A dlaczego to było możliwe, kapitan Borchardt tak mi to wyjaśniał:

- Absolwenci Szkoły Morskiej w Tczewie nie posiadali jeszcze dyplomów uprawniających do obejmowania stanowisk kapitanów czy starszych mechaników. Takie dyplomy mieli marynarze z marynarek państw zaborczych. Niektórzy byli już w tym wieku, że zdążyli zapomnieć, czego się nauczyli, i często po dłuższej bezczynności na lądzie.

Zdarzyła się na przykład taka historia, że jeden z kapitanów zabłądził w nocy we własnej kabinie, złapał gwizdek i tak długo gwizdał, aż ktoś usłyszał i zapalił mu lampę. Inny, bardzo zasłużony stary kapitan w obcym porcie wrócił od agenta na statek z wiadomością, że należy go przeholować na inne miejsce postoju na rzece. Na mostku nie było ani jednego oficera, wszyscy byli na obiedzie. Kapitan poprosił usłużnych ludzi na brzegu, by zrzucili cumy, zadzwonił do maszyny. Siedzący przy obiedzie w mesie oficerowie raptem zauważyli, że ich statek jest niesiony przez prąd na środek rzeki. Na pytanie, co się dzieje, sternik odpowiedział, że kapitan kazał wziąć prawo na burtę. Na to oficer: „Przecież wiesz, że kapitana nie wolno słuchać!”

Wobec takich historii „misteria” Szamana były tolerowane, a on sam cieszył się wielką popularnością. Gdyby jednak kapitan Mamert Stankiewicz czy Zdenko Knoetgen zaczęli zachowywać się w podobny sposób, z pewnością bardzo szybko znaleźliby się w szpitalu wariatów.

O ile pisanie o kapitanie Borkowskim nie nastęczało szczególnych trudności, o tyle książka „Znaczący Kapitan” była już sprawą poważną. Pisał ją kapitan Borchardt głównie z myślą o młodzieży, która interesuje się morzeniem czy nawet zamierza podjąć pracę na morzu. Książka miała wskazywać cechy charakteru, jakimi musi się wykazać oficer marynarki handlowej. Była pomyślana jako rodzaj morskiego *savoir vivre*'u.

- Mając opisywać życie na morzu, przypomniałem sobie historyjkę o dwóch dziewczynkach w odwiedzinach u cioci. Obie wybiegły do ogrodu, skąd jedna wróciła z wiadomością, że ogródek jest wstrętny, bo wszystkie róże mają kolce. Druga przybiegła zachwycona, mówiąc, że ogródek jest pełen pięknych róż. Stąd mój wniosek był taki, że nie

ma róż bez kolców, ale jeszcze nikt nie hodował róż dla cierni, więc opisując życie na morzu, starałem się nie rozwódzić nad cierniami. Inaczej mówiąc, starałem się nie pomnażać zła. Okazało się, że róże z mojej książki podobały się nie tylko młodzieży.

Drugi czynnik to wykonanie. Tego nauczył mnie nasz żaglowiec szkolny i to starałem się zastosować przy pisaniu książki i przekazać młodzieży. Zwierzęta i rośliny zadziwiają nas mądrością natury. Żaglowiec, twór ludzki, budowany zgodnie z prawami natury, w niczym mądrościom tym nie ustępuje. Zaoblenia dziobu czy rufy, wysokości masztów, sposoby mocowania poszycia i osprzętu stanowią o przystosowaniu do życia na morzu i decydują o bezpieczeństwie żaglowca i ludzi. Na naszym żaglowcu „Lwów” mogliśmy się przekonać, że niebezpieczeństwo na morzu ma swą istotną wartość i stanowi jego największy urok, że człowiek, który nie chce korzystać z cudzego doświadczenia, sam odkrywa na żaglowcu rządzące wszystkim prawa natury. Dowiaduje się, że natura nie zna ani kary, ani nagrody, tylko konsekwencje i że każdą czynność, którą wykonujemy dobrowolnie, należy wykonywać jak najlepiej, odpowiednio do własnych sił fizycznych i duchowych. Dopiero tak przygotowani możemy napotkać niebezpieczeństwo z całą świadomością, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Jeśli zaniedbamy tego, narażamy na zniszczenie samych siebie, nie mówiąc już o innych i o statku.

Pisząc książkę „Znaczy Kapitan” starałem się trzymać tych wszystkich zasad. Myślę, że powodzenie swej książki zawdzięczam z jednej strony Mahariszemu, który nauczył mnie myśleć tylko dobrze, a z drugiej strony żaglomistrzowi Janowi Leszczyńskiemu. Po dziś dzień, gdy cokolwiek robię, słyszę głos żaglomistrza: „WAJU nikt nie będzie pytał, wiele czasu to było robione, tylko kto to robił!”

Kapitan zawsze uważał, że swoimi książkami zabiera czas czytelnikowi, rzecz najbardziej cenną, bo kawałek ludzkiego życia. W zamian starał się dać coś o konkretnej wartości - uśmiech, wzruszenie czy wreszcie jakąś wiedzę.

- Przy pisaniu lub czytaniu w myślach wytwarza się obraz. Człowiek z odrazą ogląda rzeczy nieprzyjemne, wulgarne, cuchnące. Toteż coś odrzuca mnie od tego typu literatury czy w ogóle twórczości. W swoich opowiadaniach korzystam z doświadczeń filmowych - tworzę często zmieniające się obrazy, aby nie nużyć czytelnika zbyt wolnym tempem. Nigdy nie byłem gawędziarzem, jak czasami określają mnie niektórzy dziennikarze. Gawędziarz mówi, co wie, a ja zawsze wiem, co mówię i piszę. Nie umiem rozbudowywać tekstów i nie staram się o to, by zwiększyć liczbę arkuszy autorskich. W swoim życiu nie napisałem ani jednego słowa dla pieniędzy. Gdy podpisywałem umowę na pierwsze wydanie „Znaczy Kapitana”, powiedziałem, że będzie to trzydzieści siedem opowiadań, a każde z nich będzie się kończyło

zdaniem ze słowem „znaczy”. Nie chciano mi wierzyć, że to możliwe.

Oceniając dorobek literacki Kapitana zapewne każdy krytyk, a przede wszystkim czytelnik postawi na pierwszym miejscu „Znaczy Kapitana”. Niewątpliwie jest to bestseller morski naszych czasów. W historii dotychczasowej marynistyki polskiej żadna inna książka nie zdobyła tylu głosów czytelniczych we wszystkich konkursach. Dwie pozostałe książki są następstwem tej pierwszej. „Krażownik spod Somosierry” stanowi próbę odpowiedzi na moc listów, jakie nadeszły od czytelników do autora „Znaczy Kapitana”, i jest jak gdyby drugą częścią „Znaczy Kapitana”, ale nie cieszy się już taką popularnością, pomimo że zawiera znacznie więcej materiału dokumentacyjnego. A może właśnie dlatego.

„Szaman Morski”, zaczęty jako pierwszy, ukazał się na rynku księgarskim dopiero w początkach 1986 roku. Odłożył go Kapitan na rzecz innych książek, a potem ciągnął się też proces wydawniczy, aż kiedyś Kapitan zadzwonił i zapytał, czy ma to być wydanie pośmiertne. Doczekał się jednak wydrukowanej książki. Otrzymał ją na cztery miesiące przed swoją śmiercią. Podpisał kilka setek egzemplarzy. Z przerażeniem patrzyłam, jak niektóre osoby przynosiły całe paki prosto z księgarni „Róża Wiatrów” z prośbą o dedykacje dla swoich znajomych i przyjaciół. Kapitan był już wówczas bardzo słaby, jednakże nikomu nie odmówił. A ludzie potrafią być bezwzględni. Sam rozesłał około stu egzemplarzy przyjaciołom rozsianym po całym świecie.

Zostawił dwie niedokończone książki: „Kolebka nawigatorów” i „Od czerwonej do białej róży”. Ta pierwsza była prawie gotowa, poza kilkoma opowiadaniem wymagającymi poprawek czy tylko naszkicowanymi. Całość jednak można było zebrać i oddać do druku, choćby bez kilku opowiadań, które miały jedynie tytuły na przygotowanych teczkach.

Inaczej rzecz się przedstawiała z książką „Od czerwonej do białej róży”. Powstał zaledwie niewielki jej fragment. Książka była pomyślana jako rodzaj autobiografii, obejmującej okres wczesnego dzieciństwa i młodości autora, i miała stanowić pomnik dla Matki. Część pierwsza, zatytułowana „Matecznik”, miała obejmować kilkanaście opowiadań z okresu przed pójściem do szkoły. Część druga, uzasadniająca tytuł książki, miała dotyczyć okresu nauki w szkole. Karol po zdaniu egzaminu wstępnego do gimnazjum przyniósł swej ciotce, która go przygotowała do tego egzaminu, bukiet czerwonych róż (róża czerwona symbolizuje gorące uczucia). Zamykać książkę miała matura w Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Wilnie. Herbem Mickiewiczów był Poraj z białą różą. Na uroczystość pożegnania i wręczania świadectw maturalnych wszyscy maturzyści zjawili się z przypiętymi do kłap marynarek białymi różami. Przy odbieraniu maturalnych świadectw każdy z nich odpinał białą różę - symbol szlachetności uczuć i wtajemniczenia - i składał przed dyrektorem

gimnazjum, Bronisławem Zapaśnikiem. Te plany literackie Kapitana nie zostały spełnione. Zdążył napisać tylko kilka opowiadań, nie stanowiących dostatecznego materiału na samodzielną książkę. Wydając je, uzupełnione moimi wspomnieniami, opatruję przynależnym im tytułem, nawiązującym do autorskiego: „Pod czerwoną różą”. Opowiadania te bowiem dotyczą głównie okresu wczesnego dzieciństwa i unosi się nad nimi atmosfera ciepła domowego i uczucia.

Rozdział VI. Ostatnie podróże

Kapitan lubił podróżować. Nie ma w tym stwierdzeniu niczego odkrywczego. Gdyby nie lubił, nie wyruszałby z Wilna na morza i oceany i rzeczywiście zostałby adwokatem, a nie nawigatorem. Ja jednak mówię o ostatnich latach życia Kapitana, kiedy to wiele wysiłku kosztowało go samo ubieranie się, a cóż mówić o schodzeniu po tych straszliwie stromych schodach i jeszcze trudniejszym powrocie po nich. Samochód, oczywiście, nie zastąpi konia, jednakże pozwala na bliski kontakt z przyrodą.

U Kapitana wszystko musiało grać i nie było tłumaczenia, że coś się zepsuło. Słowa „zapomniałam” zabronił mi nawet używać. Jego zdaniem powinnam wozić ze sobą cały warsztat na wypadek, gdyby coś nieoczekiwanego zdarzyło się w drodze. Nie pomagało tłumaczenie, że i tak nie jestem w stanie wykonać pewnych prac sama. Prawdę mówiąc, żadnych napraw nie umiem wykonać przy samochodzie, mogę jedynie zmienić koło, sprawdzić, czy jest w baku benzyna, czy akumulator jest dobrze podłączony i naładowany. I to jest cała moja wiedza techniczna, dotycząca samochodu.

Kiedyś jednak nawet z benzyną był problem. Jechaliśmy piękną obwodnicą trójmiejską, gdy raptem samochód stanął. Nie pomogło zagłądanie pod maskę, pchanie. Byłam zrozpaczona. Na szczęście zatrzymał się kierowca „Żuka”. Zaczął kolejno sprawdzać wszystkie możliwe słabe punkty samochodu. Bezskutecznie. Zdecydowaliśmy, że trzeba samochód holować do najbliższej stacji obsługi, w której pracował syn pomagającego nam kierowcy. Na miejscu pan Stanisław Klasa, jak nam się później przedstawił, zdecydował, że spróbuje przelać trochę benzyny ze swojego „Żuka”. Decyzja okazała się słuszna, w moim samochodzie popsuł się wskaźnik paliwa. Tym razem Kapitan był wyrozumiały, no bo jeśli jakiś przyrząd źle wskazuje, to już trudno. - Ale pamiętaj, że zawsze trzeba wszystko sprawdzić samemu, bo technika jest zawodna.

Kiedyś było znacznie gorzej. Samochód był sprawny, ale... W okresie stanu wojennego, w listopadzie 1982 roku, pojechaliśmy do Gdańska, do dentysty. Nie asystowałam Kapitanowi w gabinecie, czuł się tego dnia dość dobrze. Siedziałam zatem w samochodzie i czekałam, kiedy Kapitan wróci. Z nudów wyciągnęłam swoje dokumenty, instrukcję samochodową, dowód rejestracyjny. Naraz, jak grom z jasnego nieba, poraził mnie zapis odczytany w dowodzie rejestracyjnym. Mój samochód nie miał już ważnej rejestracji. Nie wiem, dlaczego ciągle myślałam, że termin upływa z końcem roku, podczas gdy

faktycznie już ponad miesiąc temu należało zgłosić się do przeglądu technicznego. Szybko jednak uspokoiliam się - skoro jeżdżę spokojnie bez ważnej rejestracji od 15 października, to cóż za problem wrócić w ciągu dwudziestu minut z Gdańska do Gdyni?

Kapitan zjawił się zadowolony, że już „po wszystkim” i nawet miał ochotę jechać do domu okrężną drogą, tj. przez obwodnicę. Na szczęście sam zrezygnował z tej myśli, gdy przypomniał sobie, jakie to teraz są kłopoty z nabyciem benzyny. Wracaliśmy prosto na Kamienną Górę. Prowadziłam samochód trochę napięta, ale Kapitan tego nie zauważył, zajęty opowiadaniem swoich wrażeń z nielubianej wizyty.

Raptem niebieskoszaro zrobiło się przed moimi oczami. We Wrzeszczu na alei Zwycięstwa liczny patrol ZOMO. To jeszcze nie powód do zdenerwowania, tyle samochodów jedzie tą samą trasą. Mój „maluch” jest przecież taki niepozorny. A jednak... Jechałam z lewej strony trójpasmowej jezdni. Właśnie tutaj stało kilku „zomowców”, kierujących wybrane samochody do kontroli, jaka była przeprowadzana przez innych milicjantów po prawej stronie jezdni, kilkadziesiąt metrów dalej w kierunku Gdyni. Z dużej grupy samochodów, jadących jednocześnie ze mną, wybrano właśnie mnie. Nie wierząc samej sobie, gestami porozumiałam się z milicjantem dokonującym tego wyboru, czy rzeczywiście o mnie chodzi. Odpowiedź, również na migi, nie pozostawiała cienia wątpliwości. Gdybym nie znała zapisu w dowodzie rejestracyjnym, podjechałabym jak owieczka na rzeź. Gdyby to była milicja trójmiejska, mogłabym liczyć, że znają Kapitana i po udzieleniu „napomnienia” puszczą wolno, jak to już miało czasami miejsce przy innych moich wykroczeniach drogowych. Ale ZOMO? Wokół milicjantów dokonujących kontroli panował pewien rozgardiasz. Kilka samochodów stało, inne musiały je wymijać. Skrzyłem w prawo, jak pokazał mi mój milicjant-wyborca, ale gdy tylko znalazłam się na pasie środkowym, podjęłam decyzję: jadę naprzód!

Kapitan nie zorientował się w sytuacji. To już dużo. Jadę spokojnie, by zarówno Kapitan, jak i żaden z milicjantów nie zauważył jakiegokolwiek nerwowości w moim działaniu, i nasłuchuję, czy nie wyje syrena w pościgu za mną. Jak na złość, czerwone światła przy Operze. Patrzę w lusterko wsteczne. Nic się nie dzieje. Chyba się udało. W ułamku sekundy wyobrażam sobie, jak wyglądałaby scena pościgu za mną, z Kapitanem siedzącym w samochodzie i nie zdającym sobie sprawy z niczego. Jestem cała mokra.

W Oliwie, gdy już byłam pewna, że nikt mnie nie ściga, Kapitan raptem zapytał:

- Czego właściwie chciał od ciebie ten milicjant?

- Kazał mi zjechać na prawy pas jezdni - nie skłamałam, ale nie dopowiedziałam do końca. Cały następny dzień spędziłam w stacji obsługi, mając dużo czasu na przemyślenie, czy Kapitan rzeczywiście nie wiedział, o co chodzi.

Najczęściej i najbliżej wyjeżdżaliśmy do źródła „Święta Studnia” we Wrzeszczu po „wodę życia”. Kapitan nie pił wody wodociągowej. Dwa-trzy razy w miesiącu jechaliśmy przeto po wodę źródlaną i przywoziliśmy pewien zapas do domu Kapitana. Kawa robiona na tej wodzie miała cudowny smak.

Były także wyjazdy do „Bajki” za Żukowem i do sopockich lasów. Ale zdarzały się wspaniałe eskapady, takie jak ta do Wirt w lipcu 1984 roku.

Samochód w drodze sprawował się dobrze. W Orłowie tylko wstąpiliśmy po panią Miłę Wiśniowską i jej wnuczkę. Pani Miła pływała z Kapitanem na „Piłsudskim”. By zwiedzić świat, została stewardesą. Była siostrą kolegi Kapitana ze Szkoły Morskiej w Tczewie, kapitana Eustachego Wiśniewskiego. Całą trasę Kapitan przebył w doskonałym humorze i zabawiał nas opowiadaniem. Cudowna, lipcowa pogoda przypominała Kapitanowi jego wyjazdy na nieliczne urlopy. Większość wakacji spędzał w szpitalach. Gdy jednak udało mu się być zdrowym i nie pracować, najchętniej wolny czas spędzał na Suwalszczyźnie (wiadomo, krajobraz przypominający Oszmiańszczyznę, a i ludzie życzliwsi, serdeczniejsi) albo na Mazurach i Warmii. Jeszcze na 1982 rok planowaliśmy wspólny wyjazd na Suwalszczyznę, ale sytuacja w kraju i załamanie psychiczne Kapitana z tym związane pokrzyżowały te plany.

Przy okazji tej wycieczki do Wirt usłyszałam opowiadanie, którego Kapitan nie zdążył napisać. Później, już w domu, usłyszałam je po raz drugi, notując, co było możliwe do uchwycenia z „borchardtowskiego” stylu. Już po jego odejściu znalazłam pamiętnik, a w nim dokładnie wyrysowaną trasę wycieczki, a także zapisane niektóre myśli i wrażenia.

A oto owo opowiadanie, któremu można nadać tytuł „Impresja warmińska”:

Na początku lat pięćdziesiątych otrzymałem od kolegi szkolnego propozycję, by wziąć udział w wycieczce kajakowej po Warmii. Usłyszane z ust Olgierda słowo „Warmia” wywołało w mojej wyobraźni taki obraz: Napoleon I w Tylży ofiarowuje Augustie Ludwice, królowej pruskiej, różę - z okazji zawarcia pokoju. Gdy królowa spytała: „Czy tylko różę?”, łaskawy ofiarodawca dodał: „Wraz z Warmią”.

W moim domu, jako spuścizna po przodku żyjącym w epoce kultu Napoleona, którego ja zupełnie nie rozumiałem, wisiał na ścianie obrazek przedstawiający tę scenę. Róża to polskie ziemie darowane przez Napoleona Niemcom, jak kwiat z własnego ogrodu. Jej kolce wbiły mi się głęboko w serce, wznecając niechęć do cesarza.

O samej Warmii wiedziałem tylko tyle, że jest to pojezierze, i od pierwszej chwili

gotów byłem ruszyć na jej poznanie, jako że dalszy ciąg zaproszenia mówił, iż nie potrzebuję się o nic martwić, najwyżej przygotować rzeczy osobistego użytku. O wszystko zadbali dwaj siostrzeńcy Olgierda - jeden artysta malarz z Krakowa, drugi skończony filozof z Warszawy. „Zapasy na podróż, kajaki, plan podróży opracowany. Przyjeżdż i jedź”.

Zgodnie ze szczegółowym planem, na jednej stacyjce kolega kazał nam jak najszybciej „wyrzucić się” z pociągu. Gdy pociąg odjechał, już bez nas, ujrzałem, że znajdujemy się na mocno zalesionym wzgórzu, z którego w promieniu kilku kilometrów nie widać było żadnej wody, prócz tej, jaka lała się z nieba. Byliśmy w sercu Warmii, bez tak niezbędnej wody dla poruszania się kajakiem. Nie było wyjścia, trzeba było szukać najbliższego jeziora. Potem już mogliśmy przebierać w jeziorach, jak w płatkach róży.

Po paru tygodniach włóczęgi zatrzymaliśmy się na ostatni nocleg w gospodarstwie wiejskim położonym tuż nad jeziorem Szelał Wielki. Jak w sielance: „już wieczór letni miał się ku końcowi”, gdy wkroczyliśmy na podwórko miniaturowego gospodarstwa. Przed gankiem domostwa zwrócił naszą uwagę malutki kotek o postawie kangura. Stał na tylnych łapkach, podpierając się ogonem. Dokoła niego unosił się rój komarów, które kotek zjadał z widocznym zadowoleniem. Po chwili na scenę weszły gęsi i kilka z nich ruszyło w kierunku kotka, wyciągając szyję i sycząc. Ten ani drgnął, zdawało się, że nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Ale gdy tylko głowa jednej z gęsi znalazła się w zasięgu jego łapek, natychmiast zdzielił ją wspianym uderzeniem boksem, które znawcy sklasyfikowali jako „sierpowy”. Rozdawał te „sierpowe” na lewo i na prawo. Każda uderzona gęś podnosiła głowę i z głośnym gęganiem, jak gdyby obwieszczając swe uznanie dla niezwykłego boksera, odbiegała na bok, aż wreszcie całe stado, obdzielone po głowie, zaczęło zgodnie chwalić zwycięzcę. Staliśmy oczarowani, gorzko żałując, że nie mamy aparatu fotograficznego, nie mówiąc już o filmowym.

Kotek znów zaczął łapać komary, ale wkrótce się znudził i ruszył w kierunku psiej budy. Dopiero teraz zauważyliśmy ogromnego białego owczarka górskiego, wygrzewającego się w ostatnich promieniach słońca. Na widok kotka owczarek zjeżył sierść i skomląc usiłował jak najszybciej schować się do budy. Zdążył tylko do połowy wsunąć się do niej głową, gdy dopadł go kotek i wjechał do budy na psiej łopatce. Owczarek na przemian piszczał, jęczał i warczał. W budzie kipiało. Niestety, co działo się tam naprawdę, nie wiedzieliśmy. Po chwili kotek wyskoczył z budy z niewinną miną i ruszył w kierunku słomy rozciągniętej na środku podwórza, wokół której bawiło się stado prosiąt.

Byliśmy tak zachwyceni kotkiem, że zupełnie zapomnieliśmy o szykowaniu noclegu i znoszeniu rzeczy znad jeziora. Tymczasem kotek umieścił się w środku gromadki prosiąt

bawiących się na kępcze suchej słomy. Leżał z wypiętym brzuszkiem, opierając się na jednej z przednich łapek. Obserwował prosiaczki. One natychmiast go otoczyły i wówczas kotek dał coś w rodzaju najlepszego koncertu organowego. Pazurkami wolnej łapki chwycił prosiaczki tuż za płaszczyznę ryjka, a one głośno kwiczały, ale nie uciekały od kotka. Kotek zmienił się w wirtuoza, wybierającego coraz to inny ryjek. Coraz szybciej zmieniał ryjki i widać ze zmienną siłą wpuszczał w nie pazurki, bo kwiczenie nie było jednakowe.

Wyglądało na to, że dla gospodarzy zabawy kotka nie były niczym nadzwyczajnym, ale my mogliśmy przysiąc, że ten koncert był zaaranżowany specjalnie dla nas. Słuchalibyśmy go jeszcze nie wiem jak długo, tylko na dziedziniec wczłapały krowy i „artyści” rozbiegli się po kątach.

Po kolacji zasnęliśmy w stodole, zakopani w pachnącym warmińskim sianie. Wstałem przed świtem, nie budząc nikogo ze współtowarzyszy. Poszedłem nad jezioro, by podziwiać grę kolorów na niebie przed wschodem słońca.

Na odwrotnej stronie znalezionej przeze mnie rysunku, przedstawiającego wschodzące słońce nad jeziorem, zapisał Kapitan następujący obraz słowny:

Na lekko zaróżowionym pasie nieba na wschodzie jarzyły się - błękitna Wenus i złoty Jowisz, w tym roku o kilka zaledwie stopni oddalone od siebie. Całe niebo migotało, zmieniając natężenie światła. W lustrze jeziora odbijała się druga taka sama para gwiazd, zasnutą lekkim oparem. Te cztery planety wydawały się być zawieszzone w przestrzeni, w której nie było jeziora ani jego brzegów. Prawie niewyczuwalny powiew wiatru ruszył mgły znad jeziora, a one zbiły się w jedną skupioną masę, przybierając wygląd żaglowca unoszącego się powolutku w górę. Wkrótce można było rozróżnić maszty, napędlone wiatrem żagle i na purpurze nieba wyraźnie żeglował bark. Nagle niebieskie żagle zaczęły pękać i drzeć się w strzępy. Okręt wchodził w szafirową, śmiertelną dla siebie mieliznę. Strzaskane niewidzialną siłą maszty prysnęły. Z pokładu walczącego z zagładą okrętu wystrzelono sygnał wzywający pomocy - raketę, którą była spadająca gwiazda. Kadłub żaglowca, pozbawiony masztów i żagli, zanurzał się coraz bardziej w ciemnym szafirze nieba, aż zniknął. Niebo zaczęło płonąć krwawym, a potem złotym blaskiem, który pochłonął najpierw złotego Jowisza, a potem błękitną Wenus. Złota purpura na niebie słała się na kształt drogi na powitanie słońca. Pierwsze promienie odbiły się w wodzie, ścieląc złotą siatkę na

seledynowej powierzchni, a złota kula coraz szybciej wznosiła się ku górze. I znów promienie zniżyły się do wody, tworząc wyraźnie ścieżkę wiodącą aż do brzegu, nad którym zawisło słońce. Zaczął się jeden z najpiękniejszych poranków.

I znów odtwarzam ze swojej pamięci słowa Kapitana:

Wróciłem pełen zachwytu dla ziemi warmińskiej i niechęci do Napoleona za odarcie Polski z tak wspaniałego klejnotu. Zasiadliśmy do śniadania, podczas którego gospodyni raczyła nas specjałami swego gospodarstwa. Na pięknie zastawionym stole między innymi daniami stała salaterka świeżo zerwanej z ogrodu sałaty. Właśnie mieliśmy wziąć się do jedzenia, gdy liść sałaty, grubo polanej śmietaną, zaczął się unosić ku górze. Jak gdyby ożył. Nie mogliśmy zrozumieć, co się stało - prawdopodobnie zewnątrz gęstej śmietany wydobywa się powietrze. Z zainteresowaniem obserwowaliśmy to dziwne zjawisko. Bąbel śmietany znieruchomiał i naraz z bezkształtnego pagórka wysunęły się dwie małe łapki oblane śmietaną. Zbliżyły się do najwyższej części pagórka i powoli otarły się o nią. Spod łapek wyjrzało dwoje ciekawych oczu malutkiej zielonej żabki.

W Wirtach nic podobnego nam się nie przydarzyło. Za to były inne wrażenia. Inżynier Pozorski, już na emeryturze, nadal mieszkał we wspaniałym starym domu, stanowiącym własność leśnictwa Wirty, i żył sprawami lasu. Wnętrze domostwa o swoistym klimacie zdobiły myśliwskie trofea gospodarza. Na drewnianej podłodze leżały skóry dzika. Taka sama skóra dzika, podarunek sprzed lat pana Pozorskiego, znajdowała się w sypialni Kapitana, chociaż on sam nie uznawał polowania dla przyjemności. Twierdził, że ludzie, którzy dla rozrywki zabijają zwierzęta i łowią ryby, nie mogą być szczęśliwi.

Po wspaniałym wiejskim śniadaniu zwiedzamy park dendrologiczny i otoczenie domu. Drzewa, krzewy, sadzone przez pana Pozorskiego, dzisiaj były już pięknymi okazami.

Obiad („Bardzo skromny, bo dzisiaj piątek” - tłumaczyła się pani domu), choć jarski, okazał się bardzo smaczny. Właśnie jarskie jedzenie Kapitan lubił najbardziej.

Popołudnie minęło nam na wspominaniu starych dziejów. Tym razem wspominał nie tylko Kapitan, ale i Pozorski, który mógł zaimponować pracą przy zbieraniu materiałów do historii swego rodu. A że świat jest bardzo mały, okazało się, że z Wirtami był związany

krewny Kapitana po kądzieli (mąż ciotki - Haliny, z domu Wańkowiczówny), malarz Czesław Wierusz-Kowalski, potomek znanego malarza Alfreda, autora scen rodzajowych, związanego przez dużą część życia z Monachium. Obrazy Czesława, goszczącego tu często, zdobiły ściany salonu w Wirtach: główki córek gospodarzy wykonane techniką gwaszu oraz olejny pejzaż wirtowski. I znów trafiła się okazja do wspomnień.

Potem jeszcze podwieczorek z kawą i pyszności piernikiem. Jedząc go Kapitan stwierdził:

- Wspaniały, ale ma jedną wadę.

Gospodyni popatrzyła nieco zmieszana.

- Jest za smaczny - dopowiedział z uśmiechem.

Poprosiłam panią Janinę o przepis, a potem już często piekłam na życzenie Kapitana. Największy urok tego ciasta, poza smakiem, polega na tym, że można przygotować zwielokrotnioną porcję, włożyć do lodówki i piec, kiedy nadarzy się okazja. Zatem nawet niespodziewani goście nie zaskoczą gospodyni. W ciągu pół godziny ciasto jest gotowe. Pełna nazwa tego ciasta brzmi: staropolski świąteczny piernik wirtowski. W dawnych czasach panna wychodząca za mąż otrzymywała od matki, wraz z innymi prezentami, znaczną ilość dojrzewającego miesiącami ciasta.

Przytaczam przepis na ten piernik:

Składniki: 0,5 kg prawdziwego miodu (najlepiej wirtowskiego), 2 szklanki cukru, 25 dkg smalcu lub masła, 1 kg mąki pszennej, 3 całe jaja, 3 łyżeczki sody oczyszczonej, 0,5 szklanki zimnego mleka, przyprawy piernikowe własnego zestawu (utłuczony cynamon, goździki, gałka muskatołowa, ewentualnie imbir, w sumie jakieś 5-6 łyżeczek, np. 2 cynamonu, 2 goździków, 1 gałki, 1 imbiru) lub ze sklepu 2-3 torebki, nie zawierające proszku do pieczenia.

Miód, cukier i tłuszcz powoli podgrzewać, niemal do zagotowania. Następnie masę ochłodzić i dodawać stopniowo, wyrabiając ciasto ręką, mąkę (z mego doświadczenia wiem, że mąki trzeba dodać trochę więcej), jaja, sodę rozpuszczoną w mleku oraz przyprawy. Można też dać posiekane orzechy, skórkę pomarańczową, rodzynki.

Bardzo starannie wyrobione ciasto, po nadaniu mu kształtu kuli, wkładamy do emaliowanego lub kamionkowego garnka, przykrywamy lnianą ściereczką i wstawiamy w chłodne miejsce (na dół lodówki lub np. do piwnicy), by dojrzewało przynajmniej dwa tygodnie. Można piernik po upieczeniu przekładać powidłami, masą czekoladową lub orzechową, dekorować lukrem czy polewą czekoladową, dając na wierzch migdały.

Kapitan z dezaprobatą patrzył, jak zaledwie zwilżając usta próbowałam smaku

głogowego wina własnej produkcji. Przecież prowadzę samochód! Sam wypił kieliszek, chociaż na ogół nie pił alkoholu. Dzisiaj był w szczególnym nastroju.

Gdy wreszcie pod wieczór wracamy do domu, zaopatrzeni w „prawdziwy wirtowski miód”, rzekł: - Szkoda, że inżynier Pozorski nie trzyma koni.

Tak, konie to była wielka miłość Kapitana. Już ojczym, czy to za podpowiedzią matki, czy sam z siebie, zaskarbił uczucie małego Karola, kiedy na początku znajomości i starania się o rękę matki zaprowadził go do swego przyjaciela i tam posadził na wspaniałego białego ogiera.

W gimnazjum koledzy, którzy nie jeździli konno, byli traktowani jak powietrze. Jeszcze w wieku siedemdziesięciu lat dosiadł konia podczas realizacji filmu. Koń Timur był dopiero dwa tygodnie pod siodłem. Dyrektor „Wyścigów Konnych” w Sopocie z przerażeniem patrzył, co się za chwilę wydarzy, a Kapitan podszedł do konia, coś do niego poszeptał, poklepał po pysku i porozumieli się. Jeszcze przez kilka lat Kapitan marzył o kupieniu Timura. Pomógł nawet swoim znajomym kupić na Kaszubach i urządzić „rancho” nad rzeką Radunią z myślą, że będzie tam trzymał Timura. „Radunino”, owszem, powstało, ale przyjaźń się skończyła. A gdy mnie poznał i dowiedział się, że mieszkam we własnym domu w Orłowie, zaraz zapytał: - Czy znalazłoby się tam jakieś pomieszczenie dla konia?

Marzenia tego nie zrealizował, podobnie jak innego - pielgrzymki konnej do Częstochowy. Zaprzętało go jeszcze za życia matki. Panie miały jechać w wypożyczonych powozach, panowie na koniach. Była spora grupa chętnych, wyznaczono już trasę i przeprowadzono pierwsze rozmowy w stadninach w sprawie wynajęcia koni i powozów.

Za godło swego ekslibrisu wybrał także konia - Pegaza, skrzydlate dziecko Posejdona. W starożytności w Pegazie widziano okiełznaną falę morską i była ona symbolem umiejętności nawigowania. Kapitan posiadał tę umiejętność w najwyższym stopniu. Żeglarzom, którzy uważają, że morze jest „okrutne”, że fala za wysoka, że sztorm czy wiatr, tłumaczył, nawiązując do pierwszej części łacińskiego przysłowia - *Navigare necesse est...* (Żeglowanie jest rzeczą konieczną...): „Człowieku, jeśli nie umiesz żeglować, nie pchaj się na morze!”

A sztukę nawigacji przez życie ujął w regule:

Do konia nie podchodź z tyłu,

Do krowy - z przodu,

Do osła - z żadnej strony.

Chyba z tego powodu nie podejmował żadnej polemiki w sprawie własnej osoby i twórczości, jeśli wchodziła w grę zawiść lub głupota. Znajomi, koledzy dzwonili, pisali,

dlatego się nie odezwie, przecież to zupełnie inaczej było, niż pisze taki to a taki literat czy kapitan żeglugi „ogromnej” (czasami Kapitan tak określał niektórych kapitanów, którym się przewróciło w głowach z powodu funkcji „pierwszego po Bogu”). A Kapitan milczał. Pomagała mu z pewnością joga oraz doświadczenie życiowe. Niekiedy cytował słowa Konstantego Kowalskiego, komendanta „Daru Pomorza” z lat 1938-1939: „Nie ruszaj durnia, sam sobie głowę rozbije”.

Rozdział VII. Siódme Niebo

Gdy po raz pierwszy ktoś miał przyjść z wizytą do Kapitana, podczas uzgadniającej to rozmowy telefonicznej, mógł usłyszeć:

- Wchodzi się do mnie jak na strych. Mieszkam bowiem na dachu - dosłownie i nie, bo na dachu willi, która nazywa się Orion. A co można zbudować nad konstelacją Oriona? Tylko i wyłącznie SIÓDME NIEBO, w którym ja właśnie mieszkam.

- Jak to się stało, że zamieszkał pan w tym mieszkaniu? - zapytałam kiedyś Kapitana.

- Zawsze myślałem, żeby zamieszkać gdzieś wysoko, skąd widział bym morze i miasto. Przed wojną mieszkalem w kilku miejscach: między innymi w tak zwanym „Pekinie”, na końcu Świętojańskiej, kiedy jako asystent, bez prawa do nadgodzin, zarabiałem sto dwadzieścia złotych miesięcznie. Potem zamieszkałem przy Śląskiej, a ostatnio przed wojną Karolina kupiła mieszkanie przy alei Piłsudskiego, obecnie Czołgistów, gdzie teraz mieści się wydział Uniwersytetu Gdańskiego. Może jestem właścicielem tego mieszkania, nie wiem, w końcu było zakupione za moje pieniądze.

Gdynia była po Warszawie najdroższym miastem w Polsce. Z wszystkich stron kraju ruszył do Gdyni „element” poszukujący nowego Klondike, gdzie złoto leży na ulicy, tylko brać. Sam, widząc mężczyznę z dwoma nieletnimi synami, wybierającego chleb z pojemników na śmieci, zapytałem, po co przyjechał. „Słyszałem, że tysiące można tu zarobić przy budowie »szklanych domów«”. Nie było jeszcze floty ani portu, a były setki Bezrobotnych „marynarzy”, domagających się pracy. „Zaimportowana” przez Karolinę pomoc domowa na widok w kuchni pieca i płyty węglowej natychmiast wróciła do Radomia, przedtem zaś rzekła: „Powiedzieli, że tutaj grzeje się elektrycznością i węgla nosić nie będę”.

Tak zwani „nowogdynianie”, związani stałą pracą i sercem z Gdynią, interesowali się przebiegiem budowy miasta: nowymi budynkami, nabrzeżami, ulicami, zasadzanymi przy nich drzewami - każdym przejawem gdyńskiego życia. W deszczowe dni pod wiaduktem kolejowym na końcu ulicy 10 Lutego zbierała się zawsze ogromna kałuża. Nie do przebycia dla kobiet w pantofelkach. Mężczyźni w gumowych butach brali na swe barki gdynianki - bez różnicy wieku i urody - i przenosili przez tę przeszkodę. Należało to do codziennego stylu życia Gdyni. Najbardziej zaciekawiały sprawy objęte tajemnicą wojskową. Komentowano na przykład powszechnie, jakie działo zostało zakupione i gdzie ustawione, na którym okręcie wojennym.

Tuż przed wojną będąc na lądzie, najchętniej siadywałem na tarasie kawiarni „Morskie Oko” i obserwowałem morze, redę i manewrowanie „Daru Pomorza”, jeśli sam nie byłem na „Darze”. I teraz widzę stale przez moje okno „Dar Pomorza”, czasami „Dar Drugi”, jeśli zawinie do Gdyni. Za co właśnie cenię swoje mieszkanie najbardziej.

Mój powrót w listopadzie 1949 roku był straszny. Wracałem tylko ze względu na matkę. Ojczym pisał do mnie, że jeśli chcę jeszcze matkę zobaczyć, to muszę się spieszyć, bo stan jej zdrowia jest zły. Wysłałem telegram, że wracam. Spodziewałem się najgorszego, słysząc wieści, jakie napływały z Polski. „Pojedziesz na białe niedźwiedzie” - ostrzegano mnie.

Płynąłem na „Batorym” jako drugi pierwszy oficer. Kapitanem był Tadzio Meissner. Razem ze mną wracała do kraju grupa farmerów - reemigrantów z Kanady. Sprzedali ziemię w Kanadzie, by rozpocząć życie w nowej Polsce. Oni też nie byli wolni od obaw.

Przybywszy do Gdyni, wraz z „Batorym” pożegnałem komfort. Po załatwieniu formalności celno-paszportowych wsadzono nas do samochodu ciężarowego, wywożąc w nieznanym kierunku. Moja wyobraźnia wciąż pracowała - dokąd mogą nas wywieźć brudnym samochodem, jak nie do więzienia? Za wszelką cenę muszę przedtem zobaczyć matkę. Przywieźli do jakiegoś baraku. Okazało się, że to Urząd Repatriacyjny. Usiedliśmy przy stołach, na których stały metalowe miski. Podano zupę. Jakiś człowiek zaprosił do jedzenia słowami: „Czym chata bogata”. Trudno było cokolwiek przełknąć.

Dostałem bezpłatny bilet do Wrocławia, gdzie moja matka pracowała jako intendent w Szkole Prawników. Na razie tam się zameldowałem, ale starałem się o pracę i zezwolenie na zamieszkanie w Gdyni.

Początkowo miałem zamieszkać u pani Kańskiej, ale nie otrzymałem na to zgody. Wymagano zezwolenia na mieszkanie w strefie nadgranicznej, a ponieważ Karolina i Danusia zostały w Anglii - różnie to mogło wyglądać. Przyjechałem do zupełnie innego kraju niż ten, który opuściłem na „Darze Pomorza” w sierpniu 1939 roku. Inny kraj, inni ludzie.

Wkrótce po przyjeździe spotkałem żonę kapitana Gorazdowskiego. Podeszła do mnie i nie zwracając uwagi na przechodniów, zapytała: „Czy pan także należy do tej organizacji POW?”

„Ależ, pani Nino, co też pani mówi? Nie należę do żadnej organizacji wojskowej!” - (Za samo podejrzenie o taką przynależność można było przesiedzieć parę lat w więzieniu albo nawet stracić życie).

Nina sprostowała mi natychmiast: „O jakiej organizacji wojskowej pan mówi? Ja myślę o organizacji »Po coś ośle wrócić«”.

Mało brakowało, a prawdopodobnie z powodu mego urodzenia w Moskwie byłbym wywieziony do Rosji. Urzędniczka, u której załatwiałem zezwolenie na zameldowanie w Gdyni powiedziała mi, że jestem na liście osób przewidzianych do wyjazdu do Rosji i jeżeli tylko mogę, powinienem udokumentować, że przed wojną byłem zameldowany na stałe w Gdyni.

Pobiegłem wówczas do komandora (niestety, nie zapamiętałem nazwiska), który zdołał uratować kartotekę wyrzuconą przez Niemców. Dał mi odpowiednie zaświadczenie i na tym się skończyło. Widocznie ówczesne polskie władze rozumowały podobnie jak Anglik, który załatwiał sprawy paszportowe przed moim wyjazdem z Anglii do Nowego Jorku, gdy miałem objąć stanowisko drugiego oficera nawigacyjnego na „Sheridanie”. Usłyszawszy miejsce urodzenia Moskwa, już sam dalej wpisał narodowość: Rosjanin.

„Nie jestem Rosjaninem, jestem Polakiem” - zaprotestowałem.

„Urodziłeś się w Moskwie, to jesteś Rosjaninem” - oznajmił.

„Czy twoim zdaniem wróbel, jeśli urodzi się w stajni, jest koniem?”

„Ale ty nie jesteś wróblem, tylko człowiekiem i urodziłeś się w Moskwie, a Moskwa jest w Rosji”. - Zadziwił mnie swoją znajomością geografii.

„Czy wobec tego ty gdybyś urodził się w murzyńskiej wiosce, bo twoi rodzice znaleźli się w Afryce, byłbyś Murzynem?” - Dopiero ten argument trafił do przekonania Anglikowi i wpisał do mego paszportu narodowość polską.

Niedługo po swoim powrocie, jeszcze w listopadzie, szedłem kiedyś wieczorem po Świętojańskiej. Jesienny wiatr i deszcz nie poprawiały mego nastroju, gdy naraz zaczął mnie jakiś mężczyzna. „Karol, co u ciebie słyhać?”

Był to mój pierwszy „uczeń”, Franuś. Podczas okupacji Wilna przez Niemców w czasie pierwszej wojny światowej udzielałem mu korepetycji. Zapłatę stanowiła kwaterka koziego mleka. W tamtych czasach głodu to mleko dla nas z matulką było prawdziwym rarytasem. Opowiedziałem Franusiowi, jakie mam kłopoty, a on na to:

„Chodź do mnie, mieszkam w domu kapitana Rusieckiego na Kamiennej Górze. Jeśli ci się spodoba, będziesz mógł tam zamieszkać, na razie ze mną, ale ja niedługo wyjeżdżam, bo zmarła moja żona i nie chcę pozostać w tym mieszkaniu”.

Poszedłem, zobaczyłem i zostałem.

Przydział na mieszkanie załatwił mi sam „Buba” Klonowiecki. Ty na pewno nie wiesz, kto to taki, ale w owe czasy Buba trzął całą Gdynią, a był moim uczniem na jednym z kursów. Niewątpliwie wówczas skorzystałem z protekcji, i to w sposób dla mnie nieoczekiwany. Pomimo że kurs, na który uczęszczał Buba, już się zakończył, pozostawałem

z nim nadal w dobrych stosunkach. Wprawdzie światopoglądy nasze różniły się w sposób zasadniczy, ale tych kwestii nie ruszaliśmy. Przeżyć Buby i jego opowieści o działaniach w AL w czasie wojny słuchałem ze zgrozą, był to jednak człowiek niezwykle interesujący, szczery wobec mnie i bezpośredni.

Zostałem zaproszony na jego wesele, podczas którego, jak zwykle w czasie wszelkich spotkań towarzyskich, bawiłem gości. Szczególnie dowcipy polityczne wzbudzały duże zainteresowanie i zadowolenie zebranych. Jeden z gości, bawiący się w moim towarzystwie doskonale i przez całą noc mnie adorujący, w którymś momencie zapytał Buba: „Czy on ma gdzie mieszkać?” Buba na to: „Nie wiem, pewnie gdzieś mieszka”.

A gdy się dowiedział, że mieszkam, ale bez przydziału (dom wprawdzie prywatny, przejęty jednak przez zarząd państwa), polecił Bubi: „Jutro załatwisz mu przydział”.

Byłem zdziwiony, kto Bubi wydaje tego rodzaju polecenia. Okazało się, że to była ważna osobistość z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nie pozostało mi nic innego, jak dalej bawić gości dowcipami politycznymi.

Najbardziej cieszę się z faktu, że nikt mi tego mieszkania nie zazdrości.

- Myli się pan, Kapitanie, ja panu go zazdrościć - rzekłam.

Mieszkanie to w istocie miało jakiś niepowtarzalny klimat, tworzył jednak ten klimat sam gospodarz. Po jego odejściu mieszkanie stało się smutne, szare, puste i niewygodne. Woda dochodziła na to trzecie piętro albo i nie. Raczej nie. W kuchni i w łazience były zainstalowane dwa metalowe pojemniki, które zbierały wodę, kiedy się pojawiała. Wystarczyło, że któryś z sąsiadów zamieszkujących niższe piętro odkręcił kran w swoim mieszkaniu, a już u Kapitana wody brakowało.

- Teraz to jest dobrze, ale na początku musiałem wiadrami nosić wodę z piwnicy, i to w nocy, bo w dzień i w piwnicy było sucho.

Skończyło się to dwiema operacjami przepukliny.

- Gdy po raz pierwszy miała przyjechać do mnie Danusia, przyszedł jakiś urzędnik sprawdzić, w jakich warunkach mieszkam. Zlustrował mieszkanie i powiada: „Trzeba przyznać, że mieszka pan nędznie!”

„Panie - powiedziałem mu i wskazałem widok z okna - proszę popatrzeć, jestem najszcześliwszym i najbogatszym mieszkańcem Gdyni. Takiego widoku nie ma nikt poza mną w tym mieście. Z moich okien roztacza się trzysta sześćdziesiąt stopni najwspanialszej panoramy. Z okna letniego wschodu słońca widzę cały Hel i Zatokę Pucką. Z okna zimowego Wschodu - Gdańsk i Zatokę Gdańską, z okna letniego zachodu oglądam Kępę Oksywską, a w nocy światła wielkiego miasta. Z okna zimowego zachodu mam widok na wzgórze porośnięte

lasami, zmieniające barwę w zależności od pory roku. Czy uważa pan, że ludzie mieszkający w komfortowo urządzonych termitierach są szczęśliwsi ode mnie?”

Piec, umieszczony przy drzwiach prowadzących do łazienki, w ścianie pomiędzy sypialnią a salonikiem, z paleniskiem od strony sypialni, ogrzewał oba pokoje.

- Ten piec też ma swoją historię. Najpierw była tu „koza”, która oczywiście nie mogła ogrzać całego pomieszczenia, szczególnie gdy przyszły jesienne sztormy, a później zimowe wiatry. Na środku sypialni ponadto stała syrena alarmowa. Poszedłem kiedyś do szefa UB i mówię:

„Panie, tak dalej żyć nie mogę. Albo ja z matką, albo syrena”. Patrzy on na mnie jak na wariata. Gdy mu wreszcie wytłumaczyłem, roześmiał się i kazał zbadać sprawę. Syrenę przeniesiono na jeden z sąsiednich budynków. Przyszedł zdun, przyniósł materiał, narzędzia, stertę gliny rozłożył na podłodze i poszedł. Nie ma go i nie ma. Widzę, że matulka nie może już ścierpieć tego bałaganu. „Wtajemniczona” sąsiadka, znająca życie, uświadomiła mnie: „Musi pan zapłacić od siebie, inaczej to mu się nie kalkuluje stawiać tego pieca”.

Teraz mieszkanie było ciepłe, przytulne, ściany wyłożone matami wietnamskimi, a pod nimi jeszcze styropianem. W czasie mrozów ogień był utrzymywany przez dwadzieścia cztery godziny. „Wolę tropikalne upały niż chłód” - mówił Kapitan.

Na piecu w glinianym dzbanie stały wileńskie palmy. Tę wyróżniającą się żywą barwą otrzymał Kapitan w kwietniu ostatniego roku swego życia od pani Barbary Wachowicz, która podczas każdego pobytu w Sopocie nie omieszkała złożyć wizyty w „Siódmym Niebie”.

25 marca 1986 roku były 81 urodziny Kapitana. Nie tak huczne jak rok wcześniej, ale kilkanaście osób pamiętało. Kwiaty od prezydenta Gdyni, życzenia od rektora Wyższej Szkoły Morskiej, Ligi Morskiej, delegacji młodzieży. Przykro było Kapitanowi, że nie mógł podejmować gości. Tym razem nie pogarszał wcale stanu swego zdrowia, był naprawdę słaby i zmęczony. Szczególnie męczyło go ubieranie: - Nie mogę podejmować gości jak król żebraków. Wystarczy, że w ubiegłym roku przyjąłem tak wysłannika generała Jaruzelskiego.

Trudno, nikt nie zapowiedział tej wizyty, a miała miejsce po wszystkich ceremoniach osiemdziesięciolecia, kiedy Kapitan został już sam w domu i spokojnie „wydychał” trudy tego dnia, których było sporo, bo włączyła się i telewizja. Całe mieszkanie tonęło w kwiatkach. Na szczęście kwiaty nie przesłoniły sufitu z imponująco rozlaną burą plamą z powodu nieszczelności dachu. Gość był spostrzegawczy. Już po kilku dniach dach został zreperowany. Plama jednak nie znikła. - Jestem przesądny - mówił Kapitan. - Nie mogę remontować tego mieszkania. Na statku, gdy tylko starszy oficer zaczął remontować swoją kabinę, w krótkim czasie był przenoszony na inny statek. A gdzie ja mogę się przenieść, jak nie na Witomino?

Miał Kapitan na myśli cmentarz witomiński, gdzie było zarezerwowane dla niego miejsce obok pochowanej tam matki - kwatera S-839 A przy Czarnej Drodze.

Coraz bardziej zmniejszała się liczba osób, z którymi Kapitan chciał utrzymywać kontakty, i nawet z tymi najmiłszymi jego sercu kontakty były coraz rzadsze. Jedynie Tadeusz Olechnowicz miał prawo przyjść o każdej porze, był przecież tak rzadko w kraju, a tyle mieli sobie obaj kapitanowie do powiedzenia o starych i nowych podróżach „Daru”. „Dar Drugi” w równym stopniu interesował Kapitana jak „Dar Pomorza”. Nie nazwał nigdy nowego szkolnego żaglowca „Darem Młodzieży”. - Jaki to dar młodzieży, chyba dla młodzieży. Po pierwsze, nieprawda, bo młodzież tylko w niewielkim stopniu sfinansowała jego budowę, a poza tym w słowie „dar” kryje się gest isticie królewski, a nie grosiki zebrane wśród młodzieży.

Kapitan Duda był równie mile widziany w „Siódmym Niebie”. Będąc rektorem Wyższej Szkoły Morskiej w poprzednich kadencjach, bardzo wiele zrobił dla zachowania tradycji szkolnictwa morskiego i jego rozwoju. Zorganizował na przykład zjazd absolwentów z okazji sześć-dziesięciolecia Szkoły.

Kapitan Borchartt ciągle wierzył, że Gdynia wystawi pomnik swemu założycielowi, kontradmirałowi Kazimierzowi Porębskiemu. A któż mógł lepiej te sprawy poprowadzić i zorganizować, jak nie kapitan-profesor Daniel Duda? Sam Kapitan nie miał już na to siły, chciał jedynie ukończyć „Kolebkę nawigatorów”, która miała być swoistym pomnikiem dla admirała. Budowę rzeczywistego pomnika zostawił w rękach młodszego kolegi i ucznia.

Czasami wychodziliśmy na spacer po Kamiennej Górze. Ostatni raz w końcu października 1985 roku. Była piękna, słoneczna pogoda. Jak zwykle wiele osób się zatrzymywało, by zamienić kilka słów z Kapitanem.

- Lekarz zalecił mi spacer, więc wychodzę, ale jest mi już bardzo trudno i robię to wbrew samemu sobie, wyłącznie przez rozum.

Idziemy powoli. Mijane drzewa, krzewy, domy wywołują wspomnienia. - Gdy się tu sprowadziłem, Kamienna Góra była pusta. Tych wszystkich domów jeszcze nie było. Na tym placu, gdzie teraz jest parking, jakiś ogrodnik uprawiał ziemię, a my wszyscy zaopatrywaliśmy się w świeże warzywa, ale komuś to przeszkadzało i szybko kazano ogrodnikowi zlikwidować interes. Tutaj, gdzie obecnie jest taka piękna ulica Siemiradzkiego, była nie zabudowana przestrzeń, po której hulały psy i wrony. Nazwałem ten teren „psim polem”. Gdyby nie brak czasu, godzinami można byłoby oglądać nękanie psów przez wrony. Urozmaicały sobie życie doprowadzaniem psów do kompletnego wyczerpania. A wyglądało to tak: Wrona siadała w bliskiej odległości od psa, czego pies nie wytrzymał i rzucał się na

nią, a ona odlatywała tylko na kilka kroków. Pies znów zrywał się, pełen nadziei, i znów jego wypad okazał się bezowocny. Po pół godzinie takiej zabawy umęczony pies, skamlący, znów podrywał się z wywalonym jęzorem, by pochwycić wronę, która go prowokowała, udając zmęczenie i powłócząc skrzydłami po ziemi. Gdy pies kładł się i nie dawał już oznak zainteresowania ani nawet życia, wrona odlatywała, a czasem czekała, aż pies odpocznie, by zabawę rozpocząć od nowa. Obecnie teren pokrył się willami i „psie pole” przestało istnieć. Ulicę zabudowali z jednej strony szewcy, a z drugiej „tajwańczycy” (marynarze, którzy otrzymali odszkodowanie za czas przetrzymywania ich wraz ze statkiem na Tajwanie).

Ulica Mickiewicza też całkowicie straciła swój dawny charakter. Kiedyś nic się tutaj nie działo bez stałej kontroli „krążowników szos”, czyli krążącej po niej dziatwy, wychowywanej w atmosferze trzeciomajowej, „vivat wszystkie stany”, bez cienia gradacji z powodu pochodzenia czy pracy rodziców. Działwa ta do wszystkich przedmiotów nieożywionych stosowała nieopatrnie rzucone przez wieszczka hasło: „Łam, czego rozum nie złamię”. Było to zresztą pochodną zasady stosowanej przez rodziców: „Obojętne, czym się bawią dzieci, byle ich nie było w domu”, jak napisał Kapitan w opowiadaniu „Zmierch Zorro”, zamieszczonym w którejś z trójmiejskich gazet pod pseudonimem Olgierd Narwid ze względu na sąsiadów. Dzisiaj tamte dzieci mają już własne potomstwo, które wychowują w większej dyscyplinie, niż sami byli chowani. Doświadczenie zdobyte przez lata spędzone na ulicy pogłębiło ich wiedzę pedagogiczną, a może tylko zwiększony ruch uliczny, liczne wycieczki zdążające do miejsca, skąd roztacza się najpiękniejszy widok na miasto i port, przesunęły działwę na zaplecza domów, gdzie już nie jest tak widoczna?

Idziemy wolno, podtrzymuję Kapitana. Szczególnie ciężko jest iść po schodach. Moglibyśmy nie schodzić w dół, ale Kapitan chce być bliżej zieleni, a nie spacerować po betonie, jakim wylany jest plac przed „Panoramą”.

- Kiedyś, gdy tylko wybudowali tę kawiarnię, byłem tutaj na spacerze. Patrę, a na drzwiach wiszą jakieś zdjęcia, przedstawiające roznegliżowaną panienkę w różnych pozach, odsłaniającą to i owo, ale najważniejsze przykryte. Zastanowiłem się, kto tu przychodzi w nocy i ile to kosztuje, aby obejrzeć w świetle jupiterów rozbierającą się panią. Idę dalej, patrę, a na trawniku leży golusienka „nie krępująca się” pani. Wszyscy mogą ją oglądać w pełni słońca, bez zbędnych fatalaszków i w dodatku za darmo. Obok córeczka tej pani skacze przez skakankę. Bogactwo epoki, pomyślałem. Mój dziadunio zdziwiłby się niepomieranie, widząc taki obrazek. Wystarczy zresztą popatrzeć na dzisiejszą ulicę. Gdyby ludzie z mojej epoki zobaczyli, jak współcześni chodzą ubrani, wymalowani, uczesani, pomyśleliby, że to wszystko pensjonariusze z domu wariatów.

U podnóża Kamiennej Góry pracownicy Zieleni Miejskiej wykonują jakieś prace.

- Ciekawe, co oni tam robią? - zastanawia się Kapitan.

- Zobaczymy na wiosnę, co tam wyrośnie - mówię.

- Ja już nie zobaczę - słyszę w odpowiedzi.

Nie podtrzymuję tego tematu, oboje go unikamy. Ja wierzę, że Kapitan będzie żył długo. Jego matka przeżyła przecież prawie dziewięćdziesiąt siedem lat, a on jest taki do niej podobny. On czasami mówi, że chciałby już odejść, lecz boi się tego momentu. - Umrzeć musimy wszyscy, to jedyne, co mamy zagwarantowane w naszym życiu, tylko nie wiemy kiedy i jak. Chciałbym jeszcze skończyć te książki. Szkoda, żeby tyle mojej pracy poszło na marne.

To prawda, że jest coraz słabszy, chociaż na zewnątrz czasami nie pokazuje tego i nawet traktuje rzecz z humorem. Ubiegłej zimy, gdy podjechałam samochodem pod kiosk „Ruchu”, wyszedł także z samochodu i zapytał znajomego kioskarza:

- Czy widział pan orchideę na śniegu?

Kiedy kioskarz, zaciekawiony, wysadził głowę przez okienko, Kapitan powiedział: - Proszę spojrzeć na mnie. To ja jestem tą orchideą.

Całą zimę nie wychodzimy na spacer. W końcu stycznia 1986 roku, gdy śniegi nieco stopniały, wyjeżdżamy z wizytą do dentysty. Pani Katarzyna Urbanowicz-Chudzińska jest bardzo wyrozumiała dla swego pacjenta.

- Nigdy nie bałam się dentysty. Nie wiem, co teraz się ze mną dzieje, ale przeżywam to strasznie. Starość jest okropna. Kiedyś wizyta u dentysty była dla mnie igraszką. Gdy pływałem na Linii Palestyńskiej, jeden z kolegów za nic na świecie nie chciał wyrwać zęba, a było to konieczne. W Konstancy poszedłem z nim do dentysty i aby go uspokoić, pierwszy usiadłem na fotelu dentystycznym. O zęby zawsze dbałem, więc tym razem dentystka nic nie miała do roboty u mnie, ale pokazałem jej swój „zab strzygi”. Jest to dość rzadko występujący zab dodatkowy, który wyrasta wprost z podniebienia nad innymi zębami. W Polsce nikt nie chciał mi tego zęba usunąć. Jedna z dentystek proponowała spiłowanie, ale nie zgodziłem się. Istnieje zabobon, że kto usunie „zab strzygi”, wkrótce umrze. W Rumunii widać nie znano tego zabobonu i dentystka wyrwała mi zab.

Po kilkunastu dniach znów znalazłem się w Konstancy. Idąc ulicą, przy której mieścił się gabinet dentystyczny, bardzo się zdenerwowałem, bo na drzwiach domu przeczytałem klepsydrę informującą o zgonie dentystki.

Zimą 1985/86 świat zmniejszył się jeszcze bardziej. Teraz pozostało już tylko trzydzieści metrów „Siódmego Nieba” i widok z siedmiu okien. Telewizor od kilku lat stał

zamknięty w szafie. Nie było mowy o jego naprawieniu. - Złodzieja, bandyty nie wpuszczę do domu. Dlaczego mam się godzić na kradzież swego czasu?

Wołał radio, czasopisma, książki. Z beletrystyki jedynie „Potop” potrafił pochłonąć go całkowicie i znał go prawie na pamięć. Z innych książek interesowała go tylko literatura faktu, biografie. Wieczorami „do poduszki” czytał zawsze kilka stron „National Geographic”, rezygnując o tej porze z innych lektur, by się nie denerwować.

- Leżąc w łóżku wędruję w czasie i przestrzeni w najdalsze zakątki świata.

Na drugi dzień jeszcze raz wracał do tych samych numerów w mojej obecności i relacjonował mi co ciekawsze artykuły.

Od Danusi listy przychodziły bardzo rzadko - dwa, trzy w roku. Za to co tydzień telefonowała i często pisała pani Krystyna Nachtlicht-Szwykowska, córka wuja Mieczysława Raczkiewicza. - Jedynie Krysia łączy mnie jeszcze z minioną epoką. Była uroczym dzieckiem, kiedy ja byłem uczniem Szkoły Morskiej. Ciągłe molestowałem ciotkę Anię, by mi Kysię oddała.

Przypomniał Kapitan pani Krystynie dawne dzieje w „Bajeczce”, jaką jej przesłał na imieniny 13 marca 1980 roku. Zawarty w niej dowcip z żabką jest wzięty z Awerczenki, pisarza rosyjskiego, którego Kapitan wysoko cenił za jego poczucie humoru.

Mój marynarski mundur ucznia Szkoły Morskiej cieszył się wielkim powodzeniem u Krysi, czteroletniej córki mojego wuja. Któregoś wieczoru u wujostwa, jak w piosence: Panienczka, kiedy była mała, miała latek ledwie pięć, O dziewiątej iść już spać musiała, choć się bawić miała chęć. Dąsa się i płacze mała dama, lecz to nie pomaga jej, Na dobranoc ją całuje mama i do córki rzecze swej: Panienczka niech nie odpowiada i we wszystkim słucha mnie, Panienczce teraz spać wypada, a w dzień grzecznie bawić się. Chcąc pomóc chociaż duchowo małej damie, powiedziałem:

- Krysieńko, ja też co dzień muszę kłaść się spać o godzinie dziewiątej.

Na to Krysia: - Gdybym ja, tak jak ty, kładła się co dzień spać do wody, to też bym się sama kładła spać o dziewiątej!

W tym czasie, będąc u wujostwa, trafiłem na bardzo ciekawą książkę. Gdy ją pochłaniałem, poczułem, że ktoś mnie ciągnie za marynarską bluzę. Krysia.

- Czym mogę służyć mojej kochanej damie? - zapytałem.

- Opowiedz bajeczkę.

Było to lepsze od zadania, by zaśpiewać którąś z jej ulubionych piosenek.

Wiedziałem, że bez bajki się nie obejdzie. Zacząłem: Był kiedyś malutki chłopczyk. Ojciec wziął go na ręce i zabrał ze sobą do sadu. Posadził pod jabłonią, a sam zaczął zbierać jabłka. Po jakimś czasie chłopczyk odezwał się do ojca: „Tatusiu, czy jabłka mają łapki?” „Nie, syneczku, jabłka nie mają łapek”. „Tatusiu, to znaczy że ja WTRANŻOLIŁEM żabkę”.

- Ojej! - zakipiała, podskakując, Krysia. - On zjadł żabkę i tak zabawnie powiedział, że ją wtranżolił.

- Widocznie nie bardzo jeszcze rozróżniał smaki - usiłowałem tłumaczyć chłopca. - A teraz jeszcze chwileczkę poczytam. Dobrze?

Krysia zniknęła. Nie minęło pół godziny, gdy poczułem, że znów ktoś ciągnie mnie za bluzę. Krysia.

- Czego teraz żąda moja mała dama?

- Ja mam bajeczkę dla ciebie.

- No to ulżyj sobie, moja mała damo. Już słucham.

Była sobie jedna malutka dziewczynka. Mamusia wzięła ją na rączki, zaniósła do sadu i położyła pod... gruszką. Mamusia weszła na drzewo, a dziewczynka siedziała pod drzewem. Gdy mamusia zbierała gruszki, dziewczynka spytała ją: „Mamusiu, czy gruszki mają łapki?” „Nie, córeczko, gruszki nie mają łapek” - odpowiedziała mamusia. „No, to znaczy że ja WTRANŻOLIŁAM kurę” - powiedziała dziewczynka.

- Krysieńko - zawołałem. - Moja słodka damo, przecież to moja bajeczka!

- Nie, to moja - zaprotestowała energicznie mała dama.

- Krysieńko kochana, a wiesz ty, co to jest plagiat?

- Twoja bajka była o chłopczyku, a moja o dziewczynce. To jest zupełnie inna bajka niż twoja.

- NIESTETY, Krysieńko, obie bajki są plagiatami. Przeznaczone są wyłącznie dla Ciebie na jeden dzień, na wywołanie jednego Twego uśmiechu. Proszę, spal je jak najszybciej.

Nie wiem, czy pani Krystyna spaliła ten list. Kopia zachowała się u mnie. Myślę, że Kapitan nie miałby mi za złe, że ją publikuję.

Z „Siódmego Nieba” ludzi mało co widać, ale ptaki są blisko. Blżej niż ludzie. Zaglądają nawet do okien, lecz robią to delikatnie i bez ludzkiej natarczywości. Samotny Kapitan po latach burz i sztormów uwielbiał ciszę, książki i przyrodę. Był doskonałym obserwatorem, a jego wspaniała wyobraźnia i nadwrażliwość pozwalały mu snuć cudowne

opowieści o zaobserwowanych zjawiskach.

Okno „letniego wschodu” należało zawsze do sikorek - wytwornych, eleganckich, pełnych kurtuazji wobec siebie. Przez całą zimę mogły znaleźć w specjalnie skonstruowanym karmniku przygotowane dla nich smakołyki - skórkę słoninki, ziarna słonecznika. - W ciągu tych trzydziestu paru lat zaobserwowałem tylko jedno nieporozumienie pomiędzy sikorką bogatką a biskupką, gdy ta siedziała na zawieszonym dla nich kawałku słoniny. Natomiast wróble, pomimo rozwiniętego instynktu matczyngo i ojcowskiego, tłuką się między sobą z byle powodu. Jeden z „moich” wróbli miał niecodzienne poczucie humoru. Gdy wyczerpały się kruszynki na desce karmnika, a dwoje dzieci, z którymi przyleciał, natarczywie świergotem i trzepotaniem skrzydeł domagało się karmienia mówiąc: jeszcze! jeszcze!, krotochwilny ojciec uszczknął kawałek liścia leżącego na desce i wpakował w nienasycony dziób. Powtórzył to samo z drugim lamentującym dzieckiem. Trzeba przyznać, że skutek był oszałamiający. Oba ucichły natychmiast, i prawdopodobnie obrażone, odleciały do gniazda. Miałem wrażenie, że ojciec uśmiechnął się, bo wyraził swoje zadowolenie, ocierając dziób o deskę. Wróble mają swoje rytualne metody zdobywania pokarmu i ściśle się ich trzymają. Nie wierzą nikomu. Przez długie lata doszedłem z nimi do tego, że na moje głośne klaskanie językiem lub klaskanie rękami zjawiają się gromadnie na dachu i rzucają na sypane im jedzenie. Kazać się jednak cofnąć i zamknąć natychmiast okno. Jeżeli tego nie uczynię dostatecznie szybko, odlatują i czekają, kiedy wreszcie je zamknę. Cudzych dzieci nie honorują i przepędzają bez sentymentów tych żółtodziobów, które nie wiedzą nawet, kiedy i gdzie uciekać, gdy powstanie sytuacja alarmowa i stare wróble uciekną. Siedzi wówczas taki młokos zrozpaczony nad jedzeniem i nie potrafi wziąć go własnym dziobem. Nie zauważyłem, by jakiś stryj czy ciotka zlitowali się nad niemowlakiem i włożyli mu na odczepnego coś do dzioba.

Okoliczne wróble tak bardzo zaprzyjaźniły się ze swoim żywicielem, że wystarczyło, by podczas naszego spaceru po Kamiennej Górze zaklaskał w „umówiony” sposób, a zjawiały się natychmiast, czekając na należne im smakołyki. Przypominał mi Kapitan w takiej chwili opisanego w opowiadaniu „Au mérite” czarodzieja, tyle że nie wołał swoje ptaki po imieniu. Chociaż, widząc u niektórych wróbli białe piórka ułożone pod kątem, przypominającym wojskowy szewron, dał im jako imiona rangi. Był zatem Kapral, Sierżant, Porucznik, a nawet Major.

Do „Siódmego Nieba” przylatywały również szpaki, te, które nie odleciały na zimę. Zawsze znalazły dla siebie coś smacznego, choć przymusowo stawały się wegetarianami. Dzikie gołębie, siwe, z czarnymi obrączkami na szyi, zjawiały się, kiedy chciały, doskonale

rozpoznając klaskanie przywołujące ptactwo na karmienie.

Któregoś roku surowa zima z bardzo obfitymi opadami śniegu zwabiła do „Siódmego Nieba” nowych podopiecznych - gawrony. Płochliwe, ostrożne, nie śmiały podejść blisko okna „zimowego wschodu”, przy którym stała miseczka z pokarmem dla wróbli.

- Kiedyś, więcej niż zdumiony, zobaczyłem, że pokarm przeznaczony dla wróbli znika, zanim te zdążą przylecieć. Przez kilka dni nie mogłem przyłapać sprawcy, aż wreszcie zauważyłem gawrona siedzącego na dachu sąsiedniego domu i pilnie mnie obserwującego. Gdy widział, że wstaję od stołu, na którym stała maszyna do pisania, natychmiast zaczynał krakać. Ustawiłem szyby okna na dach w ten sposób, że siedząc przy stole, widziałem miseczkę z karmą dla wróbli. I wtedy sprawa się wyjaśniła. Grupa gawronów, w liczbie około czterdziestu, zażerała się jadłem pozostawionym dla wróbli, podczas gdy obserwator na dachu sąsiedniego domu pilnie mnie śledził. Wystarczyło, że wstałem od stołu, by wszczynał alarm. Wkrótce poznaliśmy się bliżej. Mnie wystarczyło spojrzeć na komin sąsiedniego domu, na którym siedział „obserwator”, uważnie śledzący moje ruchy. Zawsze poznał, kiedy udaję, że nie zwracam na niego uwagi, a kiedy naprawdę o nim nie pamiętam. Zostałem więc zmuszony do przyjęcia na swój wikt także gawronów. Wkrótce wszedłem z nimi w układy. Po wyrzuceniu na dach karmy mogłem przez firankę obserwować ich apetyt. Każdy z ptaków usiłował ułożyć nie kanapkę, lecz kanapę z kilku porcji chleba, kładąc niekiedy cztery kromki jedna na drugiej. Wówczas podrywał się do lotu. Kiedyś „moje” gawrony urządziły mi niespodziankę, gdy w karmie znalazły inny gatunek pieczywa. Przyglądały się, ale nie ruszyły, aż zjawił się stary gawron, nastroszony, o wyglądzie przywódcy. Pilnie zbadał wzrokiem, a może i węchem, tę nowość i widać zdecydował, że nie nadaje się do jedzenia. Ochrzcilem go najpierw mianem Naczelnika, a potem Kościuszką. Od tego czasu, ilekroć było coś nowego w karmie, czekano na Kościuszkę. On decydował.

I tak ponad trzydzieści lat - od 15 października do 13 marca, od Jadwigi do Krystyny, Kapitan dokarmiał i obserwował „swoje” gawrony. Te, które wróciły jak zwykle na Jadwigę 15 października 1986 roku, przeżyły rozczarowanie. Tego dnia nie było takiej „posilnej” uczty, jaką Kapitan przygotowywał rokrocznie, aby ptaki odzyskały siłę po dalekiej podróży z Finlandii.

Ostatni raz zasuwam i zamykam drzwi na zamek i kłódkę. Mieszkanie jest puste. Wszystko, łącznie z matami zasłaniającymi ściany, w ciągu dwóch dni zostało wywiezione do Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku. Dziesięć miesięcy przychodziłam tu i przez kilka godzin dziennie porządkowałam zbiory Kapitana. Za każdym razem, zamykając drzwi, drżałam na myśl, by następnego dnia znaleźć je nienaruszone, a wracając z rana z daleka

patrzyłam, czy mieszkanie istnieje, czy nie zaproszyłam poprzedniego dnia ognia, zostawiając rozgrzany piec, w którym paliłam nikomu już niepotrzebne rupiecie, papiery. W tym mieszkaniu, składającym się wyłącznie z drewna i papieru, wystarczyła jedna iskra, by wywołać fajerwerk. Szczęśliwie nic podobnego się nie wydarzyło.

Przez te dziesięć miesięcy czekałam bezskutecznie, że znajdzie się osoba czy instytucja, która uratuje „Siódme Niebo” w jego dotychczasowym kształcie. Tak się nie stało. A miałyśmy takie wspaniałe plany z panią Kaja Kamińską, redaktorką Polskiego Radia z Warszawy. Spotkałyśmy się na drugi dzień po pogrzebie. Od czterech dni Kapitana nie ma w jego mieszkaniu. Nic się tutaj nie zmieniło. Meble, książki na swoim miejscu. Te same kwiaty przy oknie w saloniku, wśród nich następczyni wspaniałej araukarii. Kiedy przestała mieścić się w mieszkaniu, Kapitan przekazał mi ją i odtąd zdobi mój dom. Na jej miejsce Kapitan wstawił nową, młodą araukarię. Kapitan lubił kwiaty, a i one odwdzięczały się za jego opiekę swoją urodą. Dla niego kwiaty żyły, rozmawiał z nimi. - Słyszę, jak krzyczą, gdy brakuje im wody. - Kwiatów ciętych nigdy nie wyrzucił, zawsze spalał.

Jestem zakłopotana, że to ja podejmuję panią Kaję, którą z Kapitanem poza sprawami zawodowymi łączyła szczególna nić przyjaźni. Tylko ona potrafiła uzyskać zgodę Kapitana na nagranie wywiadu dla radia, kiedy zjawiała się u niego w maju 1980 roku.

Był jeszcze drugi wywiad, zrobiony przez pana Marka K., ale Kapitan twierdził, że został zrobiony z ukrycia, bez jego wiedzy, chociaż po wysłuchaniu nagrania w radiu zaakceptował go.

Pani Kaja ma już gotową koncepcję: - Musimy urządzić tu placówkę typu muzealnego. Pani ma kwalifikacje i największe wiadomości, by zostać kustoszem tego obiektu.

Redakcja „Wybrzeża” też popiera ten projekt. Jedynie kapitan Duda jest realistą:

- Czy pani jest wieczna pani Ewo? Teraz wszyscy interesują się, bo sprawa jest świeża, ale ja znam życie. Nie minie długi okres, a zostanie pani sama ze wszystkimi problemami. Tylko Muzeum Morskie, tylko dyrektor Smolarek jest najwłaściwszym człowiekiem i tylko on potrafi odpowiednio pokazać to wszystko.

Zamykam puste mieszkanie i ostatni raz schodzę po „trapie”. „Siódme Niebo” przestało istnieć. Muzeum Morskie stworzy jego kopię w spichlerzu gdańskim na Ołowiance, ale to już nie będzie „Siódme Niebo”.

Spis treści

K.O. Borchardt: POD CZERWONĄ RÓŻĄ	
Matecznik	5
Au merite.....	10
Mi-careme	13
Ce n'est pas Varsovie	15
Ca pique.....	16
Diabeł pod poduszką.....	17
Wuj Ignacy	21
Wspaniały pomysł Mohikanów	26
Czarujący chłopak.....	32
Golciper.....	46
Car w Wilnie.....	53
Mój przyjaciel Ur.....	57
Kiemlicze, pomóżcie!	61
Ewa Ostrowska: POD BIAŁĄ RÓŻĄ (Wspomnienie o K.O. Borchardzie)	
Wstęp	65
Rozdział I. Dzień pierwszy i ostatni	67
Rozdział II. Dwie przysięgi.....	81
Rozdział III. Wszystko okryje niepamięć	102
Rozdział IV. Kapitan własnej duszy.....	123
Rozdział V. Horoskop Kapitana	141
Rozdział VI. Ostatnie podróże.....	158
Rozdział VII. Siódme niebo	167